ZAPISKI WARIATKI

Aleksandra Młynarczyk-Gemza

ZNAK

ZAPISKI WARIATKI

Aleksandra
Młynarczyk-
-Gemza

ZNAK
Kraków 2022

4Barti

Część z opisanych osób i zdarzeń koreluje
z rzeczywistością, a część jest wynikiem halucynacji. Sama,
niestety, nie potrafię odróżnić, co jest czym…

Robiąc zapiski, permanentnie choruję. Łapię wszystko. Zwykła grypa rozlewa się, pęcznieje i trwa przynajmniej dwa tygodnie. Kaszel w nocy nie pozwala spać. Padam jak mucha po antybiotyku. Modlę się tylko, żeby dosłownie go nie wysrać, żeby miał szansę zadziałać. W klatce piersiowej tłoczy mi się ocean pienistej flegmy, migdałki i gardło bolą. Tracę głos, a potem zatykają mi się uszy. Jakby moje ciało strzegło tajemnicy i broniło dokończenia historii. Myślę co jakiś czas o Bogu. W rozpaczy proszę go o pomoc. Potem mi się pogarsza i jestem zła, że znowu głupio się nabrałam. Próbuję potraktować się jak fragment przyrody skazany na cykle, nad którymi nie da się zapanować. Pragnę, żeby choroba zrobiła ze mną, co chce. Ale nie potrafię, rzucam się do komputera, chwytam smartfon, żeby na nim dopisywać kolejne zdania, a potem je przeklejać w komputerze. Jakby cała ta praca była wielkim eksperymentem, próbą oddania sobie głosu. Rzeczywistość ciągle zatyka mi usta i chce odwrócić uwagę. Po azytromycynie robią mi się wielkie źrenice i nie pamiętam poprzedniego zdania. Chłopak krzyczy, że mam się wyluzować i odpoczywać, nic nie robić. Nie wiem, jak to osiągnąć. Wiję się jak piskorz. Może zapiski, które są poniekąd moją „pracą totalną”, oswobodzą mnie od rozpaczliwej potrzeby mówienia, którą dotychczas realizowałam w zaklętym języku sztuki. Może w końcu mój głód, który pchał mnie do kolejnych akcji artystycznych i performance’ów, zostanie nasycony. Powiem wam wszystko – dosłownie, dokładnie. Podam się na talerzu, w dużej ilości menstruacyjnej krwi. Zapieczona, posypana prochami. Bierzcie i jedzcie z tego wszystko. Więcej nie będzie.

Część I
Sowy nie są tym, czym się wydają

Sen I

Zbyt krótko obcięłam włosy, ponawiając sytuację dobrze znaną z rzeczywistości. Byłam na granicy szaleństwa. Przeżywałam świat, jakby pomiędzy tym realnym a psychotycznym. Między nimi znajdował się znak zapytania, który symbolizował stan mojej percepcji. Nie znam tego stanu w rzeczywistości. Tu zawsze jestem po jednej albo po drugiej stronie.

Spotkanie z lekarzem konsultantem ZUS w sprawie przedłużenia prawa do renty socjalnej z tytułu niezdolności do pracy. Diagnoza F.20. Schizofrenia z komponentem afektywnym. Potężna kobieta z plastikowymi czarnymi rzęsami znęca się nade mną przez pół godziny. Najlepiej, jak tylko umiem, odgrywam upośledzoną. Mimo że chcę sytuację tę potraktować jako żart, scenę z teatru i coś, co nie zdarza się w moim życiu, nie udaje mi się to. Po wyjściu czuję się poniżona, potraktowana podle, niesprawiedliwie, uszkodzona i naruszona. Strój, kostium, uniform. W ZUS, na pokładzie samolotu, nawet w sklepie spożywczym. Uniform ochroniarza, policjanta czy żołnierza. Chcę wymyślić własny styl ubioru, własny uniform. Może to w końcu sprawi, że ludzie złapią do mnie trochę dystansu, osłoni jak skorupa żółwia.

Pozdrowienia z terrarium

Rzucenie papierosów lata temu nie przyszło mi łatwo, ale w końcu się udało. Ilekroć nie mogłam rzucić, a było to naprawdę wiele razy, paliłam więcej. Rozwlekałam tę sprawę do egzystencjonalnego problemu. Dawało to pretekst do aktywowania w sobie wszelkich dramatycznych i autodestrukcyjnych tendencji, z których prawie cała się składam. Podczas rzucania palenia osiągnęłam rekord. Dwie i pół paczki – bez problemu. Kiedy ten szczyt zbiegł się z niekontrolowanym odkrztuszaniem kawałków gęstej zielonej flegmy, a ja dopiero co skończyłam dwadzieścia pięć lat, zrozumiałam, że nie mam wyjścia i muszę przestać palić. „Samospalenie" tej kategorii nie może być wpisane na listę ze sposobami popełnienia samobójstwa. Przy okazji, od dziecka wiedziałam, że to jedyny elegancki rodzaj śmierci. Zanim ostatnim razem trafiłam do psychiatryka, gdzie „wyleczono" mnie haloperidolem, nosiłam się z zamiarem napisania awangardowego eseju pod tytułem *Przeciw medytacji. Jak nie popełnić samobójstwa*. Do opisania nadają się stany, które kompromisowo uznałam za myśli samobójcze. W lepszych momentach przeczuwałam, że mają w sobie coś z doznania mistycznej nocy ciemnej. W gorszych zaś pochłaniała mnie totalna stagnacja i zejście w mrok, któremu towarzyszyło niesprecyzowane zapalenie stawów – niezdiagnozowane jako takie ani przez reumatologa, ani przez ortopedę. W końcu szamańska lekarka medycyny chińskiej przepisała mi jedzenie mięsa ze sklepu z produktami bio oraz drogie sproszkowane, dziwnie pachnące korzenie. Miałam zniżkę, bo byłam wówczas członkinią tej samej co i ona sanghi buddyzmu tybetańskiego. W ramach praktyki oraz spłaty długu wobec sanghi dzielnie

sprzątałam ośrodek przynajmniej raz w miesiącu. W ten sposób rekompensowałam brak opłat za niedzielną grupową medytację i ciągłe wypraszanie zniżek na warsztaty z kolejnymi duchowymi nauczycielami. Lubiłam zajmować się porządkami w ośrodku. Miło wspominam sprzątanie łazienki, podczas którego w końcu mogłam się odosobnić na serio. Działo się to akurat w roku, kiedy krakowska sangha po długich grupowych debatach zdecydowała się wynająć nowe lokum. Długo rozważano, czy członków stać na piękną, nową przestrzeń. Rozmowy prowadzone były w ramach praktyki uważnej komunikacji. Nowe miejsce było naprawdę imponujące. Wyglądało jak najlepsze z możliwych krakowskich mieszkań. W starej kamienicy, miało chyba sto pięćdziesiąt metrów kwadratowych i rewelacyjnie zachowane piece kaflowe. Pamiętam szczególnie dobrze jeden, szmaragdowy. No i parkiety, stiuki, żyrandole, wielkie, świetliste okna, a wszystko w sercu Starego Miasta. Akurat nie miałam wtedy za bardzo gdzie mieszkać, bo powoli nie było mnie stać na wynajem pokoju na Podgórzu, a nie zdecydowałam się w końcu na nieoficjalne świadczenie usług tantrycznego seksu, co od jakiegoś czasu chodziło mi po głowie. Po prostu nie nadawałam się do żadnej pracy, a naczytałam się, że kreatywność i seksualność to to samo, bo idą z drugiej czakry. Wydawało mi się więc, że mogłabym się nadawać. Matka też mnie nie chciała w domu. Moje prośby o możliwość zamieszkania w starym nauczycielskim mieszkaniu, które ciągle wynajmowała, oddaliła argumentem, że w zimie mieszkania nie da się ogrzać bez zrobienia nowego pieca. Wówczas nawet w snach nie przychodziła do mnie wizja, która miała się niebawem ziścić. Kilka miesięcy później zamieszkałam w akademiku jako doktorantka, dzieląc pokój z młodą dziewczyną studiującą italianistykę, dorabiającą sobie na boku jako makijażystka i rozpoczynającą powoli karierę w korpo. Sprzątając uważnie buddyjską łazienkę, czułam się jak dziecko bawiące się

z innymi dziećmi w dom. Zamykałam drzwi łazienki, żeby się tam porządnie „wymedytować” i pozbyć syfu z kafelków oraz wanny, w której niebawem miał siedzieć kolejny duchowy nauczyciel. Podobały mi się delikatne brązy kafelków, duży metraż łazienki i figurki smoków wykonane z kamieni szlachetnych, które duchowo zdobiły imponujące lustro. Wracając do palenia papierosów – kiedy już w końcu udało mi się rzucić, zrobiłam sobie spirometrię na NFZ. Było to stresujące, jak każde badanie według mnie. Musiałam dmuchać do dziwacznego sprzętu pod czujnym, kontrolującym i krytycznym okiem raczej słabo opłacanego, czyli mało zaangażowanego, lekarza. Nie pamiętam, czy zadbałam o odebranie wyników. Po rzuceniu palenia dość szybko przestałam odpluwać wilgotną seledynową flegmę. To podniosło mnie na duchu, że jeszcze nie umieram. Śmierć w tak młodym wieku na pewno przyniosłaby mojej matce kolejne okropne poczucie wstydu związane z moją osobą. Dotychczas byłam przypuszczalnie głównym powodem jej wstydu. Musiała się wstydzić, że się nie modlę, nie wierzę w Boga, nie mam dzieci, jestem rozwódką, przy czym ciągle używam nazwiska byłego męża, jestem w konkubinacie z obcokrajowcem, a zamiast dziecka mam wielkiego czarnego psa, no i najgorsze – jestem chora psychicznie. Poza tym nie mam pracy ani oszczędności, a do tego zaczęłam się starzeć. Matka nie zapomniała poinformować mnie, że zauważyła. Głośno skomentowała przy ojcu i chłopaku moją fotografię sprzed dziesięciu lat.

– Ale jest inna buzia teraz. Widać, że to już było kilka lat temu, prawda?

Na szczęście chłopak czarująco, jak tylko on umie, a równocześnie trzeźwo skomentował ten wybryk matczynej miłości.

– Ja bym się nie odważył tak powiedzieć.

Zdjęcie pozostało tam, gdzie było, czyli w oszklonej szafce, zwinięte, żeby się mieściło. Młoda i piękna, szelmowsko puszczałam na nim oko do

domowników zamknięta w szklanym terrarium.

Stress out

Słyszałam kiedyś anegdotę o kamieniach półszlachetnych. Głosiła, że to nie człowiek je kupuje, znajduje czy dostaje, ale że to one, sobie tylko znanym sposobem, wybierają człowieka i do niego lgną. Trwają przy nim tak długo, jak długo są mu potrzebne. A potem się gubią. Tak u mnie było z psami. Już jako dziecko tłumaczyłam matce na spacerach, żeby się ich nie bała, bo to moi kumple.

Pierwszy pies był wielkim wilczurem. Zjawił się w skórze kota. Przybrał niepozorną postać szaro-białego wiejskiego dachowca z różowym nosem. Znalazłam go w dzień osiemnastych urodzin. U nas nie wolno było trzymać zwierząt, bo mieliśmy za małe mieszkanie. Z kolei ja o niczym bardziej nie marzyłam. U babci chowałam podczas obiadu kawałki kotleta pod policzkiem, a potem uciekałam od stołu i dokarmiałam koty. Mój kot leżał w rowie. Nie chodził, był mały i miauczał okropnie. Pozbierałam go i zabrałam do domu. Rodzicom oznajmiłam, że albo mieszkamy razem ja i kot, albo nikt z nas. Udało się. Nazwałam go Köpenicker, tak jak moja ulubiona ulica w Berlinie w dzielnicy Kreuzberg. Z najlepszą przyjaciółką spędzałyśmy tam wakacje na Köpi skłocie. Kot uparcie nie chodził. Wyzdrowiał, dopiero kiedy wróciłam po trzydniowej wycieczce z Krakowa, gdzie tańczyłam i wąchałam poppersa w Carycy. Czekał na mnie głodny. Köpi był najlepszy. Kiedy byłam chora, zawsze łamał łapy, nic nie jadł albo dawał się potrącać samochodom. Był prawdziwym kumplem. Jego współczucie nie było żadną ściemą. Wyrósł z niego dzielny, zaprawiony w boju kocur. Był zahartowany, bo dzieci przy szkole wiecznie się nad nim

znęcały. Został twardzielem. Poszedł sobie dopiero, kiedy poznałam męża. Odszedł. Ustąpił miejsca przy moim boku innemu samcowi.

Mąż zjawił się u boku Jazza. To był mój pierwszy prawdziwy pies. Bardzo temperamentny mieszaniec wielkości wilczura. Niektórzy dopatrywali się w nim genów owczarka kaukaskiego. Był wulkanem energii, choć miał dość słabe nerwy. Mieszkaliśmy ze sobą pięć lat. Lubił przy mnie spać i chętnie dawał się głaskać. Został gwiazdą wideoartów, które kręciłam, by zaliczać intermedia podczas studiów. Wierzyłam wówczas, że sztuka wideo ma przyszłość. Zlizywał keczup z podpasek i zjadał kurze korpusy do kamery. Ze dwa razy mnie ugryzł. Miał problemy z temperamentem. Mimo to był świetnym przyjacielem, zdrowym, silnym i mocnym. Rozstaliśmy się w bólu. W ostatnich tygodniach wspólnego pobytu towarzyszył mi w medytacjach. Kładł się obok mnie, kiedy siedziałam w pozycji, i czuwał. Zanim wyprowadziłam się z mieszkania na dobre, cały czas po nim biegał, jakby szlakiem, który przemierzał, chciał zjednoczyć mieszkańców i przypomnieć im, że ślubowali sobie miłość i wierność. Po rozstaniu czasem jeszcze zabierałam Jazza do siebie, ale ewidentnie go to rozstrajało.

„Masz superpsa” – napisałam do znajomego na fejsie, leżąc w depresji.

„Chcesz, to Ci go przywiozę. Akurat mam coś do załatwienia koło Krakowa, a Ty się nim zaopiekujesz”.

– Rafał, będzie u nas pies na weekend – powiedziałam do współlokatora.

Nie oponował.

Wstałam z łóżka i przeszukałam szafę. Włożyłam zwykłe dżinsy. Ale klapki domowe wyglądały fatalnie. Zmobilizowałam się raz jeszcze i wyłowiłam haftowane pantofle w kwiaty w stylu azjatyckim. Pasowały. Przyniosłam z Żabki psie smaczki. Wpadli wieczorem. Krępowałam się

właściciela, ale Wiki zjadał mi już kolejne psie ciasteczka z ręki. Zostaliśmy sami. Zmuszał mnie do biegania, poza tym był jednak zjawiskowo łagodny. Nie chciał się przytulać, ale w nocy wskakiwał do łóżka. Wiki to najszlachetniejsza istota, jaką znam, choć nie jest pozbawiony czarującej łobuzerskości. Na spacerach lubi brać smycz w zęby, jakby dawał znak, że sam chce się prowadzić. Tylko raz zjadł pieczeń ze stołu. Ucieka z kanapy, gdy wie, że się na niego patrzy. Kiedy rano ziewam i się przeciągam, przybiega sprawdzić, czy nic mi nie jest. Liże mnie po twarzy. Jeśli chce jeść lub iść na spacer, przyciska mnie swoją głową. To mieszaniec, jakby idealnie w połowie skrzyżowany labrador z wyżłem. Kiedy chłopak chce wyjechać, to może, pod warunkiem że zaopiekuje się mną Wiki. Potrafi się zdenerwować, gdy wymaga tego sytuacja. Kiedy inny pies przekroczy granicę dobrego wychowania, Wiki wie, co należy zrobić. Jest mistrzem wschodnich sztuk walki. To bardzo subtelna dusza. Lęka się burzy, sylwestrowych wystrzałów i kłótni. Jazz w ogóle nie zauważał takich rzeczy, a Wiki wkręca się w kable w rogu pokoju albo chowa się w prysznicu, drżą mu nogi, cały się trzęsie. Trzeba smarować mu dziąsła specjalną pastą Stress out.

Czarne wory

Miasto jest skarbnicą używanej odzieży, którą można przechwycić. Cena to jedynie drobne uczucie wstydu pojawiające się, kiedy zabierasz z ulicy worek leżący pod drzwiami twojej kamienicy. Jest pełen tajemnic i niespodzianek. Wstyd, że zobaczą cię z workiem sąsiedzi, lub jeszcze gorzej: strach, że zobaczą cię wkrótce w swoich byłych ciuchach, które dopiero co spakowali w worek do oddania. Pasja kradzieży worków to chyba u mnie przejaw kleptomanii. Pamiętam, że kiedyś tych przejawów było więcej. Swego czasu obsesyjnie kradłam z Żabki gumy do żucia. Były mi potrzebne, żeby oduczyć się palić. Po pewnym czasie byłam w tym niezła. Worki często są czarne, jakby skrywały trupy. Niektóre zgrabne, zapakowane w ozdobne torby. Wyglądają jak prezenty. Te najczęściej pełne są odprasowanych zasłon i damskich butów w rozmiarze około czterdziestki. Duże stopy dużych kobiet, którym łatwiej przyszło dorobić się w życiu niż tym z małym numerem buta, takim jak ja. Panie z dużymi stopami mają dużo. Mają mieszkania w kamienicach z wysokimi sufitami, żeby było proporcjonalnie do ich długich nóg i łabędzich szyi. Jak im się znudzi garderoba i buty, to oddają w torbach po prezentach, których też dostają dużo. Czarnych worów trochę się boję. Są odrobinę perwersyjne. Lękam się, że między szmatami znajdę brudne dildo, stary kondom, białe wijące się larwy, kawał zepsutego mięsa lub węża dotychczas hodowanego w akwarium, który znudził się właścicielom. Albo ucho z *Blue Velvet*. Czasem myślę, że odwinę odciętą głowę wysokiej pani. Tego boję się najbardziej. Bywa, że zapach jest nieprzyjemny. Z grubsza, raczej szmaty są wyprane i pachną bardzo intensywnie niemiecką chemią. To jest ich kolejna

tajemnica, zagadka, której nie potrafię rozwiązać. Zbieram je już od wielu lat. Właściwie w całym centrum Starego Miasta: od Ariańskiej przez Pędzichów, Siemiradzkiego, Retoryka, a swego czasu nawet na Limanowskiego. A one i tak zwykle pachną jednym rodzajem proszku, jakby prała je i pakowała dla całego Krakowa jedna ciocia Wiesia. Jest też inny zapach. To pot spod pachy zachowany w zakamarkach. Tam, gdzie wszyte są rękawy. Najczęściej wyczuwam go na nylonowych, sztucznych materiałach, z których zrobione są bluzki w rozmiarze L. Ten pot także pachnie jak jedna ciocia Gienia, w zasadzie babcia cioteczna. Jakby była wcieleniem uniwersalnej ciociobabki, patronki zapachu spod pachy. Wiele razy obiecywałam sobie, że z tym skończę. Że będę patrzyć na te worki śmieci z wyższością osoby, która ma. Że kopnę je na progu, odsunę z przejścia i że nigdy już, przenigdy nie będę o nich marzyć. Nie będę ich pragnąć ani fantazjować o dobrach, które skrywają. Zapomnę o skórzanych rękawiczkach do łokcia, francuskich beretach w różnych kolorach, płaszczach w pepitkę czy spodniach w stylu *vintage* z wysoką talią. Takich, jakie świetnie leżą na biodrach i wreszcie sprawiają, że odnajduję swój fason typu ejtis lub najntis. Takich, jakich pełno było w gazetach „Burda” i „Verona”. Fason zachodni, w którym moje nogi w końcu okazują się wystarczająco długie, a uda i pośladki znajdują uzasadnienie dla swego kształtu – *sexy*, ale retro. Dzięki temu będzie można zobaczyć, jakie mam smukłe ramiona, które wcale nie są nieproporcjonalne do bioder. Tylko są trochę *passé*. Ale moda wraca! Dzięki worom w końcu odkryję swój styl – luźny, bardzo kobiecy, przewrotny i z klasą.

Theo i Isabelle

Wymyśliłam dziś Theodora. W skrócie nazywa się Theo. Jest pisarzem z Francji. Ma niespełna czterdzieści lat, brązowe, bystre, gorzkie i mądre oczy. Kiedy analizuje się jego foty w Googlach, wychodzi na to, że urodził się z zajęczą wargą. To tylko dodaje mu powabu. Zresztą lekki zarost ukrywa tajemnicę i już nie wiadomo, czy cała ta sprawa wargi nie jest tylko nietuzinkową, perwersyjną fantazją. Theo przypomina aktora z filmu Bertolucciego *Marzyciele*. Tego, który grał bohatera właśnie o imieniu Theo. Świetnie pamiętam ten film, bo byłam na nim w kinie z najlepszą przyjaciółką, kiedy miałyśmy po siedemnaście lat. Kolejne trzy dni chodziłam potem bez majtek, tak mnie rozpalił. Theo właśnie przyjechał. Zostaje w Krakowie na kilka miesięcy, może na rok, bo akurat otrzymał stypendium literackie francuskiego rządu, by napisać esej o wpływie pandemii na rozwój ksenofobii w krajach byłego bloku wschodniego. Obserwuje rzeczywistość znad czarnej kawy w Massolicie. Nie używa smartfona. Pisze po francusku i angielsku. Dla relaksu przekłada współczesną poezję posthaiku. Ma niezwykle szczupłe i długie palce. W dzieciństwie grał na pianinie. Pali papierosy i ma od tego pierwsze ponętne zmarszczki, jak to u mężczyzn. Raczej jest wege, zresztą w ogóle rzadko je. Tylko patrzy, je oczami. Nigdy nie nosi krótkich spodenek ani koszulek z krótkim rękawem. Poza tym jego ubrania są zawsze z lnu albo stuprocentowej bawełny. Eleganckie, proste, czasem lekko sprane. Bardzo mało mówi, ale jak już mówi, to same koany na miarę mistrzów zen. Poza tym wiadomo o nim niewiele oprócz tego, że jest bogiem. W stylu bogów greckich. Prawdopodobnie najbliżej mu do Apolla. Trudno ustalić, czy lubi

seks. Wydaje się wycofany, ale ma orgazm w oczach. Nimi właśnie potrafi doprowadzić do ekstazy, i to jest transcendentne. Wymyśliłam go po tym, jak usłyszałam, że mój chłopak pragnie spędzić wieczór na pompowaniu jednego z naszych zezłomowanych rowerów. Musi to zrobić, żeby przekazać go Isabelle, która pracuje z nim w korporacji. Zna się na wszystkim lepiej, bo pracuje dłużej i zawsze mu pomaga. Właśnie przeprowadziła się do Krakowa z Suchej Beskidzkiej. Powiedziała, że byłoby wspaniale mieć rower. Jak to usłyszałam, zapytałam, czy Isabelle jest wysoka. To ważne ze względu na rozmiar roweru. Chciał oddać swój, więc pomyślałam, że skoro on ma dwa metry, to Isabelle musi mieć przynajmniej metr osiemdziesiąt. W mojej głowie Isabelle wygląda jak miss Tadżykistanu. Ma dwadzieścia pięć lat, jest bardzo *sexy*. Jak młoda Charlize Theron albo Scarlett Johansson. Mówi biegle w czterech językach. Chodzi codziennie na jogę. Ma psa yorka. Razem mają dużo wspólnych zdjęć na Instagramie. Po godzinie od wymyślenia Isabelle przepraszam mojego chłopaka. Mówię, że mi wstyd, że Isabelle wynika z problemów z poczuciem własnej wartości. Nie wspominam ani słowem o Theo. Chłopak pyta, czy potrzebuję tego roweru. Odpowiadam, że tak, bo na bezrobociu zamierzam składać i sprzedawać wraki naszych zezłomowanych rowerów. Oczywiście nie mówię całej prawdy. Chcę, żeby się zajął mną i moim dramatem, a nie zachciankami koleżanki z pracy. Wracając do Theo, poznałam go w Massolicie, kiedy kupowałam książkę. Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, jakby mówił: „Boli cię, wiem. Jesteś z tym sama, mała. Nikt cię nie rozumie, mnie też. Ale nie bój się, myśmy się już spotkali. To naprawdę nieważne, czy teraz znów będziemy tańczyć tego walca. Nasza miłość jest wieczna. Nie musimy nawet się do niej tutaj przymierzać”. Kilka razy płakałam ze wzruszenia, kiedy później o tym myślałam. Przyjaciółka tłumaczka, która często przesiaduje w Massolicie,

opowiedziała mi, kim jest Theo i co robi w Krakowie. Od tego czasu zrozumiałam, że muszę go mieć zawsze pod ręką na wypadek, gdyby w życiu mojego chłopaka zjawiła się kolejna Isabelle, której zechciałby rozdawać nasze zepsute rowery, a wcześniej podpompowywać im ochoczo koła.

Dom i buty

W Krakowie knajpy, te przyjemne, z dobrą kawą, w centrum i na Kazimierzu, są trochę moim domem. Bywają konstruktem trwalszym niż mój zwyczajny dom. Ten nie dość, że od lat lokuje się w różnych częściach miasta, czasem na kilka miesięcy, rzadziej na dłużej niż rok, to jeszcze zwykle się martwię, że go stracę. Lękam się, że nie będę miała czym za niego zapłacić. Pamiętam, jak kilka lat temu przeraziłam się taką właśnie sytuacją. Zadzwoniłam znad kawy do matki prosić, żeby sprawdziła, czy gdzieś nie został złoty kolczyk, który dostałam na komunię od którejś z ciotek, chyba chrzestnej. Matka szybko i rzeczowo wyjaśniła mi wtedy, że tych kolczyków już dawno nie ma. Chyba od momentu kiedy je sprzedałyśmy, z najlepszą przyjaciółką, jako nastolatki, w lombardzie, by mieć pieniądze na narkotyki – dodała. Rozmowa była krótka.

Wychodzenie na kawę to ta część społecznego spektaklu, do której jestem przywiązana. Bardzo ją lubię. Może nawet na równi z chodzeniem do kina. Niesamowite, na ile przyjemności pozwala szastanie kasą. Można się malować, stylizować i przebierać, żeby potem przejść ulicą Starego Miasta, obejrzeć ładne, duże, bardzo mocne i błyszczące auta, zjeść lody, wypić kawę, a jeżeli ma się dużo kasy, to znaczy na cztery miesiące do przodu, żeby zapłacić za mieszkanie, wtedy nawet można kupić sobie na mieście dwudaniowy obiad. Próbuję zapomnieć o zakupach, o tym, że można sobie kupować ubrania albo buty. Najpiękniejsze są buty marki Camper. Do tej pory kupiłam już pięć par używanych z internetu. Wszystkie razem kosztowały jakieś dwadzieścia pięć procent nowej pary, i to w cenie promocyjnej. Pierwsze dwie rozleciały się bardzo szybko.

Jedna po godzinie od rozpakowania paczki, ale już po tym, jak wystawiłam pięć gwiazdek sprzedającej i napisałam pozytywny komentarz. Kolejna para zepsuła się po dwóch tygodniach w kłopotliwej sytuacji, kiedy pokazywałam widzom moją wystawę. Do tego pokłóciłam się przez to z chłopakiem. Mimo tych traumatycznych sytuacji z używanymi butami ostatnio na rozmowę z wydawcą włożyłam właśnie jedną z tych par, która jeszcze się zachowała. Zanim wyszłam z domu, uważnie przyjrzałam się podeszwom.

Piękna poza czasem

W okresach kiedy porzucam media społecznościowe, moja głowa staje się dla mnie internetem. Mogę go przekopywać, przeglądać, otwierać, zamykać, a nawet resetować router. Z łatwością znajduję w głowie przerażające informacje budzące lęki, stare pornosy, trochę wiedzy z Wikipedii, którą każdy może redagować, liczne fanpejdże, prognozy pogody, reklamy, spam, lajki, mowę nienawiści, filmy instruktażowe, grafiki, mapy i memy oraz zdjęcia ulubionych aktorek filmowych. Dobrze jest nauczyć się korzystać z własnej głowy. Chłopak na przykład często przeszukuje internet. Prawie zawsze przed snem, zaraz po obudzeniu, w przerwach w pracy i wielokrotnie w ciągu dnia. Robi to w kwestiach *stricte* praktycznych. Wydaje mi się, że to jak korzystanie ze ściągi. Przydatne, ale na dłuższą metę ograniczające. Kiedy chłopak przeczuwa, że jestem zazdrosna o internet, szybko tłumaczy mi, co właśnie robi. Naprędce komunikuje coś w stylu: „Sprawdzam teraz pogodę, patrzę, co napisała mama, sprawdzam, co jest dziś na promocji w Biedronce, jak ściągnąć dla ciebie nielegalną wersję Photoshopa, żebyś mogła obrobić swoje zdjęcia, zamawiam przycisk z AliExpress do twojego złamanego Iphone’a czy sprzedaję opony na OLX, żebyś mogła sobie kupić krem z filtrem”.

Na plaży mój internetowy mózg rozgrzewa aplikacja *Skanowanie plażowiczek i plażowiczów*. Gapienie się na ludzi ile wlezie ułatwiają mi ciemne okulary. Z daleka można pomyśleć, że drzemię na piasku. Podczas gdy ja fiksuję oczy, jedno w soczewce, drugie sprawne, na biustonoszu przypadkowej pani, a potem przesuwam spojrzenie na brzuch jej faceta. Nie mogę się nadziwić, jak można mieć taki brzuch. Co na przykład w takim

ciele da się robić łatwo, a co stawi opór. Oglądam bacznie ciała, a potem od razu je zaczynam porównywać: z własnym ciałem, z ciałami znanymi z reklam i filmów, z atlasów i tak dalej. Czasem wycofuję jakieś rozpoznanie lub poddaję dalszej refleksji temat stroju, gestu czy miny. Wówczas myślę, że niesprawiedliwie kogoś oceniłam. Nie wzięłam pod uwagę, że jego los wymagał, na przykład, wychowania bardzo chorej córki albo spłacenia karmicznego długu, który ciąży na rodzinie od pięciu pokoleń. Poza tym zawsze się zastanawiam, czy ktoś ma dobrze obcięte włosy i czy to, że dobrze wyglądają, to kwestia kokosów wydanych na fryzjera i kosmetyki, czy sama natura. I czy włosy są ekstra po prostu, bo wiadomo – ktoś cały jest ekstra i to jest kompatybilne z włosami. Ma szczęście. Często, naprawdę często, a od kiedy skończyłam trzydzieści lat, to w zasadzie bez przerwy, analizuję wiek kobiet spotykanych w sytuacjach społecznych i rozważam, jak na nie wpływa starzenie. Czy choć oszpeca, to jednak dodaje smaku i charakteru, czy raczej rujnuje osobowość do końca. Jeszcze bardziej interesuje mnie relacja kobiet z własnym starzeniem. Czy już się poddały i zaczęły udawać, że nie mają ciała, czy też zgodnie z obowiązkiem – no bo przecież chyba nikt nie ma wątpliwości, że to musi być obowiązkowe – przeznaczają spory kawał pensji na kremy, tusze i wizyty u kosmetyczek, ale poza tym więcej się nie martwią. Po prostu pamiętają, żeby to robić, i dzięki temu w domu już nie muszą patrzeć w lustra. Czasem wydaje mi się, że spotykam prawdziwe boginie, które w ogóle się nie starzeją, a upływ czasu jedynie wyostrza ich kobiecość. Sama mam upiorną świadomość, że starzeję się już od urodzenia. Jako dziesięciolatka przeczuwałam, że z powodu kształtu moich oczu i ich asymetrii spotkają mnie jakieś solidne tarapaty. Teraz wiem, jak to się nazywa profesjonalnie: opadająca powieka. Pocieszam się, że Charlotte Rampling też ma taką. We wszystkich filmach i serialach, w których ją

widziałam, jest stara, a jej powieka opada. I jest przy tym niemiłosiernie *sexy*. Kariera młodej wizjonerki, którą wcześnie rozpoczęłam, jeszcze wielokrotnie się przejawiła, równie błyskotliwie. Generalnie uważam, że sukces przyniosło mi bardzo intensywne przeczucie, iż kolejne dekady będą pełne prawdziwych plag, katastrof i kryzysów. To się sprawdza. Starzenie się kobiety jest najbardziej wstydliwą rzeczą, która może przydarzyć się człowiekowi. Może oprócz choroby psychicznej. Lepiej wiedzieć to jak najszybciej i zainwestować w dobre geny, a jak akurat jest ich deficyt, to później, już po narodzeniu, trzeba biegać do drogerii Pigment dwa razy w miesiącu. Tam zawsze pomogą panie ekspedientki. Sam ich widok podniesie na duchu. Są wśród nich stare i młode. Stare dalej się malują i wklepują kremy, co rozgrzesza je ze starości i daje możliwość pracy. Wszystkie polecają retinol i restrykcyjne unikanie słońca. Te rekomendacje są zależne od aktualnej mody i innych faktów zwykle tonących w dalszej perspektywie. Kilka lat temu na topie były olejki roślinne, wcale nie retinol. Potem jednak napisali w „Wysokich Obcasach”, że ten trend spowodowany był zalewem europejskiego rynku przez importowane oleje, które należało szybko sprzedać. Napisali, że w ciągu dwóch lat wszystkim osobom, czyli kobietom, które smarowały twarze olejem, wyjdą pryszcze, i to takie, że nie wiadomo nawet, czy dermatolog da radę pomóc. Chciałabym dodać, że te oleje były naprawdę niebezpieczne, bo w Polsce na dermatologa z NFZ czeka się nawet kilka miesięcy. Kiedy przeczytałam ten artykuł, lekko się wystraszyłam. Nie był to dla mnie totalny szok, bo byłam zawsze przykładną obserwatorką lewicowych inicjatyw na Facebooku. Dlatego cała afera olejowa wydawała mi się zrozumiała. Gdzieś coś staniało, więc zostało zamówione, żeby tu szybko sprzedać kobietom pod pretekstem mitu urody. Mimo to postanowiłam treść artykułu jak najszybciej wyprzeć, bo przecież nikt nie wróci mi straconych lat, nie cofnie czasu, żebym mogła

zamiast olejem abisyńskim wysmarować się retinolem. Kiedy smarowałam się olejami, czułam się bezpieczna. To było kilka lat temu. Byłam tuż przed trzydziestką i moja skóra – mimo wielu lat palenia – była w całkiem niezłym stanie. W ogóle nic nie zapowiadało tych rys, które dziś rzeźbią mi twarz. Teraz wiem, że skóra starzeje się głównie od słońca, więc mimo że moda się zmienia, absolutnie konieczne jest stosowanie dobrego kremu z filtrem. To szczególnie ważne dla osób z jasną karnacją i rudymi włosami. Obecnie wiadomo, że brak słońca powoduje niedobór witaminy D. Jej deficyt także przyczynia się do szybkiego starzenia się skóry. Pomóc może suplementacja, ale nie byle czym, tylko substytutami o dobrym organicznym składzie, produkowanymi najlepiej w Kalifornii. W tej sytuacji dla osób szczególnie narażonych i wrażliwych na słońce pozostaje równoległe stosowanie organicznej witaminy D i kremu z filtrem, najlepiej z linii profesjonalnej. To, czy starzenie się może być znośne, zależy od wielu rzeczy. W dużym stopniu decyduje o tym światło w łazience oraz rozmieszczenie luster w przestrzeni. W moim domu, z którego jestem bardzo dumna, bo udało mi się już rok z niego nie wyprowadzić, lustro w łazience jest beznadziejne. Przez nie naprawdę czuję, że się zestarzałam i że zupełnie nie wiem, co będzie, jak to dalej posunie się w tym kierunku.

Przypomina mi się historia Marilyn Monroe, którą opowiedziała mi matka, kiedy byłam małą dziewczynką. To była opowieść ilustrowana zdjęciami z czasopisma dla kobiet. Dotyczyła niewyjaśnionej śmierci aktorki i podsuwała rozwiązanie zagadki. Magazyn sugerował, że Marilyn nie dała sobie rady ze starzeniem własnej twarzy. Dowodził tego na podstawie zdjęć portretowych Monroe, opublikowanych razem z tekstem. Zdjęcia przedstawiały pocięte, porysowane fotograficzne portrety aktorki. Podobno ona sama w szale poddała je destrukcji. Miała wtedy trzydzieści sześć lat i niedługo potem umarła w niewyjaśnionych okolicznościach.

Moja matka uwielbiała tę dramatyczną historię. Z tego, co pamiętam, później równą miłością obdarzyła jeszcze tylko historię Jezusa. Jako dziecko wiedziałam, że opowieść o Marilyn jest ważna. Że jest w niej patos i wzniosłość oraz prawdziwy dramat. Mojego lustra w łazience bardzo się boję i czuję, że może być źródłem jeszcze większych problemów w niedalekiej przyszłości. Kiedy przyglądam się mojej twarzy, zdarza mi się wpadać w kosmiczne leje. Znam to właściwie od dziecka, ale teraz jakby wpadam głębiej. Głębsze są też zmarszczki. Nie wiem już nawet, czy są to zmarszczki mimiczne, czyli te niby zwykłe, przysparzające mniej problemów, czy już te prawdziwe. Ani gdzie jest granica między jednymi a drugimi. Na pewno te pierwsze stają się drugimi, ale kiedy i od czego to zależy? Od genów, od opalania, od kremu, od palenia papierosów czy od późnego chodzenia spać? Kiedy wpadnę w lej, fiksuję się szczególnie na skanowaniu zmarszczki koło ust. Mam taką tylko z prawej strony. Lewa część twarzy jest gładka. Będąc w leju, próbuję zweryfikować, ile milimetrów może mieć zmarszczka. Czy jest to aby ta mimiczna? Wyobrażam sobie, jakby to było jej nie mieć. Już dwa lata temu zaczęłam uważnie się sobie przyglądać, przynajmniej kilka razy dziennie. Znajoma poradziła zamówić z AliExpressu krem w tubce koreańskiej produkcji. Rekomendowała go od serca, kiedy rozmawiałam z nią w kuluarach po moim performance *The Beauty Myth*. Ostatecznie nie zamówiłam wypełniacza, tak się ładnie nazywał, bo nie chciałam przepłacać. Poza tym zainspirowałam się Monicą Bellucci, która do swojego starzenia się podchodzi na luzie i jest dzięki temu „piękna poza czasem”.

Pęknięcie

Na mejle trzeba poświęcać sporą część życia. Są obietnicą lepszego jutra. Każda wiadomość, na przykład zgłoszenie na artystyczny *open call*, jest jak sygnał SOS wysłany w świat. Dbam o swoje mejle. Staram się używać poprawnego języka, stosować zasady gramatyczne oraz dobrą interpunkcję, kiedy je piszę. Coraz częściej jednak myślę, że to nikogo nie obchodzi, że w mejlach liczy się tylko informacja o tym, czym gospodaruję i co z tego można mi zabrać, wynająć lub ode mnie pożyczyć. Zwykle wydaje mi się, że dobre dni to te, w których dostaję dużo mejli. W ten sposób moja wartość się potwierdza. To prosty i niepodważalny dowód na to, że istnieję. Dostałam milion mejli, w których dziękowano mi za udział w konkursach i z przykrością informowano, że zgłoszenie było jednym z miliona zgłoszeń. Tym samym przepadło, ale żebym nigdy, przenigdy nie poddawała się w pisaniu kolejnych. Takich mejli już teraz nie czytam. Jak tylko rozumiem, że będzie mi od nich przykro, to je kasuję. Uczę się doceniać mejle, nawet jeżeli przez cały tydzień, czyli od poniedziałku do piątku, dostanę tylko jeden lub dwa. Weekendy się nie liczą. W weekend mejli nie wolno pisać, no, chyba że do przyjaciół. Wszystkim innym należy się spokojne robienie zakupów, malowanie paznokci, pranie razem z wieszaniem, weekendowa sałatka i seriale z Netfliksa.

Bycie współczesną artystką na zawołanie to ciężka, nużąca i frustrująca praca, szczególnie gdy wierzy się w sztukę. Całe dni spędza się na chanellingowaniu informacji z kosmosu i rytmizowaniu ich ze zindywidualizowanymi treściami, które, jak na trąbce, wygrywa własne życie. Jako artystka jestem wiecznie zależna od lajków: zrozumienia,

uznania i zapotrzebowania. Jeśli chcę realizować własny program – z grubsza ujmując: radykalnie alternatywny – zapotrzebowanie i zrozumienie nie mogą być nadmierne. Mój wolny zawód wymaga dbania o terminy, skrupulatnego wypełniania wniosków i formularzy, adekwatnego wyceniania prac, wnoszenia licznych opłat wpisowych, które są zawsze bezzwrotne, i dostarczania drogą internetową licznych i różnorodnych dzieł sztuki wraz z polskimi i angielskimi opisami. Dzieła sztuki w formie plików muszą być opisane według wzoru. Nie wolno ich kompresować, muszą ważyć niewiele i być zapisane w formacie JPG lub PDF. To ciężka praca. Nadzorowanie tej całej drogi, od momentu gdy doświadczam spotkania z ideą w formie jeszcze niejasnej, przedobrazowej i przedsłownej, będącej neuronalnym spazmem, pseudoorgazmem, do zapisania jej jako pliku o odpowiedniej wielkości i formacie to czasem syzyfowa praca. Wiem, że jestem odpowiedzialna za swoje prace, że muszę im matkować. Oddać im czas i energię. Spłodzić, wykarmić cyckiem, ogrzać własnym ciałem, a potem wychować na ludzi i sprawić, by znalazły pracę. Dlatego tak bardzo mnie bolą te wszystkie mejle zwrotne w stylu: „Tak nam przykro, dziękujemy za włożony trud, tym razem nie możemy, prosimy próbować dalej, zapraszamy do newslettera, śledzenia nas na Facebooku i Instagramie oraz płatnego subskrybowania”. Chciałabym nigdy już nie musieć ich czytać ani kasować, ani udawać, że w ogóle mnie nie obchodzą, że nie wiem, że tak na serio one krzyczą: „Co z pani za matka! Rodzi pani same suche patyki”. Żeby zerwać z mejlami, musiałabym mieć prawdziwą pracę, której bardzo się boję. Lękam się poczucia niewoli, którego jeszcze nigdy nie udało mi się uniknąć, podczas licznych prób pracowania, podejmowanych na przestrzeni lat. Jestem przerażona, że będę musiała wykonywać rzeczy nie dlatego, że przyszły mi do głowy, ale dlatego, że są do zrobienia z przydziału. Czuję, jakby to był kosmiczny, karmiczny ciężar,

którego nie powinnam już dźwigać. To dla mnie dramat jako dla artystki, przymusowy obóz pracy. Porównanie oczywiście przesadne, ale adekwatne do emocji. Wychodząc z roboty w muzeum o szesnastej, zawsze czułam się jak pies, który się zerwał z łańcucha, lecz wie i tak, że go znajdą. Podczas siedzenia przez osiem godzin przed komputerem nie mogłam pozbyć się wrażenia, że wsadzono mi na głowę koronę cierniową. Już samo przykucie do biurka i przymus patrzenia w ekran wydawały mi się jawnymi torturami.

Innym razem doświadczyłam, że życie może zmienić mejl z potwierdzeniem, iż wygrało się nagrodę i ktoś chce przelać kilka tysięcy za fotografię. Jeśli ma się do tego rentę socjalną, to rozwiązuje sprawy bytowe na kolejne pół roku. Można żyć i się nie przejmować.

Czasem na głowie siada mi potwór i tamuje myśli. Wówczas czuję, jakby ktoś wetknął mi w nos grubą, źle zwiniętą gazę, żeby zatamować krwotok, i władczo wrzasnął: „Głowa do tyłu!”. To bywa przyjemne. „Otamowanie myślenia” nie jest terminem, który wyrósł z mojego literackiego konceptu. Jest to poważny termin. Często odnosi się do stanu popsychotycznej depresji. Byłam pod wielkim wrażeniem, kiedy na terapii grupowej użył go pacjent. Zapamiętałam go jako nieciekawego grubasa. Trudno powiedzieć, czy to, że jest gruby lub nieciekawy, stało mu się po lekach. Może tylko jedno to konsekwencja leków, może żadne. Był to młody dres, też nie wiadomo, czy po prostu, czy po lekach. Podczas swojej rundy, między opowieściami o tym, ile zjadł rano kanapek i z czym oraz że wczoraj pół godziny kopał z ojcem piłkę, a z mamą ogródek przez godzinę, i w zasadzie nic więcej się już nie wydarzyło, ale dzień był udany, dodał, że ma otamowane myśli. Zrobiło to na mnie wrażenie. O mało nie złamałam zasad grupy terapeutycznej i nie zaczęłam poza kolejką bez udzielenia mi głosu komentować, że to jest termin po prostu boski. Nie dość, że oddaje prawdę, to jeszcze jest literacki. Dwa porządki pracują w nim

równocześnie, jak życie i choroba, zlepione na zawsze, zabawne i tragiczne, często niewiarygodne. Cenię grupy terapeutyczne tego rodzaju, czyli dzienne. Nie trzeba spać razem z pacjentami w szpitalu, ustawiać się w kolejce do prysznica, malować i zmywać równocześnie paznokci na korytarzu, chrapać w jednej sali, dzielić się masłem oraz pożyczać sobie widelec, żeby zrobić z niego multifunkcyjną smarowaczkę do chleba. Grupy dzienne pozwalają zachować elegancję i tajemnicę. Nie znasz tembru chrapania ani zapachu bąków innych osób. Możesz nawet pomyśleć, jeśli akurat cię nie otamowało, że w innych warunkach albo na przykład za kilka lat dawny pacjent lub pacjentka mogliby być całkiem atrakcyjni. Na terapii jest zawsze dużo muzyków i malarzy, czasem też artystów multimedialnych. Terapeuci mówią po prostu, że tu są sami artyści. Wyspa artystów, ale jakby trochę bezludna. Po niektórych widać od razu, że mają problemy. Są strasznie grubi. Nie trochę, tylko strasznie, więc też od razu wiadomo, że po lekach. Są tacy, którzy zasypiają, kiedy mówią, co wczoraj robili, albo leje im się wtedy ślina po brodzie. Niektórzy nie potrafią wykonywać podskoków na porannej rozgrzewce albo są tak otamowani, że jak prowadzą rozgrzewkę, to zawsze robią to samo, dziwacznie. Albo tacy, którzy chodzą w za dużych babcinych kapciach, tacy, którzy zasypiają na przerwach na sofach albo mają ewidentne tiki całej głowy. W grupie pomiędzy pacjentami znajdują się panie terapeutki, czasem też psychiatrzy. Z nimi nie ma żartów. Są wcieleniem władzy. Psychiatra może całkowicie wpłynąć na twoje życie, zupełnie je zmienić, dodać pięćdziesiąt kilo lub pięć godzin snu dziennie, wywołać lęki, tiki, drżenie, ślinotok, bezsenność, podwójne widzenie, rozdrażnienie, napady paniki. Może zabrać ci całkowicie libido, zlikwidować orgazm, erekcję, spowodować nagłą laktację, zaburzenia krwinek czerwonych, padaczkę albo zasunąć elektrowstrząsy. Na szczęście na terapii są sami dobrzy

psychiatrzy. Panią Agatę znam już od dekady. Jest wspaniała, wspierająca i mądra. Mówi bardzo niewiele, ale zawsze miłe rzeczy. Jest zachowawcza. Nie dodaje nagle leków ani ich z człowieka nagle nie zdejmuje. Lubi palić papierosy i nosić buty na bardzo wysokim obcasie. Takim z dziesięć lub dwanaście centymetrów. Niewiarygodne, żeby w tym chodził zwykły człowiek. Krążą plotki, że psychiatrzy na własny użytek, dla dopingu, też stosują dobrze dobrane, niewysokie dawki leków. Podczas terapii są dwie półtoragodzinne przerwy, w których można robić, co się chce, nawet opuścić ośrodek. Można też czytać książki, choć to nie jest rekomendowane. Panie terapeutki przypominają co dwie przeczytane strony, że ten czas powinno się wykorzystać dla siebie, czyli na integrację z grupą, nie na czytanie książek. Podsuwają w ich miejsce chińczyka albo karty. Zachęcają gorąco tym, że same grają z pacjentami. Czasem na zajęciach dochodzi do przemieszania się na sali pacjentów z terapeutkami. To tylko pozorny patchwork. Naprawdę od razu wiadomo, kto jest kim. Terapeutki są dobrze ubrane, pod kolor. Mają obrączki na palcach i odrosty maksymalnie do centymetra. Zawsze też jest jakiś trend, któremu aktualnie ulegają. Na przykład większość z nich to blondynki w niebieskim, koło czterdziestki. Podczas rundy porannej, kiedy mają głos, opowiadają, że były z synem w piaskownicy, a potem gotowały obiad i robiły deser. Kiedy położyły syna spać, to pojechały na jogę. Przez to już im nie starczyło czasu na odcinek *Sex Education*. Albo odwrotnie, że był serial, ale joga już nie, bo gdy wychodziły, to syn się obudził. Pani Asia często opowiada o tym, że zjadła po drodze do domu lody, i wymienia smaki. Poleca aplikację Good Lood na smartfona. Z nią można od razu sprawdzić, jakie smaki są na propsie danego dnia.

Ośrodek potrafi stworzyć rodzinną atmosferę i się nami zająć, otoczyć poczuciem bezpieczeństwa i akceptacji, dodatkowo udokumentować to

wypisem szpitalnym. Każdy dostaje swoją panią terapeutkę. Rozmawia się z nią dwa razy w tygodniu przez pół godziny w pustym pokoju. Do tego pokoju nikt wtedy nie może wchodzić. Informuje o tym zawieszka na drzwiach. Wszyscy ciągle wchodzą i pukają, bo czytanie ze zrozumieniem to rzadka umiejętność. To też jedna z pierwszych oznak inteligencji, która, niestety, kasuje się po lekach. Terapeutki to wiedzą i dlatego nigdy się nie złoszczą, kiedy ktoś wchodzi. Tylko się uśmiechają. Moją terapeutką jest pani Asia. Blondynka w niebieskim, około czterdziestki. Pani od lodów. Generalnie jej nie lubię, ale czasem potrzebuję. Denerwuje mnie, że nic nie rozumie, kiedy opisuję depresję i lęki. Zawsze komentuje, że jestem smutna. Albo że mam w sobie smutek z powodu choroby. Nie czuję tego. Czuję otamowanie myśli. Mówię jej o tym. Wtedy ona patrzy mi w oczy i mówi tak:

– Pani Olu, myślę, że jest pani smutna.

Wtedy się wkurzam, a ona kiwa ze zrozumieniem głową i jeszcze mocniej patrzy mi w oczy. Powtarza, że widzi mój smutek. Ma ogromne niebieskie oczy. Wpatruję się w nie i zastanawiam, jak zbudowana jest powieka, że są takie olbrzymie. Potem patrzę na nią i zaczynam płakać, mówiąc, że jestem smutna z powodu tego, co się stało. Pani Asia wyciąga z pudełka chusteczkę i podaje mi. W pokojach na stołach, przy których prowadzone są rozmowy terapeutyczne, zawsze stoi tekturowe pudełko z wyciąganymi chusteczkami. Pacjenci ich nie widzą, bo po epizodzie mają w sobie jeszcze dużo leków i nie są wystarczająco spostrzegawczy. Pewnego razu podczas intymnej rozmowy terapeutycznej pani Asia powiedziała mi, że mam prawo być smutna. Nawet bardzo. I powinnam sobie na to pozwolić. Tłumaczyła łagodnie, ale stanowczo, że podczas psychozy moje życie stłukło się jak cenna filiżanka z chińskiej porcelany. Teraz wydaje się, że zostały tylko bezużyteczne skorupy, jednak to dalej

moje życie. Opowiadała mi, że w starożytnych Chinach, gdzie mieli bardzo dużo tej cennej porcelany, ludzie specjalizowali się w jej sklejaniu, kiedy się rozbiła. Robili to za pomocą złota, którego używali jako spoiwa. Po takiej naprawie widać było, że filiżanka jest popękana, ale złoto dodawało jej wartości i tworzyło unikatowe wzory. Pani terapeutka powiedziała, że powinnam to samo zrobić ze swoim życiem. Wzruszyłam się. Oprócz tego razu nie udało nam się z panią Asią nawiązać porozumienia. Złościłam się, że nasze relacje są nierówne. Wtedy przypominała mi, że jestem smutna. Pamiętam, że raz nawet pojawił się w naszej terapeutycznej relacji konflikt. Pani terapeutka chciała zrobić specjalizację zawodową. W tym celu musiała przeprowadzić testy psychologiczne z osobą, która oddana została pod jej opiekę. To byłam ja. Powiedziała, że na testy poświęcimy jedynie kilka spotkań, a pytania będą łatwe. Dodała, że to dla mnie okazja, żeby więcej się o sobie dowiedzieć. Zawsze byłam bardzo łapczywa na dowiadywanie się czegoś o sobie. Chyba to mnie zgubiło. Pierwsze pytanie, jakie wylosowałam, rozwiązując test, brzmiało: „Jakie miasto jest stolicą Włoch?”, a drugie: „Skąd pochodzi spaghetti?”. Zdenerwowałam się i wybuchłam. Powiedziałam, że nie jestem w podstawówce i testów robić nie chcę. Pani terapeutka przekonywała mnie jeszcze chwilę, że powinnam podejmować nowe wyzwania. No, ale oczywiście, jeżeli nie chcę, to żaden problem. To przecież nie jest obowiązkowe. Jeżeli nie chcę sobie pomóc i czegoś się o sobie dowiedzieć, mam do tego prawo. Przypuszczam, że bardzo zależało jej na tej specjalizacji. Musiało się to łączyć z dodatkiem do pensji. Po tygodniu podeszła do mnie i spytała, czy nie zmieniłam zdania i nie chciałabym rozwiązać prostych, przyjemnych testów psychologicznych, dzięki którym mogłabym się czegoś o sobie dowiedzieć. Z nieukrywanym smutkiem odpowiedziałam, że nie, bo pytania są śmieszne i podważają fakt, że osoby chorujące psychicznie mogą być bystre

i inteligentne. Swoją drogą, pamiętam, że kiedy zrezygnowałam z testów, byłam przerażona także tym, że nie jestem pewna, czy Rzym i Włochy to dobre odpowiedzi. Z jednej strony wydały mi się oczywiste. Z drugiej – poczułam, jak w głowie unosi mi się mleczny dym, zawiesina kwetiapiny, którą co wieczór przed snem zalewam sobie mózg jak świeżym betonem.

Sprawa awansu musiała być dla pani terapeutki istotna. Po zakończeniu terapii wyszłam z wypisem i włożyłam go starannie do segregatora. Nudziłam się w klasycznej popsychotycznej depresji, w nowo wynajętym mieszkaniu, z nowym współlokatorem. Wszystko było od nowa, całe klejenie porcelany. Nagle zadzwoniła pani terapeutka. Miała inny ton głosu, niż kiedy opowiadała o swoich ulubionych lodach. Powiedziała, że byłam jej jedyną pacjentką, która mogła zrobić testy. Zawczasu wpisała mnie w rubrykę w systemie i nic nie można już było zmienić. Mówiła, że bardzo bym jej pomogła, gdybym przyszła wypełnić test, mimo że nie jestem już oficjalnie na terapii. Oczywiście dodała, że to tylko moja decyzja. Przypuszczam, że właśnie to mnie zdenerwowało. Przecież bardzo dobrze wiedziała, że nie chcę się o sobie dowiadywać, czy wiem, gdzie się je spaghetti. Było mi trochę przykro, że jeśli nie pójdę na te testy, to przepadnie mi jedna z niewielu okazji do zrobienia czegokolwiek, jakie człowiek ma w ciężkiej depresji. Bo jeśli nie trzeba zrobić czegoś z przyczyn zewnętrznych, to z własnej inicjatywy nie da się zrobić niczego. Mimo to odmówiłam ze smutkiem.

Idealny człowiek

Po kryzysie musiałam znaleźć sobie nowe miejsce do życia. Tradycyjnie pozostawało mi wynajęcie pokoju w mieszkaniu z kimś. Wiedziałam od razu, że najlepiej, jakby ten ktoś był przezroczysty, nie wchodził mi w drogę, nie chciał się zapoznać i nie miał przyjaciół, a do tego całe dnie nie byłoby go w mieszkaniu. Znalazłam Rafała. Informatyka ze wsi zatrudnionego w krwiopijczej krakowskiej korporacji. Zamkniętego w sobie, ale uprzejmego. Lekko zmartwionego swoją nadwagą i łysieniem oraz tym, w co najlepiej zainwestować zarobione pieniądze. W rynek sztuki, o którym nie miał pojęcia, czy może w srebrne monety, których miał już kilka? Po paru tygodniach wspólnego życia – ze sobą, ale na szczęście jakby bez siebie, Rafał w końcu zapytał mnie, jaki obraz powinien kupić. Bez wahania poradziłam mu ciemny obraz Bujnowskiego i zapewniłam, że to wybór bezkonkurencyjny. Rafał nigdy nie zauważył mojej depresji, mimo że kilka razy mu o niej wspominałam. Czułam, że powinnam mu się z siebie wytłumaczyć. Nie chciałam, żeby skrycie myślał, że jestem dziwna lub głupia. Wydawało mi się, że wyłożenie chociaż części kart na stół będzie rozsądne. Rafał nigdy nie gotował, kąpiel brał zawsze o tej samej porze i siedział w niej za każdym razem dwadzieścia minut, włosy mył Head & Shoulders, zęby pastą Blendamed i używał antyperspirantu Nivea w spreju. Król klasyki. Konsument wielkich brandów. Jak coś mu się zepsuło, to wyrzucał, nie naprawiał. Dzięki temu kilka razy weszłam w posiadanie istotnych dóbr. Zarekwirowałam na przykład spod śmietnika gramofon. Co miesiąc robił sobie prezent i kupował coś drogiego, markowe buty lub konsolę do gier. Pytał, czy mi się podobają te rzeczy. Zawsze

odpowiadałam, że są w porządku. Choć ściany naszego blokowego mieszkania były cienkie, nigdy nie słyszałam, żeby się masturbował. To mi odpowiadało. Nie pasował do wizerunku osoby, której życie seksualne chciałabym sobie wyobrażać. Gdybym słyszała, to nie miałabym wyjścia. Byłam mu wdzięczna, że mnie tym nie obarczał. Rafał raczej nie sprzątał, ale zawsze uczciwie dziękował mi, że to robię. Zresztą prawie nie brudził, bo sam mało żył. Długie godziny spędzał w korpo, a potem na leżąco zajmował się grami komputerowymi. Codziennie jadł zamówiony w plastikowym opakowaniu obiad albo pizzę. Rano pił kawę rozpuszczalną i przegryzał najbardziej typowe polskie kanapki, jakie tylko można sobie wyobrazić: chleb biały pszenny, margaryna, ser żółty i szynka. Sporo palił, ale zawsze na balkonie. Krótko mówiąc, był idealnym człowiekiem, z którym można żyć, kiedy ma się ciężką depresję. Przeczuwałam to już, kiedy znalazłam ofertę pokoju w sieci. Wrażenie utrwaliła pierwsza wizyta, podczas której oglądałam mieszkanie i Rafała. Była jeszcze wówczas olbrzymia współlokatorka, której miejsce miałam zająć. Rafał odnosił się do niej z szacunkiem i wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na jej rozmiar. Sama nie mogłam tak zrobić, bo jak zwykle moje oko, łaknące poznania formy, zaczęło się fiksować na rzeźbie jej ciała. Próbowałam wyobrazić sobie rusztowanie dźwigające taką bryłę. Rafał był wyjątkowo uprzejmy, w tradycyjny sposób, który ani nie skraca, ani nie wydłuża dystansu. Uznałam, że to dobry znak. Szybko obiecał, że jeśli jestem zdecydowana, to nikogo już nie szuka i w razie czego pomoże mi wnieść torby. To mnie ucieszyło. Chyba zadzwoniła wtedy matka. Podzieliłam się z nią moim szczęściem. Skomentowała krótko, że cieszy się, iż udało mi się znaleźć mieszkanie.

Przytułek gwiazd

Największą moją tajemnicą jest to, że sprawdzam, kim jestem, za pomocą wyszukiwarki Google. Zwyczajnie mam nadzieję, że dowiem się o sobie w ten sposób czegoś, co mnie pokrzepi. Kiedy nie mam już siły być sobą, a równocześnie rozumiem, że przecież nie można, ot tak, stać się kimś innym, wpisuję swoje imię i nazwisko w internet. Mam nadzieję, iż okaże się, że jestem zdolną artystką, potrzebną światu, i że jest to udokumentowane. Wyobrażam sobie, że stało się coś dobrego, co odczaruje mój los. Coś, o czym jeszcze nie wiem. Chodzi głównie o to, żeby gdzieś dobrze napisali o moich pracach lub je w ogóle zauważyli. To prawie się nie zdarza. Dlatego łatwo się zrażam. Świat sztuki to zresztą świat brutalny. Nijak nie da się odgadnąć, co decyduje o sukcesie artystycznym. Ilość czasu i energii, które trzeba stracić na pisanie kolejnych aplikacji o granty i zgłoszeń na *open call*, napawa zgrozą. Mało kto może sobie pozwolić na takie marnotrawstwo i naiwność. Nabijanie się w internet, aż stanie się wartościowym hasztagiem lub ikonką, która ma trzy tysiące obserwatorów. Bo dopiero tyle znaczy, że się jest kimś naprawdę. Walczy we mnie głód lajków z potrzebą wyrwania się z tego internetowego przytułku gwiazd. Czasem chcę pousuwać swoje konta na fejsie i Instagramie, pozbyć się strony internetowej i wyjechać daleko na Zachód. Do lepszego kraju, gdzie ser i kawa smakują intensywniej i gdzie za prostą pracę można zarobić tyle, że jest to biznes życia. Bo jeszcze trochę życia człowiekowi zostaje. A jak psują mu się zęby lub krwawią dziąsła, to czekają na niego porządni dentyści z porządnym sprzętem. Na Zachodzie każdemu należą się zęby.

Wydaje się, że artystów można podzielić na tych, którzy tworzą, i tych, którzy robią imitacje – formy, instalacje wideo, a nawet całe wystawy o niczym. Kipią z nich źle ujęte lub brakujące sensy, udawanie. Artystyczny magazyn „Pavilionesque” wydaje się drążyć zagadkę – to magazyn czy tylko jego prototyp? Robi to wprost. Tym samym wygrywa. Staram się wyczulić na własne wibracje. Słyszeć, kiedy przychodzą do mnie energie, słowa, obrazy i myśli. Kiedy splatają się w istotne pętle i sploty, a nie zamieniają w kołtuny. Kiedy wynikające z nich układy tworzą dalsze i bardziej wyrafinowane wzory. Czasem rzeczywistość wydaje się cała po to, by w niej tańczyć. Dopóki czuje się stopy na ziemi. Czy zdanie, że ktoś zrobił artystyczny postęp lub rozwinął się, ma w ogóle sens? Bo jeśli ten postęp wymagał po prostu uporu, ciężkiej pracy i wymuszenia sprzyjających warunków, jest to nijaki postęp, a raczej efekt walki.

Chciałabym już nigdy nie wpisać swojego imienia i nazwiska w Google i z nikim nie porównywać liczby lajków ani obserwujących. To skromne, ale konkretne marzenie. Wierzę, że dzięki temu będę mogła się skupić, zrobić coś uważnie i od serca. Sztuka jest dla mnie Wielką Matką, Boginią, Czarownicą, Wiedźmą, która czasem objawia mi się, strzela piorunem w moje lędźwie, w miednicę, brzuch i narządy rodne. Tam się ściąga i instaluje we mnie jak aplikacja. Aktywuję ją i wówczas wiem. Doświadczam pełnego widzenia. Sztuka przypływa do mnie mocą morskiej fali i szura całą moją świadomością, jak kamieniami na brzegu. Wiem, że zrobi nowe porządki, ustali nowe konfiguracje wewnętrznych form. Nie będą jednak łatwe do wyjaśnienia przez internet ani do zamienienia na lajki. Lajki, które są nową walutą artystów. W Polsce artystom z rzadka płaci się inaczej. Jeśli nie urodzą się majętni, będzie im ciężko. Bycie artystką to najbardziej upodlające zajęcie świata. Sama przed sobą nie mogłam długo nazwać się artystką. Bo artysta był dla mnie tym, kto miał moc. Dostał ją od

Ziemi i Nieba. Narodził się na spotkaniu biegunów, integrował w sobie światło i mrok. Żył oraz był ponad śmiercią. Nigdy nie mijał, bo minął już zawczasu. Spotkał się ze sobą na wylot. Nałożył się na siebie. Świadomy siebie *Doppelgänger*. Myślałam, że to nieskromne przyznawać się do czegoś takiego. Musiałam czynić dużo prób i ćwiczeń oraz sprostać licznym wyzwaniom, żeby zostać artystką. Odebrałam przyjacielowi nazwisko, by się przechrzcić. Zrobiłam to drogą ślubu i rozwodu. W ten sposób wzięłam sobie moc, której nigdy nie dostałam od nikogo, której mi zawsze brakowało. Nazwisko zadziałało, bo przejęłam je z miłości. Wyobraziłam sobie ród Gemzów z Dalekiej Północy przyjmujących mnie jako dawno zagubioną księżniczkę, która wreszcie się odnalazła. Teraz zostanie spadkobierczynią rodowej mądrości, mocy tajemnego plemienia kierującego się filozofią buddyzmu zen zespoloną z energią punkrocka. Gemzowie byli ludem transcendentnym, mieszkającym głównie w przestrzeni Astralu. Jeśli się ucieleśniali, to w ludziach bardzo smukłych, opalonych, o pięknym kształcie czaszki i unikatowych oczach. Wielkich, w kształcie niepodobnym do żadnych ludzkich oczu. Słodkich i ponętnych, ale odległych i nieosiągalnych. Pewnego razu w amoku zdradziłam ten lud i sprzedałam jego tajemnice szarlatanowi, który nimi pogardził. Mimo to nie zostałam wydalona. Kara była inna. Miałam od tej pory stać się główną przedstawicielką rodu, pierwszą kultywatorką jego mądrości. Pozwolono mi zachować kontakt z członkami rodu, ale nigdy już nie było mi dane zespolić się z moim stadem i czuć w nim jak w rodzinie. Zostałam stepową wilczycą. Nigdy tak dostojną jak wilk stepowy. Zmuszoną dźwigać swe pełne mleka cyce i nigdy nie doczekać ssącego je potomstwa.

Krąg kobiet

Uwielbiam otwieranie się na całego przed ukochaną osobą, ale nie znoszę półotwierania się na ludzi. W relacjach dążę do kompletnego zespolenia. Inaczej jestem przestraszona podejmowaniem prób zbudowania konwencjonalnego związku. Najgorsze są oczywiście relacje rodzinne. Od zawsze czułam, że świat nie pozwala mi być sobą. Skazuje na nudę i sztuczność, z którymi sobie nie radzę. Z drugim człowiekiem pragnę całkowicie się zlepić, wchodzić sobie nawzajem na głowę, wlewać się przez uszy i nos. Wymieniać spojrzeniami, śliną, dotykiem. Dlatego buduję trochę toksyczne związki, w których chcę kogoś za bardzo i nie umiem się nim w ogóle dzielić. To bardzo trudne na dłuższą metę, dlatego że po prostu nie da się tak funkcjonować. Jakiś czas temu to zrozumiałam. Poszłam na terapię. Na tych, których pokocham z wzajemnością, bardzo mi zależy. Kochanie mnie dla większości ludzi jest zbyt trudne. Jeśli ktoś już to umie i tego chce – to cud. Reszta ludzi przydaje mi się jako statyści w serialu i modele. Słucham ich zwykle, by sprawdzić, czy nie mówią czegoś wartego zapisania, lub wpatruję się w nich. Obserwuję, jak rozkłada się im światło na twarzy, jak komponują się kolory ich stroju z fizjonomią lub tłem. Często przypatruję się gestom i figurom. Większość relacji wymaga prostych rzeczy, łatwych odpowiedzi. Nigdy się tego nie nauczyłam. Zwykle czuję, że odpowiedź na każde pytanie powinna być głęboka i rewolucyjna. Kiedyś sporo malowałam farbami. Kiedy z kimś rozmawiałam, jego twarz dzieliła mi się na małe pola wypełnione kolorami. Szukałam pasujących barw. W głowie mieszały mi się farby z kilku tubek. Próbowałam otrzymać kolor, który pasowałby do barwy oka lub włosów

mojego rozmówcy. Na szczęście trochę przesadzam. Oprócz partnerów udało mi się jeszcze kilka razy zaprzyjaźnić z ludźmi. Możliwe, że lepiej szło mi z mężczyznami, bo z kobietami było zwykle za dużo porównywania się, co nieprzyjemnie rozpraszało uwagę.

Zapiski mają zmienny rytm i przeobrażają się szybko, jak miny na twarzy człowieka o bogatej mimice. Chciałabym naraz powiedzieć wszystko, chwycić wszystkie sroki za ogon. Może jest tak, bo mnie samej brak stabilności, nie znam poczucia ciągłości? Zbyt wiele rzeczy w moim życiu jest dynamicznych. Bywa, że mam w głowie pełno wierszy, przemyśleń i słów. Próbuję za ich pomocą porządkować stany wewnętrzne. To niełatwe, bo w środku często jest jak w kalejdoskopie. Wszystko się zmienia – ciągle. Nie ma stałych form i układów. Jak można uporządkować ciągły ruch? Może tylko przyglądając się mu z boku, przystawiając kamerę? Nie – to byłoby zbyt mało, co najwyżej zdystansowanie, może pogodzenie, ale nie uporządkowanie. Bywam jak wodospad lub tornado. Od dziecka bardzo staram się siebie zrozumieć, dotrzeć do takiej wiedzy o sobie, jaka przyniosłaby mi możliwość wewnętrznej transformacji. Bo jednak zwykle jest mi w sobie mocno niewygodnie. Jestem spragniona wglądów. Czyli takich momentów, kiedy wchodzisz w siebie, rozpoznajesz teren, a potem wynosisz z niego śmieci. Ktoś musiał we mnie zakopać masę złomu, a nawet odpadów radioaktywnych, bardzo głęboko. Ile bym wglądała w siebie, i tak nie mam możliwości tego posprzątać. To nie jest *fair*. Toksyczne rupiecie we mnie to geny sprzed pokoleń, źle pozbierane chromosomy, drzazgi w łańcuchu DNA. Dziedzictwo jakiegoś gangu, o zgodę na przynależność do którego nikt mnie nie pytał – czy chcę, czy nie chcę. Czasami myśl, że nie jestem odpowiedzialna za swoje egzystencjalne spazmy czy wewnętrzne szamotania, pociesza mnie. Że wszystko to jest tylko biologicznym koktajlem Mołotowa. Pociesza jednak na krótko.

Koktajl muszę pić szot po szocie każdego dnia. Bywa, że ma smak obrzydliwej, źle przygotowanej jaglanki oblanej syropem z piołunu. Podejmowałam już liczne próby przeczyszczenia swojej karmy. Próbowałam rozmaitych medytacji buddyjskich i tych świeckich, ustawień rodzinnych, diety z ziaren, psychoterapii, tańca poprzez ciało i innych rzeczy poprzez ciało, które bywają modne i na które można mieć zniżkę na Multisporta – jogi, *tai chi*, pilatesu, *qigong*, Kręgów Kobiet, Chrystusa, LSD, grzybów czy dreadów. Od najmłodszych lat bardzo się starałam.

Do dziś dready wyrastają mi w snach. To jeden z ulubionych sennych lejtmotywów mojego mózgu. Czasem je mam, czasem zaplątuję, czasem rozplątuję. Często we śnie nie pamiętam, czy je mam, czy już obcięłam. Sprawdzam. Dready zrobiła mi najlepsza przyjaciółka, kiedy obie miałyśmy siedemnaście lat. Robiła je całą noc. Był marzec. Pamiętam, bo koty się darły. Byłyśmy bardzo podniecone tym kocim darciem, bo nie mogłyśmy odróżnić, czy to rzeczywiste dźwięki, czy halucynacje z bezsenności. Liczyłyśmy na halucynacje. One były naszą wspólną pasją. Byłyśmy wykwalifikowanymi łowczyniami halucynacji. Najdzielniejszymi na Żywiecczyźnie. Moja najlepsza przyjaciółka miała już wówczas od kilku miesięcy całą głowę w dreadach. Wyglądała w nich przepięknie. Wszyscy jej to mówili. A tym, którzy jej nie mówili, ona sama mówiła, że wszyscy jej to mówią. Lata naszej przyjaźni w dużym stopniu spędziłam przytłoczona faktem, że ma najpiękniejsze na świecie czarne oczy. W porównaniu z jej oczami moich prawie nie było widać, a ich kolor przypominał niewyraźne mydliny. Zawsze byłam dobra w wynajdowaniu powodów, by się nad sobą znęcać. W gruncie rzeczy nasza znajomość była pozytywną dziewczyńską więzią. Chociaż pewnie żadna z nas nie definiowała się wtedy ochoczo jako dziewczyna. Dziewczyny były słabe i pachniały tanimi prowincjonalnymi perfumami. My byłyśmy odważne

i w dreadach, gotowe na wszystko, skupione na halucynacjach i lokalnych koncertach Kazika lub TSA. Albo chciałyśmy być od razu kobietami. Mama mojej przyjaciółki była prawdziwą kobietą. Pani Emmanuelle łączyła w sobie niespotykane rzeczy. Była zarazem dostojna i zmysłowa. Kiedy ją poznałam, miałam jakieś czternaście lat. Cała wieś, w której się wychowałam, wszyscy jej mieszkańcy i nauczyciele w szkole zawsze zaprzeczali, że kobieta może robić te dwie rzeczy naraz: myśleć i uwodzić. Moja matka nie miała czasu ani na jedno, ani na drugie. Zwykle po pracy myła na kolanach mokrą szmatą nasze mieszkanie wyłożone rakotwórczymi płytkami PCV. Albo piła gorzką czarną herbatę i miała migreny. Teraz myślę, że nie powinnam porównywać matki z panią Emmanuelle. Ani oceniać. Oczywiście najlepiej byłoby przestać w ogóle kogokolwiek oceniać. Pani Emmanuelle miała inne geny, inne podłogi, inne rzeczy w lodówce, inną pracę oraz inną córkę. Matka miała trochę większego pecha, który zresztą zgrabnie, tanecznym krokiem przeniósł się na mnie. Jestem wymarzoną dziedziczką pokoleniowych traum. Miejscami mój życiorys wydaje się doskonałym świadectwem zgoła fatalnej karmy. Kiedy myślę o pani Emmanuelle, pojawia mi się przed oczami szczególna scena, w której występujemy razem. Jest dużo dokładniej zapisana w mej pamięci niż inne sytuacje, w których uważnie i łapczywie obserwuję nadgarstki, kostki, cycki, oczy czy kości policzkowe pani Emmanuelle oraz wsłuchuję się jak w kołysankę w jej namiętny, ale stanowczy ton głosu. W tej scenie stoję przed panią Emmanuelle. Jest poranek. Spionizowałam się po nocy zatrucia tramalem. Pragnę zrobić na niej dobre wrażenie, żeby mnie pokochała lub przynajmniej uznała za piękną. W przeciwieństwie do najlepszej przyjaciółki nie byłam cwaniaczką, dlatego udawanie szło mi tragicznie. Za te umiejętności darzyłam ją zasłużonym podziwem. Dzięki swojemu talentowi robiła dla nas wiele wspaniałomyślnych rzeczy.

Potrafiła rekwirować ojcu papierosy i marihuanę w zadziwiających ilościach, wyciągać matce z portfela grube banknoty i sprzedawać znalezione w domu złoto w lombardach, żebyśmy miały na piwo lub wejście na punkowy koncert. Jak było trzeba, sama zajmowała się handlem i usługami. Sprzedawała własnoręcznie robione torby, szaliki i oferowała profesjonalne dreadloki. Nigdy nie sądziłam, że można być tak zaradną. W nocy poprzedzającej poranną scenę w kuchni, w której performuję przed panią Emmanuelle osobę nadającą się do kochania, przyjaciółka miała dla mnie rarytas. Jakiś czas temu jej ojciec, mąż pani Emmanuelle, coś sobie złamał. Przepisano mu na to tramal. Teraz tramal marnował się w szafie. O jego drugie życie zadbała najlepsza przyjaciółka. Zaaplikowała mi tramal na łyżeczce do herbaty. Byłam bardzo wdzięczna, że dopuszcza mnie do wspaniałych wizji, które miały nadejść. Czekałam na obiecane wzorzyste latające dywany i orientalne kwiaty wyrastające z powietrza. Byłam świeżo po lekturze *Narkotyków* Witkacego, więc oprócz reklamy, którą zrobiła przyjaciółka, wiedziałam z poważnych źródeł, czego mogę się spodziewać. Niestety, zamiast wszystkich obiecanych dóbr przyszło mi oglądać jedynie moje zamknięte powieki nasadzone na gałki oczne. W przerwach od wizji chodziłam wymiotować. Trwało to całą noc. Nad ranem przyjaciółka sprowadziła mnie po schodach na dół, do kuchni, gdzie z kluczykami do samochodu w ręce czekała pani Emmanuelle. Miała nas odwieźć do miasteczka. Pamiętam dobrze, jak stałam przed nią i ledwie mogłam doświadczyć, jak bardzo jest zjawiskowa, bo po tramalu nadal zamykały mi się oczy. Właściwie to nie chciały się otworzyć. Marzyłam, że dopasuję próby podnoszenia powiek do rytmu, w jakim pani Emmanuelle mrugała. Była to utopijna wizja. Pani Emmanuelle musiała coś podejrzewać. Udało mi się wleźć do samochodu. Kiedy wysiadłam, przyjaciółka pomogła mi dobiec do rogu kamienicy, gdzie puściłam tramalowego pawia. Na

szczęście pani Emmanuelle tego nie zauważyła, bo poszła wtedy do banku. Wtłoczyłam się w autobus numer siedem i pojechałam do domu, gdzie czekała na mnie matka ze swoją herbatą Lipton. Moja matka często powtarzała, że życie uczy pokory. Mnie na pewno. Każdego prawdopodobnie uczy czegoś innego. Ludzie to tylko pozornie jeden gatunek. Z myślą o tym intensywnie pracuję, by oduczyć się porównywania z innymi. Idzie mi źle. Robię to zawsze, kiedy spotykam ludzi. Chciałabym przynajmniej nigdy nie mieć obok małego człowieka, któremu będę mówić, czego uczy życie.

Moim najnowszym pomysłem na tych małych ludzi, którzy się obok mnie nie zjawią, jest zakupienie kubka menstruacyjnego. Diabelski kapitalizm dobrze wie, że zakupy są najlepszym rozwiązaniem na wszystko. W wieku Jezusowym wpadłam na pomysł, by zacząć zakopywać swoje zużyte, obumarłe jajka. Pomyślałam, że tak byłoby im miło. Zamiast wyrzucać złuszczone, martwe komórki jajowe wraz z plastikowymi podpaskami, mogłabym zakopywać je w wielkiej donicy ulubionego kwiatka. Pomysł ten podsunęła mi przyjaciółka joginka. Podczas którejś domówki u nas, gdy wszyscy zajadali ze smakiem pizzę chłopaka, z czego się cieszył, Julita szepnęła mi do ucha, że nigdy nie wylewa swojej menstruacyjnej krwi. Zawsze poważnie traktuję jej słowa. Julita należy do nielicznej grupy kobiet, których kochanie przychodzi mi łatwo. Do uczucia miłości dołącza się też podziw – naturalny, prosty, który nie ustawia nas na jednej linii i nie prowokuje pytania o to, komu się on bardziej należy. To karmiące uczucie. Trochę inaczej jest z kobietami, które fotografowałam. W momentach sesji kochałam je wszystkie, na wiele sposobów. Julita nie ma wieku. Czasem wydaje się już stara, ale w sposób dostojnie mistyczny. Jak kobieta wtajemniczona w sprawy Wiedźm. Ma zdolność równoczesnego wierzenia w bajki i wyśmiewania ich, puszczania mimo

uszu. Kubek menstruacyjny wydaje się świetnym prezentem urodzinowym, który mogę dać sama sobie. Chłopak też się ucieszył, kiedy mu powiedziałam, że chciałabym mieć coś takiego. Wierzy, że należy ratować świat i strzec się przed plastikiem. Myślę, że rozpoznał sytuację w sposób pragmatycznie ekologiczny.

– Mooncup?

Dopytał, jakby był znawcą tematu. Sprawdziłam w internecie. Kubki można mieć w dwóch rozmiarach. Kobiety, które rodziły dzieci lub mają ponad trzydzieści lat, zasługują na duże. Teraz jest moda na kubki. Uczą o nich kobiety przewodniczki w kobiecych kręgach. Najlepsze są kręgi organizowane w pełnię albo nów. Grupa kobiet zwołuje się przez Messengera albo tworzone jest wydarzenie na Facebooku. Wówczas kobieta wtajemniczona, organizatorka kręgu rozsyła facebookowe zaproszenia. W opisie wydarzenia daje znać, że jest zrzutka na salę, ale że będą darmowe aromatyczne herbaty, a dla pierwszych dziesięciu osób też darmowe ciasta wypieczone od serca. Im jest więcej różnych kobiet na kręgu, tym lepiej. Idea polega na tym, by stworzyć atmosferę otwartości, empatii i wzajemnej afirmacji, a równocześnie od razu zapomnieć o problemach sióstr, by wyjść z kręgu oczyszczoną, lekką i nie brać na siebie złej energii, czyli cudzych trosk.

– Krąg to medycyna. Działa sam w sobie, uzdrawia i ma świętą moc. Nie musicie nic robić. Po prostu usiądźcie w kręgu. Kiedy trzymacie w ręku kryształ, wielki jak bawole serce, możecie wówczas mówić, co tylko zapragnie wasza dusza. Pamiętajcie o tym, że wszystko, co mówicie, jest dobre, i o tym, by sobie wzajemnie nie przerywać.

W ten sposób Krąg rozpoczyna piękna, młoda, czarnooka Jagoda. Widać, że trochę testuje w tej sytuacji swój autorytet. Na Kręgach dużo mówi się o menstruacji. Że ma moc, że jest święta. To czas na reklamę

Mooncup. Lata temu byłam na wykładzie Czerwony Namiot dotyczącym tego, że w życiu najważniejszy jest cykl menstruacyjny. Bardzo się tym przejęłam. Założyłam zeszyt, w którym każdego miesiąca rysowałam swoje jajo. Wtedy zaczął się boom na Mooncup. Synchronia kapitalizmu.

Od dziecka przeczuwałam, że kobieca menstruacja związana jest z jakąś kosmiczną tajemnicą. W końcu zaczęłam uważnie przyglądać się miękkim obiektom owiniętym w nieaktualne strony „Tele Tygodnia”, które matka co miesiąc pakowała w dużej liczbie do kosza na śmieci. Odwijanie ich było nielegalne i kuszące. Jak wyjęte z serialu *Z archiwum X*. Robiłam to łapczywie, po kryjomu. Wciągnęłam w temat ulubioną koleżankę. Wspólnie rozwinęłyśmy działalność. Zamiast przeszukiwać kosz w moim mieszkaniu, skupiłyśmy się na miejscach publicznych. To było bardzo ryzykowne. Obiektem naszych badań stała się szkoła. Dokładnie, szkolne łazienki, kosze w damskich ubikacjach. Stanowiły bogaty materiał badawczy. Był to chyba pierwszy performance w moim stylu. Wspólnie przejrzałyśmy setki podpasek, zahipnotyzowane ciepłym czerwonym kolorem krwi. Takim samym jak pół polskiej flagi. Potem moja ulubiona koleżanka nigdy nie chciała o tym rozmawiać, a po latach bardzo złościło ją, że w ogóle to pamiętam i poruszam ten temat. Dla mnie to była pierwsza naprawdę awangardowa zabawa dla małych dziewczynek.

Kosmiczne gówno

Być może potrzebuję, poprzez twórcze działania, opowiedzieć o rzeczach najbardziej wstydliwych. Takich, jakie większość ludzi wolałaby zataić. Od zawsze towarzyszył mi głód duchowej czystości, a akty artystyczne kuszą obietnicą spowiedzi. Jako mała dziewczynka byłam bardzo przejęta sakramentem spowiedzi. Tak wytrenowało mnie przysposobienie katolickie krzewione na wsi, gdzie się wychowałam. Kiedy zaczęłam chodzić do spowiedzi, wypisywałam długie listy popełnionych grzechów. Zwykle miały ze czterdzieści centymetrów. Wyglądały jak szkolne ściągi. Na każdej było około trzydziestu punktów wypisanych starannym dziecięcym pismem. Bałam się, że mogłabym zapomnieć wyznać kapłanowi coś istotnego. Wtedy pozostałoby to na moim losie, rozmazane jak kleks z atramentu. Zawsze zależało mi na tym, żeby móc przed wszystkimi w całości się do siebie przyznać. Często miałam wrażenie, że właśnie tego nie wolno mi robić. W życiu dorosłym moim ulubionym duchowym rytuałem, który częściowo zaczerpnęłam z nauk buddyjskich, a częściowo uznałam za osobisty performance, było rozbijanie porcelanowych filiżanek. Wśród mojego dobytku zawsze znajdowało się kilka takich filigranowych kubeczków. Kraków jest kopalnią porcelany. Można ją łapczywie wynosić każdej niedzieli z Hali Targowej lub znajdować w starych kredensach tanio wynajętych mieszkań, na posprzątanie których właściciel nie miał czasu. Albo tego nie robił, bo skłócił się o prawo własności do mieszkania z rodzeństwem. Filiżanki często są wyrzucane na wystawkach po zmarłych.

Rozbicie filiżanki było dla mnie niczym złożenie ofiary, by przerwać błędne koło samsary. Moją ulubioną buddyjską anegdotą była ta o Mistrzu,

który przed snem starannie mył swoją filiżankę i obracał ją dnem do góry. W ten sposób symbolicznie deklarował zgodę na los, nawet jeśli miałby on przynieść mu nagłą śmierć we śnie. Czysta filiżanka miała od razu trafić do kogoś, komu by się przydała. Rytuału rozbicia filiżanki dokonałam przynajmniej kilka razy: w noc przed wyprowadzką, w trzydzieste urodziny i kiedy się zakochałam na śmierć. Byłam spragniona przemiany, niekoniecznie tej najbardziej radykalnej związanej z umieraniem, ale jakiejś formy wyzwolenia. Własna karma męczyła mnie i była niewygodna. Filiżanki rozbijałam za pomocą młotka. Chodziło o jedno zdecydowane, precyzyjne uderzenie w środek denka. Tego typu sytuacje, nijak nieudokumentowane akty, nienagrane i niesfotografowane, podniecają mnie najbardziej. Nie da się z nich zrobić nawet sztuki współczesnej. Ich efemeryczność pasuje tylko do najwybitniejszej tragikomedii i paradoksu, jakimi są życie i śmierć. Podane każdemu na surowo, bez ramy, bez talerza. W kwestiach egzystencjalnych najbardziej kojącą obietnicą była dla mnie buddyjska filozofia. Praktykowałam trzy lata, ale niestety, ze ścieżki prosto do psychiatryka strąciła mnie choroba. W szpitalu jeszcze przez kilka tygodni starałam się siadać na poduszce w medytacji. Personel brał to za objaw wytwórczy psychozy i notował w kartotece, która później trafiała do psychiatry, a on podnosił mi dawki leków. Medytowanie na haloperidolu wymagało zaawansowania duchowego, jakiego nie rozwinęłam. Ciekawi mnie, czy sprostałby temu Dalajlama lub Thích Nhãt Hanh. Haloperidol, który mi podawano, zwany jest przez pacjentów, a nawet samych psychiatrów halopopierdolem. Zamiast nirvany oberwało mi się kosmicznym gównem.

Dno

Podjęłam się opieki nad dziadkiem. Myślałam, że to sprowadzi się do pomieszkania w nowym miejscu i do tego, iż zrobię mu kilka ciekawych zdjęć, jak Libera swojej babce, zanotuję coś interesującego. Okazało się jednak, że najpierw czeka mnie kilka dni wspólnego pomieszkiwania z ciotką i jej dorosłą córką. Zanim spakują się do wielkich walizek i polecą z Biurem Turystycznym Ruda Śląska na dziesięciodniowe wakacje życia na Kretę. Relacje z nimi są niezwykle wymagające. Problem polega głównie na tym, że w ogóle nie myślą metaforami, przez co nie umiem wejść z nimi w dialog. Wszystko, co mówią, co zaprząta im głowę, jest niezwykle pragmatyczne. W mieszkaniu musi być czysto. Czysto do wyszorowanej białej dziury. Od kiedy tu jestem, nie mogę się pozbyć smaku chemii w ustach. Mam wrażenie, że płyny i proszki do walki z brudem zostają na naczyniach i je zjadam. Mydło w łazience ma intensywny zapach taniej chemicznej konwalii. Ciotka uwielbia gotować rzeczy z proszku: zupki z proszku czy racuchy, których głównym składnikiem jest proszek do pieczenia. Jest postacią tragiczną – i tego nie ukrywa. Od dwudziestu pięciu lat mieszka w małym pokoju z córką, która dokładnie tyle lat temu się urodziła. Obie są ze sobą bardzo blisko. W sumie nie mają innego wyjścia. Córka jest grzeczna i rozsądna. Ma łeb na karku. Zna wszystkie przydatne, proste odpowiedzi, które ułatwiają komunikację z ludźmi. Tym trochę mi imponuje. W łazience ma pięć rzędów kosmetyków i opowiada mi ochoczo, w jakiej kolejności je stosuje. Wychowała się w blokowym mieszkaniu z dziadkami i matką. Jest tu od zawsze. Babcia zmarła kilka miesięcy temu. Dziadek nie był w stanie tego zauważyć. Nic dziwnego, zostało mu już

bardzo mało funkcji, a nawet te, które ma, zacinają się. Zapętlają mu się czynności, jakby ktoś odtwarzał wideo w loopie. Potrafi golić się na sucho, pięć razy z rzędu albo przez godzinę rozprostowywać narzutę na łóżku. Ponadto już niewiele więcej. Ogląda jeszcze telewizję, ale raczej już nic z niej nie rozumie. Telewizor gra bardzo głośno i jego mądrości wypełniają całe smutne mieszkanie. Smutne i brzydkie. Bo mieszkanie cioci i dziadka wcale do nich nie należy, lecz do brata ciotki, który się wyprowadził. Pewnie dlatego jest tak ekstremalnie niełądne. Pełno w nim foliowych cerat, sztucznych kwiatów i zawieszek kibiców Manchester United. Jakby nieobecny właściciel, fan piłki nożnej, znaczył nimi swój teren. Ściany są brudne, poszarzałe. A niektóre wyją zestarzałą, modną kilka dekad temu blokową pomarańczą. Ciotka jest w beznadziejnej sytuacji. Nie dość, że nie jest u siebie, to dostała jeszcze w spadku opiekę nad dziadkami. Babcia umarła w styczniu – na szczęście dla ciotki, a może i dla siebie. Dzień przed jej śmiercią odebrałam od ciotki telefon. Chyba pierwszy w życiu. Poinformowała mnie, że to dzień jej urodzin i że jeśli nic się nie zmieni, wyskoczy przez okno z siódmego piętra. Przejęłam się. Myślałam, że powinnam jakoś ją wesprzeć czy przyznać jej rację, zainterweniować, żeby ktoś jej pomógł w opiece nad starcami – darczyńcami felernego DNA. Wtedy żeby mnie uspokoić, moja matka wraz z kuzynką zapewniły, że to nie mój problem oraz że Bóg wie najlepiej, jak się wszystko rozwiązuje. Następnego dnia babka nie żyła. Nie powiem, żeby nie wydało mi się to bardzo zjawiskowe. Na jej pogrzebie od ciotki dostałam dwie szmatki nasączone chemią służące do usuwania rdzy i uporczywych zabrudzeń z garnków. Zapewniła, że są niezawodne i że można je kupić w Biedronce, ale nie zawsze. Trzeba mieć szczęście.

Oprócz drugiego dania z proszku ciotka gotuje rosół, mimo że jest trzydziestostopniowy upał. Wtedy mała blokowa kuchnia zamienia się

w saunę parową. Ze starego, wielkiego gara świeci rosół i patrzy swoimi okami z dominacją na resztę pomieszczenia. Także na przylepioną na drzwiach od lodówki zawieszkę, magnes z napisem „Dla najlepszego dziadka”. Rosół jest wegański. To alternatywny przepis kuzynki Kalinki. Jego bazą są włożone do gara cztery wielkie cebule ze skórą.

W pokoju, gdzie najczęściej przebywa dziadek, umieszczono chemicznie pachnący sztuczny kwiatek – drastyczny ekwiwalent prawdziwego. Wystaje z udawanej butelki perfum. Pachnie śmiercią i trupem. Wymieniają się zapachami z dziadkiem. Wzajemnie się sobą nasączają. Babka straszy mnie po nocach. Na szczęście przewidziałam, że może mieć do tego ciągoty. Ale myślałam, że zniosę to ciut lepiej. Przydzielono mi miejsce do spania w pokoju, gdzie babka spędziła całe życie, a jeszcze bardziej ostatnich dziesięć lat. Leżała na szpitalnym łóżku całą dekadę. Był to mebel wypożyczony za miesięczną opłatą realizowaną przez ciotkę, o czym ta nie zapomniała poinformować podczas pogrzebu babci. Gdyby zliczyć, ile w to zainwestowała, to spokojnie starczyłoby na pralkę, odmalowanie mieszkania i nawet porządne hinduskie kadzidełka. Duch babki objawił się najpierw poprzez pulsowanie pokoju. Liczne pęknięcia na suficie i na ścianach zaczęły się na zmianę kurczyć i powiększać. Zaraz potem dziury wytarte w dywanie przez szpitalne łóżko stanęły w ogniu. Dywan płonął. Zrobiło się piekielnie gorąco. Biała firana w romby zakrywająca okna i drzwi balkonowe zamieniła się w kraty. Upiorna plastikowa cerata poderwała się ze stołu i szczelnie owinęła mi głowę, tak że w ogóle nie mogłam oddychać. Dwa małe krzyże zawieszone na gwoździach zaczęły się kręcić wokół własnej osi, a czerwone karty mocno przeterminowanego kalendarza Manchester United tańczyły jak poderwane halnym. Poduszka, którą miałam pod głową, zamieniła się w kamień.

Tej nocy dziadek nie chciał spotkać ducha babki i nie wchodził do mojego pokoju. Pielgrzymował w korytarzu pomiędzy swoim pokojem z toksycznym kwiatkiem a kiblem. Oddzielały mnie od niego drzwi bez klamki. Takie jak lubię najbardziej. Specjalnie dla starego człowieka przygotował je w ten sposób nieobecny *landlord* od Manchesteru United. Widziałam tylko, jak dziadek zapala światło, i słyszałam głośno jego sranie. Światło miało wyjątkowo nieprzyjemną, zjadliwą barwę. Coś, co dotyka seledynu, ale najbardziej przypomina żółć z rzygów psa, kiedy ten czyści sobie żołądek: najpierw zjada trawę, a potem ją zwraca. Ten kolor wlewał mi się przez oczy prosto do duszy i parzył. Pierwszy etap ataku ducha babki ustał. Wiedziałam jednak, że to na pewno nie koniec. Potem babka przyjęła naprawdę perfidną taktykę, która polegała na wprowadzeniu mi w głowie totalnego zamętu. Nie mogłam odróżnić, czy to jej duch, czy może właśnie dostaję kolejnej psychozy. Nie mogłam też usnąć przez kilka godzin. Mój psychiatra zawsze powtarza, że to bardzo niepokojący objaw i najpewniejsza zapowiedź tragedii. Duch przejął nade mną kontrolę. Aby ustrzec się przed psychozą i po to, by zasnąć, zaczęłam jeść moje tabletki. Co pół godziny połykałam kolejną i zapijałam wodą z wielkiej dwulitrowej butli. Jej plastik bardzo nieprzyjemnie strzelał i dodatkowo mnie pobudzał. Woda gromadziła mi się w pęcherzu i musiałam kilka razy chodzić sikać. Niestety, na szlaku do kibla spotykałam dziadka. Po kolejnych godzinach duch rozluźnił upiorny uścisk i opuścił moją głowę. Była już wtedy jak nadmuchany helem balon, pełna hydroxyzyny i kwetaplexu. Zadzwoniłam do chłopaka. Bardzo chciałam, żeby przyjechał i zabrał mnie do domu. Gdy duch go usłyszał, przestraszył się i pierzchnął. Zwinął się w sobie jak mała trąba powietrzna i wsączył przez zawór do kaloryfera, który zaczął lekko szumieć. Kolejne dwie godziny były znacznie łaskawsze. Wykończona, jak to ofiara demona, wsłuchiwałam się w uspokajający oddech psa, aż

w końcu zasnęłam. Psa wzięłam ze sobą, bo przeczuwałam, że z nim będzie mi raźniej budować rodzinne relacje. Duch wrócił już tylko we śnie. Babka dreptała mi po głowie jako zimna czterdziestolatka z bujnymi lokami i dostojnie wypchniętymi kośćmi policzkowymi. Miała na sobie długą białą piżamę w zielone koniczyny. Pamiętałam ją z dzieciństwa. Wtedy bardzo chciałam spać z babką, kiedy nas odwiedzała. W tej piżamie opowiadała mi bajkę o tym, jak kot palił fajkę. Zawsze jednak wiedziałam, że jest złośliwa. Spodziewałam się, że jej duch będzie chciał mnie gwałcić. Rano z trudem otworzyłam oczy. Były wielkości główek od szpilki. Wpatrywała się we mnie ciotka, która zdążyła już podkreślić swoje oko czarnym eyelinerem. Miała na sobie lekko rozpiętą satynową koszulę nocną koloru dostojnego granatu. Wyskakiwał spod niej kawałek całkiem konkretnej piersi. Zastanawiałam się przez moment, czy to nie omamy i czy próbuje mnie uwieść. Ciotka poinformowała, że szykuje się, by wraz z córką odebrać lotnicze bilety na Kretę w Biurze Turystycznym Ruda Śląska. Uznałam, że to świetna wiadomość. Zaraz po ich wyjściu wskoczyłam do wanny. Mimo że stara i zszorowana, z dziurą na dnie wytartą środkami czyszczącymi, była w mieszkaniu bezkonkurencyjną atrakcją. Później dowiedziałam się, że z wanny nie korzysta już nikt oprócz dziadka. Wkłada się go tam i myje raz na tydzień. Dla mnie ważniejsze było wymycie z siebie resztek złośliwego ducha babki niż przejmowanie się obrzydzeniem. Po lekach miałam trzy głowy zamiast jednej i nie wiedziałam, która jest moja. Wanna niewiele mi pomogła. Zamiast uzdrowić głowę, w nieprzyjemny sposób przypomniała mi o reszcie ciała. Jej wnętrze było zszorowane do tego stopnia, że działało jak papier ścierny. Tak więc zamiast rozluźnić się i położyć, utknęłam nadziana na dno. Resztę dnia spędziłam zawieszona w stanie polekowym. Dużo cierpiałam, miałam wrażenie, że czas nie chce minąć. Próbowałam robić cokolwiek, by go zabić, a równocześnie nie

mogłam pogodzić się z tym, że przepływa przez palce. Oczywiście w takich momentach powinnam kłaść się przykryta pod kocem i izolować od wszystkiego, co pozostaje po drugiej stronie. Tej umiejętności nie posiadam. Wieczorem byłam już tylko przerażona tym, że może czekać mnie kolejna runda z duchem babki. Na szczęście zasnęłam. Zbombardowana lekami, osunęłam głowę. Dziadek budził mnie tylko kilka razy. Wchodził do pokoju, zapalał światło i starczym krokiem zbliżał się do mojego łóżka. Może dyrygował nim duch babki.

W dzień, kiedy nikt nie widzi, robię dziadkowi zdjęcia. Staram się, żeby on też nie widział. Fotografuję go, kiedy śpi w ciągu dnia na kanapie – dwa dni z rzędu. Drugiego dnia, gdy się budzi, pokazuje rękami i próbuje mówić, że coś przed nim latało. Dziadek nie ma zębów ani sztucznej szczęki. Poza tym zapomniał języka. Dlatego nie można do końca nazwać tego, co robi, mówieniem. Chyba dlatego skusiła mnie wizja opieki nad nim. Po prostu uznałam, że będzie świetnym modelem. Wystarczy ustawić przed nim aparat na statywie z funkcją nagrywania. Chciałam zrobić zdjęcia, jak goli bezzębną szczękę. Czułam, że w jakiś sposób uzupełni to brakujące elementy rodzinnej historii. W każdym razie jego, częściowo migowy, opis pozowania we śnie zrobił na mnie duże wrażenie. Uznałam, że dziwność sytuacji doskonale pasuje do tego, co rozumiałam jako proces fotografowania. Często można trafić na porównywanie fotografii ze śmiercią, bo unieruchamia ludzi i czas, przemienia ruch i światło w zastygłe płaskie kształty. To jak wylewanie lepkiej masy z roztopionego cukru i barwników na tackę z formami serduszek, kiedy robi się lizaki. Jako nastolatka dorabiałam wraz z kuzynkami u wujka cukiernika, który miał warsztat w piwnicy. Byłam najgorsza w stawianiu kleksów z bezy. Wychodziły mi zawsze krzywe, za duże lub za małe. Takie wydawały mi się ciekawsze. Pomyślałam, że śmierć to taki lizak, który już bardzo

wystaje dziadkowi z kieszeni. Smak, który wkrótce będzie lizał. Może coś w dziadku, co nie jest już świadomością ani myśleniem, bardziej instynktem, wyczuwa mistyczną bliskość sytuacji, kiedy jest fotografowany, nawet we śnie? Zbliża się do niego ruch i błysk. Może ten śmiertelny aspekt fotografii, wyczuwany instynktownie, jest jedynym językiem, który rozumie? Najbliższą wibracją? Jak zapach skarpet właściciela dla jego psa. Dziadek jest jak włoski orzech, który za długo czekał, żeby ktoś go zjadł. Nie doczekał się, wysechł, skurczył się, sczerniał w środku. Skorupka, kiedy się w nią stuknie, wydaje podejrzanie pusty dźwięk.

* * *

Ciągle czuję, że życie samo z siebie dało mi za mało ubrań, w których byłoby mi do twarzy. Oczywiście to metafora. Dlatego bez przerwy potrzebuję nowych strojów. Takich, jakie dobrze by na mnie leżały. Pasowałyby. Czuję niedosyt, głód, brak. Zaglądam łapczywie w wystawione na ulicach czarne wory z używaną odzieżą, jak w podświadomość, licząc, że w końcu znajdę coś dla siebie, coś swojego. Coś, w czym będzie mi do twarzy. Często śni mi się, że buszuję w ciucholandach. Albo szukam ciucholandów lub zmierzam do tych, które znam.

Dobrze jest mniej więcej wiedzieć o samej sobie, gdzie się kończy, a gdzie zaczyna. Inaczej steruje człowiekiem nieustanne pragnienie dowiedzenia się tego. Wtedy sprowadza się na siebie liczne sytuacje testowe, które mają pomóc ustalić własne wewnętrzne granice. Przymierza się je. Dlatego pojechałam opiekować się dziadkiem. Tyle tylko, że przy niektórych granicach jest stan alarmowy: klęska, kataklizm, wojna. Jak się

niechcący dotrze do tych granic, życie może przemienić się w coś groźnego. Coś nastrojem przypominającego wczesne filmy Polańskiego albo Ulricha Seidla, Hanekego lub te najbardziej mroczne produkcje Larsa von Triera. Tak zdarzyło się tej nocy…

* * *

Dziadek jest poza granicami, bo jest ani żywy, ani martwy. Śmierć za życia wprowadza w konsternację. Nie wiadomo, kiedy należałoby czuć żałobę. Można pomyśleć, że dziadek ilustruje buddyjską mądrość: nie ma życia ani śmierci, w ogóle. Oba te stany to tylko iluzje. To, co zdarzyło się trzeciej nocy, najbardziej wyglądało jak wrzucenie życia do blendera i wciśnięcie funkcji turbo. Potem już wszystko jest na nowo. Gdyby był to film, jego pierwszym kadrem byłby starczy palec wsuwający się do pustego otworu po klamce w drzwiach. Towarzyszyłby temu dźwięk sikania. To *trigger* akcji. Kiedy sikałam w małej, dość obrzydliwej ubikacji, dziad stanął przed przymkniętymi, pozbawionymi klamki drzwiami i zaczął się śmiać. Było w tym śmiechu coś wulgarnego i mizoginicznego, zaczepnego, nieoczywistego. Zaraz potem wsunął jeden ze swoich starczych paluchów do dziury po klamce. W jakiś sposób wewnętrznie mnie to złamało, pozbawiło mocy. Już sam brak możliwości zamknięcia się w kiblu był dla mnie niekomfortowy. Od dziecka wiedziałam, jak bardzo istotne jest, by podczas robienia kupy być szczelnie zamkniętą i opatuloną łazienką. Inaczej płakałam i nie mogłam się załatwić. Był to może jeden z pierwszych przejawów mojego pragnienia swobody i niezależności. Kiedy dziad włożył palec do dziurki od klucza, wpadłam w szał. Wydawało się, że jego funkcje umysłowe zupełnie uniemożliwiają mu świadome, celowe działanie, jednak nie potrafiłam odczytać tego gestu inaczej niż jako

zamierzony szowinistyczny akt. Oto kamyk, który wywołał lawinę. Doczekałam jednak wieczoru, marząc intensywnie, by dotrwać do rana, kiedy ciotka obudzi mnie, bym zamknęła drzwi za nią, kuzynką i ich wielkimi walizami. Potem miały się już znaleźć na upragnionej Krecie. Liczyłam, że po ich wyjściu, kiedy upewnię się, że winda zjechała na sam dół, zyskam wolność. Z dziadem czy bez dziada. Zniknie dziwaczna atmosfera symbiotyczno-kazirodczego związku ciotki z kuzynką. I nieokreślonej pasywnej agresji, tłumionej latami, zapisanej w ich ciałach. Byłam gotowa: tylko duch babki, dziad, straszne mieszkanie i ja. To zły układ, ale miałam już w głowie plan, jak wszystko oswoić. Miały mi pomóc ukryte pod szmatami w mojej walizce: aparat, statyw, dyktafon i obiektywy. Obiecywały zamienić nieznośną rzeczywistość w materiał artystyczny. Zamierzałam słuchać głośno muzyki, leżeć w wannie na zszorowanym dnie oraz gotować dla siebie jaglankę z mlekiem kokosowym i wszystko, co nie jest wegańskim rosołem z cebuli ani też czymś, co urosło od proszku do pieczenia. Chciałam się karmić, bawić i zadbać o siebie. Te drobne marzenia trzymały mnie przy życiu. Nie miałam się doczekać ich spełnienia. Nic z tego się nie wydarzyło. Wszystko porwało tornado – i proszek do pieczenia, i dwie olbrzymie spakowane walizy, mój ekran EIZO, elektryczną szczoteczkę do zębów, psa, mleczko kokosowe, zwoje kabli i wiele innych rzeczy… To miała być trzecia noc z duchem babki. Wiedziałam już, jak trudno może być zasnąć. Najgorszy scenariusz się sprawdził. Zgodnie z umową wykręciłam energooszczędne żarówki z lampy nad łóżkiem. Miało to uniemożliwić dziadowi zapalanie nad moją głową świateł w nocy, zdezorientować go i obezwładnić, by nie zbliżał się w swym starczym Gargamelim letargu. Nie pomogło. Wchodził i bez światła. Przesunęłam więc bardzo stary i ciężki stół, by zastawić nim drzwi. Zapakowałam stopery w uszy. Nic to, niestety, nie dało. Dziad co dziesięć

minut stawał w drzwiach. Próbował przypomnieć sobie, jak się mówi przy pomocy wygolonej, bezzębnej szczęki. Wtedy gruchnęła lawina. Wydarzenia, które miały miejsce potem, działy się w odmętach wirującego śniegu i kamieni. Wstałam, obudziłam ciotkę i poprosiłam, żeby dała mi tabletkę uspokajającą. Ucieszyłam się, że ma poważne psychotropy, a nie tabletki ziołowe. Połknęłam. Zadziałała odwrotnie, niż powinna. Poczułam, że się duszę. Byłam zabarykadowana stołem i nie mogłam zapalić światła w pokoju. Ostatnią nadzieją była stara lampka nocna, ale pech chciał, że ze starości urwał się jej bolec, który wchodzi do kontaktu. Zostałam w mroku, bez możliwości wyjścia i bez powietrza. Z pęknięcia w suficie śmiała się głośno nieżywa babka. Bawiło ją to, co odbywa się w jej komnacie. Z sufitu przelazła na dywan w miejsca, gdzie był wytarty od jej łóżka, a potem rozlała się jak plama na podłogę. Zmieniła stan skupienia i zaczęła parować, przemieniając się w trujący gaz, który drapał mnie w oczy i nos. Pragnęłam jedynie się uspokoić. Położyłam się, liczyłam oddechy. Wtedy dobiegły mnie rytmiczne odgłosy stukania. To dziadek. Siedział w swoim pokoju przed zgaszonym telewizorem, pod rzucającą jadowite światło lampą. W maksymalnym skupieniu wpatrywał się w pustkę i rytmicznie stukał palcem w stojący przed nim niski stolik pokryty wiekową, błyszczącą okleiną drewnopodobną. Miał doskonałe wyczucie rytmu i wielkie skupienie wypisane na twarzy. Jego postać emanowała zaskakującą mieszanką stoicyzmu i tragizmu. Nie wyglądał na głupca, ale na osobę świadomą swej samotności, starości i zbliżającej się śmierci. Zrozumiałam, że już nie usnę, a jeśli dalej będę wsłuchiwać się w wybijany przez dziadka palcami rytm, zwariuję. Dźwięk stał się alegorią sytuacji.

Od innych ludzi odróżnia mnie to, że kiedy mówię, że oszaleję, niestety, nie są to słowa na wyrost ani żadna przenośnia. Rzuciłam się do wyjścia. Wykonałam telefon do rodziców i chłopaka, żeby przekazać, że uciekam.

Uznałam, że trzeba zachować jasność sytuacji. Zadzwoniłam po taksówkę. Ciotka i kuzynka zaczęły mnie na zmianę błagać, żebym została, oraz dobitnie przekonywać, że nie mogę odjechać. Spowodowało to tylko, że wszyscy się zamotali w niewidzialną, ale bardzo gęstą sieć, z której nie dało się wyjść bez szarpania. Coś takiego robią psy, kiedy boją się burzy. Gmatwają się w kablach, a potem w lęku okręcają się w nich na całego.

– Nasze tysiące, oddasz nam nasze tysiące! – krzyczały chórem ciotka i kuzynka.

Rzucały się, by mnie zatrzymać, rozpościerając blisko mego gardła hybrydowe błękitne szpony. Przez następne pół godziny działo się to samo, tylko że intensywniej. W końcu zapakowałam na siebie walizkę, psa, ekran EIZO, plecak z macBookiem i torbę z Ikei wypełnioną psim żarciem i kablami. Zbiegłam z siódmego piętra po schodach. Nie byłam w stanie poczekać na windę. Kurs taksówką do Krakowa był najdroższy, jaki kiedykolwiek zrobiłam.

Po tych wydarzeniach myślałam, że nigdy już nie zasnę i będę musiała z bezsenności popełnić samobójstwo. Pragnęłam, żeby wydarzenia ostatnich dni okazały się nocnym koszmarem. Nie wiem, co zrobił duch babki. Może wsunął się do walizy i poleciał się poopalać na Kretę. W domu umyłam się w soli, żeby nie mógł się do mnie już nigdy przylepić.

Wariatkowo

Może teraz powinnam wszystkie historie napisać od nowa? Opowiedzieć o tym, jak bardzo pragnęłam bliskości ulubionej koleżanki, najlepszej przyjaciółki i jej matki, pani terapeutki, współlokatora, ciotki i jej córki, a nawet dziadka i może przede wszystkim własnej matki. Jak bardzo potrzebowałam czuć, że mogę na chwilę oprzeć na nich rozedrgane „ja", które nigdy nie przestawało wibrować. Nie uspokajało się do końca jak dziecięca zabawka – rozkręcony kolorowy bąk. Może kilka razy. Dzięki mężczyznom, których pokochałam i którzy pokochali mnie. Wtedy rozpuszczały się we mnie wszystkie wewnętrzne złogi. Jakby ktoś wsypał troskliwie odkamieniacz do starego czajnika. Kobiet nie nauczyłam się jeszcze tak kochać, chociaż chciałabym. Dotychczas mogły mnie szalenie podniecać. Ich waginy wizualizowały się przede mną, wyobrażałam sobie, jakby to było kłaść je sobie na twarzy, wytapetować się nimi i lizać je do upadłej. Ale nigdy przy kobietach nie rozpuszczała się gorycz, nie zrastały rany. Nie poruszały mojego rdzenia. Nigdy żadna nie sprawiła, że urodziłam się w środku od nowa. Ani że odbiłam się od niej jak w lustrze. Zagubiłam przyjemnie w rozumieniu tego, kim jestem, bo nagle czułam, że nie mieszkam już tylko w sobie, ale też w drugim człowieku. Nagłe zwolnienie z odpowiedzialności za siebie w sobie powodowane poczuciem, że jest się też trochę w ukochanym, ale i w powietrzu czy kosmosie przynosiło ogromną ulgę. Czuję pewną melancholię z tego powodu, że emocjonalne przeobrażenia nie zachodziły w moim wypadku w relacjach z kobietami.

Mój mózg był niezły w wytwarzaniu hormonów i neuroprzekaźników. Generalnie nie przestrzegał żadnych reguł, nie miał czujnika dopaminy i serotoniny, co powodowało, że nie skąpił też zalewów oksytocyny. Podobnie nigdy nie staram się wymyślić historii, które chcę opisać. Nagle płynie przez głowę mocny prąd. Pojawia się dużo myśli i wspomnień. Kiedy przy okazji udaje się zachować skupienie, mogę to wszystko oglądać jak film. Wybieram sceny – myśli, na które robię zbliżenie, i podrzucam im karmę do miski. Wówczas one puchną, pęcznieją, rosną jak drożdżowe ciasto lub otwierają się jak kwiaty. Muszę je opisać. Jeśli nie zrobię tego od razu, wszystko się zepsuje, przekwitnie. Pozostanie mi zamieść ich suche szkieleciki pod dywan podświadomości. Tam będą skazane na wieczne cykliczne krążenie.

Gdybym była drzewem, to takim, które ma bardzo krótkie korzenie. Jest przez to mizerne i smutne, ale to nie jego wina. Przyszło mu rosnąć na mule zamiast na wartościowej glebie. Cud, że w ogóle rośnie. Zwłaszcza że już kilka razy się wywróciło i rozpaczliwie leżało korzeniami do góry. Zawsze wsadził je z powrotem jakiś litościwy przechodzień, nie wróżąc mu długowieczności. Za każdym razem drzewo odżywało, jednak korzenie pozostawały niebezpiecznie płytko. Drzewo bardzo dobrze wie, jak z nim jest. Dowiedziało się tego przez grzybnię. Za jej pomocą wiadomość z daleka przesłały mu inne drzewa tego samego gatunku. Teraz drzewo rozumie, że najważniejsze jest, by całą energię wpakowało w korzenie. Żeby rosły. Musi zainwestować wszystko, co otrzyma od słońca. To trudne. Nie będzie w stanie rozwinąć bujnej korony ani imponującego obwodu pnia. A to widać. Korzeni nikt nie widzi. Żeby się osadzić, trzeba wielkiego wysiłku.

Jestem znikąd. Kukułcze jajo jestem. Wychowałam się w małym pracowniczym mieszkaniu przydzielonym mojej matce, w budynku szkoły,

gdzie była nauczycielką. Na wsi, gdzie zwykle czułam się obca. Inne dzieci miały we wsi wujków i ciotki, psy, drzewa i ogródki. A ja nie. Zanim w ogóle poznałam ojca, wyjechał zarobić na dom, który miał być nasz. Wtedy w mieszkaniu wszędzie rozłożone były gazety „Cztery Kąty", które kupowała matka, i kolorowe kartki z projektami domów. Te kartki były bardzo atrakcyjne, w mocnych, przyciągających kolorach: róż, błękit i cytryna. Kolory interesowały mnie najbardziej. Matka za to je ignorowała i wpatrywała się w nudne rysunki. Odbywałam z nią liczne wycieczki, by oglądać domy jej koleżanek, zwykle nauczycielek. Wszyscy mieli wtedy świeżo wybudowane wille, jeszcze pachnące cementem. Najważniejsze dla matki były kominki, wiatrołapy oraz bardzo wtedy modne na wsi pseudolady kuchenne, z wysokimi krzesłami bez oparć, koniecznie wyglądającymi jak stołki barowe. Najlepiej pić przy nich kolorowe drinki w sukience z gazety „Burda". Mnie interesowały tylko koty i psy, które zamieszkiwały odwiedzane wnętrza. Szybko zaczęłam sobie wyobrażać, że dom jest już gotowy i musimy się przeprowadzić, a ja porzucam wszystko, co mam. Wtedy mogłam dramatyzować. Od dziecka lubiłam to robić. Czepiałam się tragicznych elementów rzeczywistości i hiperbolizowałam. Lubiłam przeżywać łączące się z tym uczucie wzniosłości.

Ciągle owijam w bawełnę. Wplatam nowe wątki i osoby. Uciekam w ten sposób przed opisaniem najgorszego. Może boję się, co pozostanie, kiedy ubiorę wszystko w słowa. Wówczas zyskam i stracę naraz. Pozbędę się mroku, zamieniając go w noc. I będę mogła postawić obok dnia. Można powiedzieć, że moje życie tak się właśnie dzieli – banalnie jak *yin* i *yang*. Są rzeczy zwykłe i nawet bardzo miłe i są takie jazdy, jakich nikt by nie chciał, a może nawet nie chciałby o nich usłyszeć.

Pierwszy raz trafiłam do szpitala niedługo po maturze. Możliwe, że zdawałam ją już jako osoba zaburzona. Granica jest trudna do ustalenia.

Ciężko o niej myśleć i pisać. Nie pamiętam za dużo z tego, co się stało. Te wspomnienia nie układają się w liniową narrację. Są jak rozszarpane bebechy, rzygi miejskiego włóczęgi, odpryski szkła wbite w stopę. Nie zauważyłam, kiedy przestałam spotykać w autobusie numer siedem zwykłych ludzi, a natrafiłam na postaci z filmów, ścigające mnie gangi, poławiaczy głów, mafiosów, handlarzy narządami. Długo nie spałam, ale też nie wiem, ile dokładnie. Dni zlały się z nocami. Rozplątałam dready i miałam nienaturalną szopę rudych włosów. Wychudłam, wyglądałam prawie jak anorektyczka. Wydawało mi się, że byłam zakochana, i dlatego przez kilka tygodni niewiele jadłam. Pewnego razu obudziłam się cała brudna i obolała na ulicy. Myślałam, że ktoś mnie pobił albo zgwałcił. Ojciec próbował wyrzucić mnie z domu. Którejś nocy, kiedy zostałam sama, spakowałam całe mieszkanie i czekałam na ciężarówkę, która pomoże mi przewieźć dobytek do Londynu. Miałam zacząć tam nowe życie jako awangardowa artystka. Czekałam całą noc i odbierałam zaszyfrowane telefony z politycznymi wiadomościami. Zaczynały się jak słynna piosenka The Clash *London Calling*. W mieszkaniu przeorganizowałam wszystko, jakbym chciała zburzyć cały dotychczasowy porządek i obwieścić nadejście nowej ery. W którymś momencie wrócili rodzice, co mnie zdziwiło i zdenerwowało. Tego nie było w planie. Bardzo mocno ugryzłam wtedy matkę. Od tego momentu minęło czternaście lat. Bardzo się tego boję. Kiedy dotykam tego wydarzenia wspomnieniami, czuję, jakby od czaszki przez cały kręgosłup przeszył mnie prąd, czego efektem jest zaznanie totalnej psychofizycznej dezintegracji. Trwanie polega wtedy na poczuciu nieprzyjemnego obowiązku dźwigania wszystkich elementów rozstrzelonego „ja”, każdy jest za ciężki. Jest ich milion, są jak kule u nogi. Światło parzy oczy. Słychać turkot traktora, który przez ucho wjeżdża do czaszki. Tam czeka już koparka. Razem zabierają się za przerzucanie

miękkiej, mokrej gliny umysłu. Reorganizacja terenu, kopanie studni i sztucznych zbiorników wodnych.

Za pierwszym razem w szpitalu spędziłam trzy miesiące. Dużo przebywałam w palarni. To malutkie pomieszczenie nieprzekraczające metra kwadratowego. Okna są uchylone, zabezpieczone kratami. Zwykle siedzi tam wiele osób. Choć wydaje się, że to niemożliwe, naprawdę jest tam tłum. Do palarni walą wszyscy. Kiedy pierwszy raz znalazłam się w palarni, wydawało mi się, że są ze mną caryca Katarzyna i Napoleon. Od początku byłam najgorszym typem pacjentki. Trzeba było mnie wiązać pasami do łóżka i wbijać w dupę zastrzyki ze środkami uspokajającymi. Wtedy zasypiałam. Budziłam się przylepiona śliną do śmierdzącej poduszki. Pragnęłam, żeby pojawiła się matka i wzięła mnie w objęcia. Dopadał mnie lęk i myśli przestawały współpracować. Wtedy nie wiedziałam, kto mnie urodził: matka czy ciotka – jej siostra. Czułam, że wszyscy mnie oszukują, że zdarzyło się coś bardzo złego, ale nikt nie chce mi powiedzieć, co takiego. Znowu krzyczałam i znowu zapinano mnie pasami i obstrzykiwano w dupę, wbrew woli. Zanim zasnęłam po uspokajaczu, rzucałam się z całym łóżkiem. Byłam dumna, że mimo skrępowania mogę uderzać nim o ścianę, lecz już zaczynałam odpływać. Stare i skurczone kobiety, pacjentki przebywające ze mną na sali, patrzyły na mnie i ściskały w rękach różańce. Gdy zasypiałam, stawały nade mną, dotykały moich włosów, pluły mi w twarz i wkładały papierosy do nosa. Raz, gdy się obudziłam, znalazłam w szafce koło łóżka pomidora. Był przejrzały, pęknięty. Myślałam, że to moje serce. Że ukradziono mi najważniejszy narząd, kiedy spałam. Znów pragnęłam jedynie objęć matki.

Każdego dnia, rano i wieczorem, ustawiałam się z pacjentami w długie kolejki. Pielęgniarka krzyczała:

– Po leki proszę!

Leki podawano w plastikowych pojemniczkach. Na ich dnie leżało zwykle kilka pigułek w różnych kolorach i rozmiarach. Szybko przeczułam, że to trucizna, i chowałam je pod język. Wtedy kazano mi otwierać buzię i nalewano kompotu, żebym przełknęła. Następnie zamieniano tabletki na płynne roztwory, które wlewano do gardła.

Psychiatryk to gra zespołowa. Boisko pełne zawodników, którym reorganizuje się chemię mózgu. Życie tu jest jak rozgrywka, czasem hazard lub wymiana: na przykład ślina za kozę z nosa. Rano gimnastyka, którą każdego dnia prowadzi ktoś inny. Zwykle osoba ta bardzo się stara, bo ściany mają uszy. Wszystko przekazywane jest do organów władzy, które potem decydują na przykład o tym, czy można iść na spacer – rundkę wokół budynku szpitala. Na początku nie ma spacerów w ogóle. Są tylko ściany, korytarze, kafelki, panie salowe i panie pielęgniarki – siostry, tabletki, zawodniczki z drużyny wspólnego pokoju, śniadania, podczas których smaruje się chleb masłem za pomocą widelca. I zupy mleczne, do których wszystko można schować. Najlepsi potrafią przemycić leki i zagrzebać pomiędzy płatkami owsianymi.

W szpitalu odwiedziła mnie ulubiona koleżanka, najlepsza przyjaciółka, a nawet jej matka – pani Emmanuelle. Ta ostatnia patrzyła na mnie z prawdziwym matczynym współczuciem. Przyniosła jakieś bardzo ładnie wyglądające ciastko na talerzu i worek przepięknych ubrań. Nie pasowały już na przyjaciółkę. Dzięki temu miałam nową zabawę. Przebierałam się kilka razy dziennie. Nie miałam nawet dwudziestu lat, dopiero w przyszłości planowałam zostać „kimś”, więc spokojnie mogłam wcielać się w różne postaci. Ciuchy mi w tym pomagały, jak zawsze. Przebieranie podobało się panom pacjentom. Byłam ich księżniczką. Tak mnie nazywali. Stanowili lepszą grupę pacjentów, bo wcale nie byli szaleni, tylko mieli detoks. To były dobre, proste, opalone chłopy, mocne jak konie, spokojnie

drgające i zgrzytające pożółkłymi zębami, ale w ogóle nie wariaci. Mieli tu niezłe życie. Nawet się tym chwalili. Mówili, że są na wakacjach. Prawili komplementy siostrom pielęgniarkom, za co zaskarbiali sobie ich sympatię. Lubili mnie. Chyba najbardziej właśnie za to przebieranie. Jak zmieniałam krótką dżinsową spódniczkę na spodnie w czerwoną kratę, to zwykle byłam chwilę w samych majtkach i wtedy się cieszyli. Mówili, że jestem księżniczką. Kiedy najlepsza przyjaciółka przyszła w odwiedziny, przyniosła ze sobą blond farbę. Nie pamiętam dobrze, ale chyba ją o to poprosiłam. Była specjalistką od metamorfozy, no i w końcu miała we włosach doświadczenie, bo dorabiała między innymi na szydełkowaniu dreadloków. Za zarobione pieniądze kupowała aksamitne topy gandzi, którymi dzieliła się ze mną. Ale to było przed szpitalem… Pofarbowała mnie na korytarzu. Był to kolejny niezły psychiatryczny performance. Prawie jak u Orlan. Włosy wyszły żółte. Dla mnie były w porządku, ale kiedy odwiedziła mnie mama, rozpłakała się. Bardzo źle wspominam wizytę ulubionej koleżanki, tej, z którą za dziecka robiłam podpaskową ekspertyzę. Cały czas płakała. To było niezwykle obciążające. Jakby przyznała sobie prawo do tego, by czuć, że to jej ciężar sytuacji przysparza największej męki.

***

Trudno się wraca do tych wspomnień. One, niestety, współtworzą moje CV. To znaczy mam jakby dwa CV. Jedno odnosi się do szkół, które ukończyłam, i prac, które zwykle na krótko podejmowałam, a drugie do miejsc, w których mnie zamknęli, jak oszalałam. W przerwie od wspomnień udałam się do urzędu pracy. Tam dowiedziałam się o wielu warunkach, których nie spełniam, abym mogła zarejestrować się jako osoba

bezrobotna. Mimo to zdecydowałam się skorzystać z możliwości, która mi pozostała, czyli ukonstytuować swój status jako osoba poszukująca pracy. Musiałam tylko skrupulatnie wypełnić tabelkę, bardzo dużą tabelkę na całą stronę A4, pełną maleńkich krateczek, oraz postawić parę iksów na przykład w miejscu, gdzie deklaruje się płeć. Oczywiście przyznałam się do bycia kobietą – robienie zbędnej zadymy było nie po drodze. W rejestracji pomagała mi bezbarwna, prawie że przezroczysta kobieta o zupełnie nijakim wyglądzie i bez wyrazu twarzy. Przekazałam jej dowód osobisty, dyplomy ukończenia studiów oraz zatrważająco gruby plik dokumentów złożony ze świadectw pracy. Znów trochę przeraziła mnie jego objętość dokumentująca liczne porażki w wymiarze społecznego funkcjonowania. Dotychczas radziłam sobie z nimi dzięki przegródce w segregatorze oraz ogromnemu zaangażowaniu w pracę nad projektem doktorskim. Na szczęście, opiekując się dokumentami, jestem aż nazbyt skrupulatna i pedantyczna. Gdyby moje dokumenty się zmieszały i na przykład wypis ze szpitala wpadłby w ręce pani z urzędu pracy, mogłaby się skrzywić. A mnie byłoby nieprzyjemnie. Albo mogłaby się zamyślić, za mocno docisnąć paznokieć o biurko i go sobie złamać.

Dzięki nowemu statusowi osoby poszukującej pracy zyskałam dostęp do licznych ofert. Wśród nich czekały: pani sprzątająca, pokojowa, salowa, pomocnica masarza, pracowniczka produkcji i opiekunka. Można by rozważyć przekwalifikowanie się. Nowe perspektywy bardzo mi zaszkodziły. Poczułam, że kręci mi się w głowie i że zalewa mnie gęsta, ciemna fala kamiennego przygnębienia. Po powrocie do domu dalej nie mogłam się od tego uwolnić. Dostałam nerwicy natręctw. Kompulsywnie obejrzałam chyba cały internet, wpisując kolejne słowa wskazujące zawody, które mogłabym wykonywać. Wiedziałam, że pewnie wówczas od razu zaczęłabym równolegle planować samobójstwo. Szybko mnie zemdliło.

Dzień pełen był najgorszego sortu kontaktów z ludźmi. Pod rower wlazła mi wielka kobieta w starszym wieku o twarzy kwaśno wykrzywionej i chodzie zawłaszczającym przestrzeń. Chciałam zachować się prospołecznie, bo dziś, kimkolwiek była, była też moją proletariacką siostrą – córką murarza, wnuczką młynarza. Dwukrotnie ją przeprosiłam, najgrzeczniej, jak tylko umiałam. Mimo że chyba nie miałam za co. To jej nie wystarczyło. Nie chciała przeprosin. Powiedziała, że to bez sensu, a jedyny sens będzie, jeśli nauczę się myśleć. Bardzo mnie tym dotknęła. Przecież nadmiar myślenia to główna prześladująca mnie katastrofa. Uznałam, że to niesprawiedliwe, i rozpłakałam się. Targnął mną impuls, by wrócić, zajechać jej drogę i powiedzieć, że sama chodzi, jakby była świętą krową. I że gówno wie o myśleniu. W przeciwieństwie do mnie, bo to moje pierwsze życiowe utrapienie. Ale tego nie zrobiłam. Chciałam być dobra, mieć pracę i się nadawać, także do ludzi.

Do drugiego brutalnego kontaktu doszło w czytelni. Siedziałam rozgorączkowana przed komputerem i szukałam swojego nowego zawodu, który dałby mi przepustkę do przyzwoitego, normalnego życia. Ściągnęłam maseczkę, bo jestem dawno po dwóch dawkach pfizera, jak pewnie wszyscy wokół. Wtedy krokiem żandarma podszedł do mnie ochroniarz w granatowym mundurze. Za blisko. Stanął nade mną, zwalistym cielskiem zawłaszczając przestrzeń. Władczo spojrzał mi w oczy i wypluł z siebie słowo „maska”, tak jakby mówił „pif-paf”. Jak to wszystko można zrozumieć, skoro Foucault już tak dawno dokonał krytyki mechanizmów władzy? A potem jeszcze napisano na tej podstawie masę prac naukowych. Nic to nie dało. Społecznie dozwolona przemoc kusi i ściąga swoich reprezentantów tak skutecznie, jak bioodpadki ściągają muszki owocówki.

***

W szpitalu, obok carycy Katarzyny i Napoleona, spotykałam też realnych ludzi. Zawsze byli trochę za blisko. Przy mówieniu pluli tak, że znałam smak ich śliny. Dmuchali mi w twarz dymem tytoniowym i wycierali o mnie kozy z nosa. Ich bąki śmierdziały słodkawo i mdło, chyba po lekach. Wrażenie, że szpital to fenomenalny plac zabaw, gdzie ktoś pełen poczucia humoru powyciągał klamki z drzwi i okien, szybko zamieniło się w koszmar. Głównym motywem było poczucie zamknięcia, którego przyczyny nie można zrozumieć. W dramatycznych próbach znalezienia wyjścia zbiegałam z drugiego piętra na parter, a potem z powrotem wbiegałam na górę. Zwykle dobiegałam do drzwi wyjściowych, kiedy sanitariusze schodzili ze zmiany i zamieniali się z tymi, którzy dopiero co przyszli do pracy. Wtedy te chłopaki podtrzymywały na chwilę drzwi, bo lubiły patrzyć, jak pod nie dobiegam z nadzieją, że uda mi się wydostać. Lubiły łudzić mnie obietnicą, że zaraz pójdę, gdzie chcę, żeby potem zamknąć mi drzwi przed nosem. Sanitariuszami byli chłopcy, którzy w ten sposób odrabiali służbę wojskową. W tych czasach była jeszcze obowiązkowa. Mycie podłóg w psychiatryku wydaje się świetnym zadaniem, które może w Polsce stanowić deklarację pacyfizmu lub homoseksualizmu. Nie mogę źle mówić o tych chłopakach. Jeden z nich mnie pokochał. Albo się zakochał.

Przez cały rok po tym jak wydostałam się z powrotem na świat, opiekował się mną najtroskliwiej, jak tylko potrafił. To był piękny, subtelny i prostoduszny chłopak, syn stolarza. W domu dużo pomagał ojcu. Lubił drewno. Przekładał z czułością deski z wielkich stert na nieco mniejsze, do suszenia. Gładził krawędzie mebli. Kochał mnie w dobry i prosty sposób. Nie rozumiałam tego. Przez cały czas, kiedy byliśmy razem, przyglądałam się jego uczuciom. Nigdy wcześniej nie doświadczyłam czegoś takiego: zwykłego i stabilnego poczucia bycia kochaną. To było zbyt dziwne. Nie

potrafiłam zrozumieć ani odwzajemnić. Zresztą ten rok był bardzo trudny. Marzyłam tylko o jedzeniu pizzy. Przepisano mi rispolept, który sprawiał, że byłam cała sztywna, a jedyną rzeczą, którą mogłam poczuć i która mnie uszczęśliwiała, było konsumowanie jedzenia. Przytyłam ponad dwadzieścia kilo i przestałam się ze sobą identyfikować. Dostałam nowe ciało, którego nienawidziłam. Większość znajomych mnie nie rozpoznawała. Wszystkim, którzy zauważali podobieństwo pomiędzy tym, kim byłam, a moim nowym, wielkim ciałem, schodziłam szybko z drogi. Odwracałam oczy, przyspieszałam kroku, oddalałam się.

Wyjście ze szpitala po trzech miesiącach odsiadki było obietnicą utraconego raju. Myślałam, że gdy tylko wrócę do domu, po prostu posprzątam, wyśpię się i wrócę do swojego życia. Ale moje życie zniknęło. Nie mogłam go znaleźć ani w ogóle niczego, co by je chociaż trochę przypominało. Systematycznie robiłam się coraz grubsza i grubsza. Musiałam ciągle zdobywać nowe, coraz większe ubrania. Były obce, nie łączyły się z żadnymi wspomnieniami, nie lubiłam ich, nie podobały mi się. Smutno opinały wielkie uda i nabrzmiałe piersi, które powiększyły się o trzy rozmiary. Z sutków wypływał płyn, dziwny lubrykant. Na bluzkach zostawały okrągłe plamy, jakbym wymazała się śmietaną. Rispolept usztywniał całe ciało, podczas chodzenia nie mogłam zginać kończyn. Twarz miała wyraz zastygłej maski, a oczy rozpłynęły się i zdechły. Wyglądały jak dwie rozjechane żaby na drodze szybkiego ruchu. Twarz poszerzyła mi się niemal dwukrotnie, a tłuszcz szczelnie wypełnił miejsca, gdzie kiedyś były rysy zdradzające indywidualne cechy. Włosy z kolei przypominały żółtą plamę żałośnie majaczącą nad moją osobą. Jak wyżarta rdzawa dziura w aurze. Rozpaczliwie szukałam swojego życia, jednak nigdzie go nie było. Zostały po nim resztki: skorupki z jajek, łuski z cebuli, obierki z ziemniaków. Jakby ktoś mnie zjadł, a wcześniej pokroił

i ugotował. Potem wysrał i zostawił rozciapaną jak miękkie, żałosne gówno, które oblepia wnętrze klozetu. Tak spędziłam rok. Cały czas leżałam, z przerwami na jedzenie i papierosy. Czas nie płynął. Zgęstniał, skrzepł, zastygł jak galareta. W mojej głowie mijały całe ery, a na zegarze ledwo drgały sekundy. To dziwne i niewytłumaczalne uczucie. W swoim charakterze podobne jest do nocnego paraliżu, kiedy człowiek budzi się we śnie. Potem widzi otwartymi oczami pokój, choć oczy ma zamknięte. I wszystko to rozumie. Wie, że podzielił się na niespójne części, którymi nie jest w stanie sterować. Bardzo się boi. Wykonuje ruchy rękami i nogami. Krzyczy naprawdę głośno. Ale to dzieje się na niby. Ludzi można podzielić na tych, którzy znają ten stan, i tych, którym doświadczenie to jest obce. Tym drugim nie da się go wyjaśnić. Więc cały rok leżałam. W miarę możliwości starałam się spać. Ale mogłam to robić tylko osiemnaście godzin na dobę. Zostawało mi ciągle sześć, podczas których dławiłam się życiem i odmierzałam czas kolejnymi papierosami. Znikały mi w ustach. Odpalałam, pociągałam dwa razy i papieros miał już tylko pół pierwotnej długości. Potem pociągałam jeszcze raz. Pojawiał się pomarańczowy żar na długim słupku z popiołu. Wówczas po raz pierwszy oficjalnie wolno mi było palić. Ale ojciec i tak dostawał od tego szału. Nienawidził smrodu papierosów. Mówił, iż to dlatego, że kiedy był małym chłopcem, dziadek wracał do domu zalany i śmierdział jak popielniczka. W ojcu walczyły te dwie rzeczy: młodzieńcza trauma i chęć obdarzenia mnie czułym przyzwoleniem. Czasem nie znosił napięcia wynikającego z tej ambiwalencji – i wybuchał. Rozumiem go. Także nie potrafię znieść ambiwalencji. Mój psychoterapeuta wierzy, że odniosę wewnętrzny sukces, jeśli się tego nauczę. Ojciec bardzo głośno krzyczał i rzucał małym drewnianym stołkiem o ściany. Mieszkanie świeciło się wówczas złowieszczo rakotwórczymi płytkami PCV wypolerowanymi przez matkę

na kolanach. To był jeszcze okres, kiedy ojciec krzyczał, ale starał się już robić to coraz rzadziej. Całkiem zaprzestał dopiero wiele lat później, po kryzysie wewnętrznym. Wtedy też skurczył się, zmarszczył i posiwiał. Wcześniej krzyczał zjawiskowo. Myślę, że mi to przekazał. Bo ja robię to tak samo dobrze. Jeśli już puści mi hamulec, krzyczę tak, jakby miało już nie być świata, jakbym chciała go krzykiem zwalić. Kiedy byłam mała, ojciec miał dwa ulubione powody do krzyku. Robił to najlepiej, kiedy chodziłam bez kapci po mieszkaniu oraz kiedy bawiłam się na podłodze i zapominałam usiąść na poduszce, żeby się nie przeziębić. Te krzyki były częste. Nie rozumiem, dlaczego jako dziecko nie mogłam się nauczyć, że nie chodzi się boso i siada na poduszce. Tyle razy kusiły mnie różne miejsca, by do nich biec w skarpetkach lub na bosaka, i spontaniczne zabawy, dla których trzeba natychmiast skulić się na podłodze, nie dbając o to, na czym się siada. Kiedy leżałam w poszpitalnej depresji jako dorosła już osoba, tuż po osiemnastce, pojawił się nowy powód do krzyku. Nie wolno mi było kłaść się do łóżka w ubraniu. Tylko w piżamie. To bardzo trudne dla kogoś, kto zajmuje się spaniem. Osiemnastu godzin nie da się spać tak po prostu, jednym ciągiem, bez przerwy na papierosa, ciastko i popatrzenie w lustro. Czasem dla rozrywki chciałam się też przebrać. A potem zapominałam, co jest piżamą, co zaś strojem po domu. Zresztą oba te kostiumy były przecież podobne. Można się pomylić.

Do moich obowiązków w depresji należało chodzenie po mleko. Dwa razy w tygodniu przemierzałam wieś w polekowym usztywnieniu. Słońce bestialsko zaglądało mi w oczy, więc kuliłam powieki do środka, by przykleiły się do siebie i zapadły w oczodołach. Zanim wyruszyłam, musiałam długo się motywować. Nieraz cały dzień. Te wycieczki po dzbanek mleka znałam od dziecka, ale wtedy wszystko nabrało nowego charakteru. Było jak przemierzanie toru przeszkód. Musiałam pilnować, by

nikt nie pomyślał, że jestem sobą. Miałam pewien szacunek i sympatię do siebie z przeszłości. Nie chciałam, żeby do mojej tożsamości dokleiła się nieestetyczna nowa forma, w której zaistniałam. Jak guma do żucia – wypluta, zwinięta w kulkę i doklejona do szkolnej ławki. Na wsi ludzie zwykle bardzo dobrze wiedzą, kto jest kim. Dlatego ukrywanie się było trudne i skomplikowane. Czułam, że kamuflaż niewiele daje. Poza spaniem, paleniem i wycieczkami po mleko jeździłam do mojego chłopaka sanitariusza. On też palił. I domownicy w jego domu także. Kupował mi pełno papierosów i zabierał w różne miejsca, gdzie mogłam sobie spokojnie palić: do kotłowni, przed dom, na wszystkie balkony wielkiego rodzinnego domu, do poloneza brata, na strych – do pracowni malarskiej szwagra, do knajp i na spacery. Oprócz tego karmił mnie i częstował wszystkim, co było w wielkiej lodówce. Dbał o to, żeby pokochała mnie cała rodzina: rodzice, dwie siostry, brat, szwagier artysta i jego dwuletni syn Maciuś. Udawał, że wcale nie utyłam ani nie zgłupiałam po szpitalu. Nienawidziłam wtedy seksu. Wydawało mi się, że wnętrze mojej pochwy też usztywniło się od piguł i zamiast narządu o miękkich, różowych, ciepłych ściankach o orgazmicznym potencjale przekształciło się we fragment blaszanej rury odpływowej. Nie chciałam czuć ani dotykać swojego manekinowatego ciała, a w seksie to raczej nieuniknione. Chłopak przytulał mnie czule, kiedy odwracałam się do niego plecami w łóżku, aby zgubić trop jego potencji i zapaść w niedźwiedzi sen. Mimo że nic wówczas nie czułam, a dyrygowały mną jedynie: potrzeba snu, głód i nałóg tytoniowy, bardzo pragnęłam być między ludźmi i spać przy moim chłopaku. Nie potrafiłam rozmawiać ani słuchać, czas ciągle mi się zacinał i więził mnie w poszczególnych sekundach, które nie mijały, tylko mdliły mnie albo ruchały w dupę. Przebywanie wśród ludzi, którzy nie grzęzną w czasoprzestrzeni jak ja, lecz w mniej lub bardziej udany sposób

performują swój los, koiło mnie. Dzięki nim moja jaźń powoli wybudzała się z komy albo przynajmniej momentami dochodziło do niej, że śpi, ale że w ogóle jest.

Kiedy przeżywałam ten pierwszy paraliż duszy, o fachowej nazwie depresji popsychotycznej, moi rówieśnicy, koleżanki i koledzy z liceum, zaczynali studia. Wyjeżdżali do dużych, ładnych miast. Wynajmowali tanie pokoje i rozpoczynali życie. W Krakowie tańczyli do rana w Jazz Rocku, mieli seksy z Erasmusami, dostawali stypendia z UJ i powoli zgrabnie rozkręcali swoje życie. Z rodzicami obmyśliliśmy, że i ja mogłabym spróbować studiowania. Chłopak obiecał wspierać. Nie mogłam wyjechać daleko, ale większe miasto w pobliżu wydawało się osiągalne. Wystarczało tylko wymyślić, co mogę studiować. Przestałam rozumieć obrazy i nie potrafiłam już trzymać w ręce ołówka. Akademii zresztą nie było pod ręką. Ani niczego na jej kształt.

Nie pamiętam, kto i jak to wymyślił, że znalazłam się na filologii słowiańskiej z językiem słoweńskim. Przypominam sobie, jak przez mgłę, kilka pierwszych zajęć. Głównie starałam się ukryć obce, grube ciało, które wtedy miałam. Kazano mi czytać i zapisywać bardzo dziwne wyrazy. Wtedy poczułam, chyba po raz pierwszy, że to, co się dzieje, nie jest moim życiem, ale absurdalną pomyłką. Rodzice zawieźli mnie do starej pani w bloku z ogłoszenia. Miałam wynajmować pokój, żeby autobusem dojeżdżać na uczelnię. Spędziłam półtora dnia, przyglądając się wnętrzu mieszkania. Kiedy starsza pani wyszła na zakupy, postanowiłam uciec. Nie miałam siły na nowe, dziwaczne relacje i wrastanie w miejsca przesiąknięte cudzym życiem. Ani na eksperymentalne wariacje z językiem słoweńskim. Po raz pierwszy świadomie uciekłam. Spakowałam rzeczy i zadzwoniłam po rodziców. Gospodyni, która wróciła z zakupów, raczej histerycznie wytłumaczyłam, że zaszła pomyłka. Podobne sytuacje wracały wielokrotnie

na różne sposoby. Pamiętam, jak wiele lat później seksownemu i dobrze wychowanemu Włochowi poznanemu na Tinderze powiedziałam coś podobnego, po trzech godzinach całowania się w parku. Szliśmy do jego czarnego alfa romeo, kiedy nagle zatrzymałam się i wyznałam, że nie mogę iść dalej w tym samym kierunku. Riccardo się obraził, ale byłam znowu wolna. Kolejnym planem aktywizującym podczas pierwszej popsychotycznej depresji była praca w supermarkecie. Pracował tam ojciec. Potrzebowali kogoś do wykładania towaru. Już pół roku spałam, więc wybudzanie mnie uznano za konieczność. Miało to także przynosić dochody, więc było podwójnie świetnym pomysłem. W za dużej niebieskiej koszuli z wielkim logiem Lidla czułam się jak doskonały przykład, żywy dowód na to, że świat pozbawiony jest sensu, a nawet podstawowego ładu. Ciągle byłam gruba, a firmowa koszula zamieniła mnie w Muminka. Włosy spadały mi na oczy i przykrywały utuczoną twarz. Ta izolacja była przyjemna. Moim ulubionym miejscem w galaktyce został wówczas ukryty na tyłach zaplecza wózek z przeterminowanymi albo uszkodzonymi produktami. Po cichu i po ciemku wygrzebywałam stamtąd kawałki połamanej czekolady…

Przed snem ustawiałam budzik na godzinę czwartą w nocy. Jedyne, co przynosiło ulgę, to moment, gdy się budziłam i wiedziałam, że znowu mogę zasnąć.

Odbić wariatkę

Schudłam trzydzieści kilo, w tym dwadzieścia, które przytyłam po lekach. Pilnowałam kalorii. Bardzo dobrze wiedziałam, co ile ich ma i gdzie na człowieka czyhają. Kładłam się spać szczęśliwa, że nie zjadłam kolacji i utrzymałam się kolejny dzień na diecie zawierającej mniej niż tysiąc kalorii. Budziłam się spocona, szukałam w łóżku własnego ciała, którego nagle brakowało. Skóra przybrała biały kolor i zrobiła się papierowa. Włosy na nogach odstawały jak u kota, kiedy się zjeży. Już od kilku dobrych miesięcy nie miałam okresu. Czułam się silniejsza niż kiedykolwiek. Odzyskiwałam siebie: głodzeniem się sukcesywnie odsączałam tłuszcz, który narósł na mnie od leków. Na studiach bez problemu zaliczałam kolejny rok. Byłam piękna. Włosy sięgały połowy pleców i stały się bardziej rude niż kiedykolwiek. Iskrzyły. Chciałam pojechać na festiwal, ale brakowało mi towarzystwa. Nie widziałam w tym żadnego problemu. Tyle już ze sobą przeszłam, że samotny wyjazd pod namiot nie stanowił wielkiego wyzwania. Spakowałam się z mojego studenckiego pokoju wynajmowanego za grosze w kamienicy zwanej „piekło” o numerze czterdzieści cztery, ulokowanej na skrzyżowaniu Dietla i Stradomia. Była to imponująca, nieodremontowana budowla ze zjawiskową klatką schodową, trochę straszydło. Standard beznadziejny, więc mieszkali tam sami studenci lub narkomani. Zimą nie dało się dogrzać, na podwórku stały wielkie śmietniki i nic więcej.

Czasem chłopcy robili sobie imprezę i z samej góry klatki schodowej zrzucali jakiś stary telewizor wywleczony z mieszkania obok, w którym dawno już nie było lokatorów. Leżały tam tylko ich rzeczy, do których

udało się włamać przez jakąś dziurę. Zabawa była prosta. Trzeba wynieść telewizor na ostatnie piętro. Zamknąć drzwi na dole i krzyknąć głośno „uwaga!”, żeby kogoś nie zabiło. Za przeprowadzenie akcji musiał odpowiadać zgrany zespół.

Spakowałam manatki do plecaka i śniłam plany wyjazdowe. W pokoju miałam niewiele przedmiotów. Na pewno było tam lustro po dawnych lokatorach i pusta butelka Jacka Daniel’sa, którą również odziedziczyłam po poprzednim mieszkańcu. Wtedy była pełna. Szybko ją wypiłam. Grzałam się whiskey podczas zimowych miesięcy, przyklejona do wiecznie letniego czarnego pieca elektrycznego – prostopadłościanu stojącego na środku pokoju.

Byłam chuda jak szczapa, ubrania nie zajmowały dużo miejsca w plecaku, poza tym był lipiec, więc nie potrzebowałam ich dużo. Kupiłam jednoosobowy namiot na wyprzedaży w Biedronce i wyjechałam na wakacje. Festiwal był kilkudniowym maratonem artystycznych eventów, impreza chrześcijańska – w nieortodoksyjnym rozumieniu tego słowa. Odbywała się w starym klasztorze cysterskim pod Wrocławiem. Udało mi się samodzielnie rozstawić namiot.

Nie zauważyłam, kiedy zaczęło się robić dziwniej niż zwykle. Byłam zajęta liczeniem kalorii i rozczesywaniem włosów. W dodatku rzucałam palenie. Pamiętam, że niespodziewanie zamiast na koncercie znalazłam się na dziwacznym spotkaniu, gdzie egzorcyzmowano demony. Podpatrywałam z ukrycia. Następnego dnia zauważyłam, że pomiędzy uczestnikami festiwalu pojawiają się podejrzanie wyglądające osoby. Plakietki, które nosiły na szyjach, miały napis VIP i dziwny, błyszczący hologram. To byli magowie sprowadzeni specjalnie do obsługi metafizycznego wymiaru imprezy. Wszystko to mnie męczyło. Ucieszyłam się, kiedy impreza dobiegła końca. Z ulgą pakowałam kolejne śledzie

i zwijałam namiot. Zadzwoniłam do najlepszej przyjaciółki i odśpiewałam jej *Help!* The Beatles przez telefon. Zaprosiła mnie do siebie, bo wiedziała, że będę przejeżdżać autobusem przez miasto. Nie mogłam znaleźć jej mieszkania, więc rozsiadłam się na placu zabaw i eksplorowałem kolejne zjeżdżalnie. Cały czas nagrywałam reportaż kieszonkowym aparatem. Spotkałam Marsjanina zamienionego w niebieską gąsienicę z imponującymi czułkami. Uwieczniłam go na taśmie. W końcu jakoś znalazłam odpowiedni adres. Najlepsza przyjaciółka przyjęła mnie gościnnie, choć jej chłopak łypał na mnie podejrzliwie spode łba. W mieszkaniu nie było pozostałych współlokatorów, a oni także wychodzili i zostawiali mnie. Wyciągałam wtedy różowe papierosy Pink Elephant i kopciłam jeden za drugim, siedząc pomiędzy albumami o sztuce. Zaczęłam robić porządki. Przeglądałam garderobę, przekładałam przedmioty. Kiedy zostawili mnie prawie na cały dzień, wlazłam pod prysznic, gdzie doznałam wglądu. Byłam pewna, że na etykietach kosmetyków zanotowany jest nie tylko ich skład chemiczny, ale też tajemny skrypt, coś jak Biblia, tylko że rozczłonowana na rozdziały poumieszczane na tyłach kolejnych buteleczek. Zrozumiałam, że jeśli odczytam całość manuskryptu, uda mi się na tej podstawie opracować szczepionkę przeciw AIDS oraz wynaleźć substancję, która będzie w stanie zneutralizować bombę atomową. Brakowało danych. Lekko zgłodniałam. Skierowałam się do lodówki, gdzie oprócz jedzenia znalazłam cenne składniki, które posłużyły mi do stworzenia bazy kosmicznej. Zabrałam się do gotowania, czując, że lecę w statku. Sterowałam nim poprzez odkręcanie kurków palnika, ustawianie kolejnych garnków i dodawanie przypraw. Pojazd rozpędził się do kosmicznej prędkości. Ktoś mnie znalazł, ale nie pamiętam kto i kiedy. Może najlepsza przyjaciółka zadzwoniła do rodziców. Miałam niecałe dwadzieścia jeden lat, więc wydawało się, że to właśnie oni powinni

mnie pozbierać. Matka bała się dalekiej podróży. Poproszono kuzyna ze złotym mercedesem, żeby wybrał się wraz z rodzicami w rajd, by odbić wariatkę. Kiedy rodzice wyciągali mnie z mieszkania, strasznie krzyczałam. Wcześniej chyba oglądali mnie lekarze i ratownicy medyczni, także wezwani na pomoc. Pamiętam, że nie chciałam wyjść. Trzymałam się futryny i krzyczałam wniebogłosy. Ale ojciec dał sobie ze mną radę. Ważyłam zresztą jakieś czterdzieści kilo. W aucie matka podała mi tabletkę z nadzieją, że uchroni przed nawrotem. Okazało się, że jedna to znacznie za mało. Jechałam zaparta w fotelu i sztywna. Byłam pewna, że nawet drobny ruch mojego ciała przesądzi o losach świata. Kiedy, po kilku godzinach, dotarliśmy na miejsce, nie chciałam wyjść z auta. Wiedziałam, gdzie jesteśmy. Położyłam się na tylnym siedzeniu po to, by wbić się w dach rękami i nogami. Krzyczałam, jakby mnie żywcem obdzierali ze skóry. Słyszałam płacz topielców znad jeziora.

Później wszystko działo się dokładnie tak jak za pierwszym razem. Powtórka z rozrywki trwała miesiąc krócej. Pojawiły się nowe wątki: odwiedzili mnie sąsiedzi Rosemary. Ci sami, którzy w filmie poili ją zatrutymi koktajlami i pragnęli, by została matką szatana. Wylegiwałam się na balkonie szczelnie oplecionym metalowymi kratami, gdzie zawsze dokładnie o piętnastej łączyłam się telepatycznie z Jezusem umierającym na krzyżu i przeżywałam z nim agonię. Przez dwa miesiące, każdego dnia. Pod koniec turnusu wzięłam się do asystowania w kuchni. Dzielnie myłam wielkie metalowe gary, zgłaszając się na ochotniczkę. Trudno było o lepsze rozrywki. Ochoczo chodziłam na msze, które w sali spotkań organizował ksiądz i jego przenośny zakład katolicki. Zawsze było pełno wiernych. Wszyscy głośno śpiewali. Ksiądz odkupywał swą posługą dusze kolejnych cierpiących pacjentów. Wydawało mi się wówczas, że Jezus mnie usłyszy i pomoże dźwigać krzyż. W tym celu namiętnie jadłam jego ciało

serwowane przez kleryka. Msze w psychiatrykach to rarytas. Pielęgniarki zwoziły wszystkich pacjentów na wózkach i pomagały przychodzić starszyźnie z demencją. Mamie i ciotce bardzo się podobało, że uczestniczę w nabożeństwach i się modlę. W miarę możliwości starały się dojeżdżać na liturgię i brać ze mną udział w mszach. Razem śpiewałyśmy najgłośniej z zebranych: „Serce moje weź, niech Twą śpiewa cześć, serce moje, duszę moją, Panie Jezu, weź”. Po mszach próbowałam rozmawiać z księdzem, ale umiał tylko powiedzieć: „Bóg z tobą”. Uśmiechał się, dawał mi obrazek i brał nogi za pas.

Kiedy wyszłam ze szpitala, byłam kilka dni spóźniona na studia. Czekało na mnie nowe mieszkanie w pokoju na spółkę z inną studentką. Znowu grubłam. Większość ciuchów była na mnie za mała. Zasnęłam na kolejny rok. Budziłam się na fajkę, kanapkę z serkiem topionym i zajęcia na uczelni. Koledzy i koleżanki dziwnie na mnie patrzyli. Nie rozumieli, dlaczego zmieniłam się w kogoś innego. Wiedziałam, że depresja będzie trwała rok. Mogłam rozmyślać, czy to dużo, czy mało. Dwa lata temu obiecałam, że jeśli to się powtórzy, odbiorę sobie życie. Chciałam być dla siebie wspierająca. Byłam zła, że nie wiem, jak to zrobić. Pozostawałam w stanie zawieszenia z podciętymi nogami i pustym mózgiem oraz bolesną świadomością jednego i drugiego. Mieszkałam z nowymi współlokatorami. Nie mogłam im opowiedzieć mojej historii, więc starałam się udawać, że jestem, jaka jestem, czyli żadna. Chciałam, żeby nie zwracali na mnie uwagi. Współlokatorce nieźle to szło. Wracała o czwartej nad ranem i paliła nad moją głową papierosy. Przesypiałam kolejne godziny, by ulżyć sobie w cierpieniu. Nie mogłam czytać. Po raz pierwszy miałam w mieszkaniu szybki internet, więc godzinami przeglądałam fora dla osób chorych psychicznie debatujących o skutkach ubocznych leków. Tam nie było dobrych wiadomości. Nauczyłam się oglądać seriale, czego nie robiłam

nigdy wcześniej, oprócz *Twin Peaks*. Włączałam kolejne odcinki *Gotowych na wszystko* i próbowałam zahipnotyzować się amerykańskim snem. Szło tragicznie, jednak udawało mi się łykać jego kolejne porcje w godzinach, kiedy nie spałam i nie byłam na uczelni. Te momenty napawały mnie lękiem. Musiałam zostać sama ze sobą. A we mnie nikogo nie było. Mierzyłam się z bezkresną, przerażającą próżnią. Ciągle miałam mocno skonstruowane „ja", tylko że było to „ja" osoby, której nie ma. Jakbym stała się ujemną wartością. Z obrzydzeniem patrzyłam na swoje ciało, zawsze ubrane w wielkie niebieskie spodnie i bluzę koloru khaki. Jedyne rzeczy na mój rozmiar. Po pierwszym epizodzie i powrocie do sił wyrzuciłam wszystkie za duże ciuchy. Co tydzień wracałam do domu na wieś. Spędzałam długie godziny w autobusie. Były one bardzo miłe. Dobrze je wspominam. Obok mnie było tyle ludzi, wszyscy żyli, jedli kanapki, pili colę, gadali przez telefony i opowiadali idiotyczne żarty. Chciałam ich udawać, ale nie wiedziałam, jak to zrobić. W domu spałam i jadłam. Oprócz tego paliłam. Znowu ustał okres i leciało mi mleko z sutków.

Cudem trafiłam na lekarza, który rozpoznał, że moje kilogramy i depresja to problem. Zmieniliśmy leki. Zgodnie z mentalnością prowincjonalnego szpitala miałam być gruba i nieszczęśliwa, ale Kraków obiecywał inne możliwości. Spędzałam godziny u znajomych kuzynki, jej lokatorów. To było dwóch chłopaków, którzy ciągle palili jointy i oglądali głupie seriale. Byli bardzo szczęśliwi. Nie przeszkadzałam im. Uwielbiałam do nich przychodzić. Obecność ludzi była jedyną formą rehabilitacji przynoszącą skutki.

Zaczęłam chudnąć, przyszło kolejne lato. Podczytywałam powoli Fromma i Junga. Szłam ulicą, kiedy nagle poczułam męskie perfumy. Woń roztaczał idący przede mną mężczyzna. To był pierwszy zapach, który zanotowałam od roku. Stopniowo świat decydował, że warto zaprosić mnie

jeszcze raz do tańca. Podsunął zjawiskowego Larsa. Jego bezkreśnie inteligentna twarz przeszyta była bólem, ale też pragnieniem przemiany. Studiował filozofię, przyjechał z Utrechtu. Zaczął pojawiać się w moim łóżku. Zostawał na noc. Byłam wtedy wniebowzięta. Znów odzyskałam ciało pięknej, młodej kobiety. Niezbyt dobrze mówiłam po angielsku. Bardzo trudno było mi opowiedzieć mu, co przeżyłam. Zresztą nasze rozmowy były zawsze jakby zawieszone w ontologicznej tajemnicy i niedomówieniu. Opierały się na niedopowiedzeniach. Jak koany zen, ale przecież kochankowie komunikują się całym ciałem, sczytują z siebie informacje jak z map. Przynajmniej w to się wierzy, gdy jest się młodą i zakochaną. Lars był boleśnie zadurzony w dziewczynie, która złamała mu serce. Lubił mnie, ale także trochę zaleczał mną własny ból. Fascynowały go moje obrazy. Pasjami malowałam kolejne autoportrety z lustra, często nagie. Głównie na tanich tekturach. Na chłopcach zawsze robiło to szalone wrażenie, jakby bycie malarką dodawało masę bonusów do erotycznej atrakcyjności kochanki. Oboje byliśmy roztrzaskani. Lars w sposób niezmiernie pociągający, jak prawdziwy młody intelektualista poruszony rozdźwiękiem pomiędzy realnym a rzekomym wyglądem świata, do tego właśnie przeniesiony z zachodu na wschód Europy. Zapytał, czy wolę The Beatles czy The Rolling Stones. Odpowiedziałam, że tych drugich, ale przekonał mnie, że to zły wybór. Na okrągło słuchaliśmy więc krążka *Love* w kuchni na Urzędniczej. Czytaliśmy w łóżku *Historię oka* Bataille’a, pięknie wydaną. Uczyłam go polskich słów. Zajadaliśmy się sobą nawzajem. Ale Lars zawsze uprzedzał, że jestem tylko jego przyjaciółką. Mieliśmy wspólnych znajomych. Podobno powiedział im, że jestem *cute*. Trudno było mi to przełknąć. Ten krótki wyraz nijak do mnie nie przystawał. Mimo to zdecydowałam się kochać go bez oczekiwania wzajemności. To było trudne, lecz wiedziałam, że oprócz erosa łączy nas

także przykre doświadczenie wglądu w bardzo brutalną naturę rzeczywistości. Czyniło to nasz romans intelektualnym paktem.

Kraków, Jakdojade

Siedziałyśmy w kuchni z najlepszą przyjaciółką. Przyjechała odwiedzić mnie w Krakowie. Włączyłam *I'm a Victim of This Song* Pipilotti Rist, czyli cover *Wicked Game* Chrisa Isaaka, i zaczęłam wyć. Leciał ze mnie wodospad łez. Darłam się wniebogłosy:

The world was on fire
No one could save me but you.
Strange what desire will make foolish people do
I never dreamed that I'd meet somebody like you
And I never dreamed that I'd lose somebody like you
No, I don't want to fall in love
No, I don't want to fall in love
With you
*With you**.

Lars wyjechał z Krakowa, wrócił do siebie. Cała byłam spazmem bólu. Najlepsza przyjaciółka wyciągnęła aparat i zrobiła mi zdjęcie, a potem jeszcze kilka. Dziwiła ją moja chudość. Patrzyła na mnie trochę jak na zjawisko. Natomiast ja czułam się piękna. Byłam pewna, że czterdzieści dwa kilo to moja optymalna waga. Wiedziałam, że mi zazdrości. Przecież nie każdy potrafi w ten sposób zadbać o linię. Zostało mi z tego okresu kilka zdjęć anorektyczki o twarzy dziecka.

Na oddziale dziennym, na który chodziłam, robiono mi ciągle jakieś badania i bez przerwy mnie ważono. Zagrożono, że jeśli schudnę jeszcze

kilogram, trafię tam, gdzie leczy się anorektyczki. Przed następnym wejściem na wagę wypiłam trzy litry wody. Ubrałam się w rzeczy pełne ciężkich metalowych zamków i kapsli, włożyłam kilka warstw. Wybierałam ubrania z szafy, ważąc je w rękach i szacując, które są najcięższe. Podczas badania igły, które próbowano we mnie wbić, wypadały, a krew nie płynęła. Patrzono na mnie ze zdziwieniem i dopytywano, jak to możliwe, że nie mam ciśnienia. Po tym jak pani pielęgniarka poniosła kilkakrotnie porażkę, bardzo przestraszyłam się, że umieram. Zasnęłam na kanapie w ośrodku, a kiedy się obudziłam, zaczęłam wydzwaniać gdzieś, gdzie ponoć robią badania, które zalecano w takiej sytuacji. Złapałam taksówkę i pojechałam na Olszańską. Później niewiele pamiętam. Przypominam sobie, że błąkam się w korytarzach oddziału ratunkowego na Dietla i mówię wszystkim, że mam bardzo niskie ciśnienie. Każą mi czekać, robią jakieś badania. Jestem przerażona, więc połykam jedna za drugą różowe pigułki hydroksyzyny. Nie uspokajają mnie ani trochę, mimo że dawno przekroczyłam dozwoloną dawkę. Uciekam ze szpitala. Dzwonię opowiedzieć historię matce. Dziwi się, jest pod wrażeniem. Cieszę się, że w końcu jestem w stanie jej zaimponować i zwrócić na siebie uwagę.

Generalnie czułam, że coś jest nie tak. Skoro ciągle jadłam leki, to przypuszczałam, że nie może to już być obłęd. Zastanawiałam się, czy nie owładnął mną demon. Ta opcja wydawała się najbardziej prawdopodobna. Matka też była do niej przekonana. Chodziłam do kapucynów, żeby modlić się do ojca Pio o pomoc. W końcu ciągle walczył z bandą szatana, od czego miał pełno stygmatów. Matka mi kibicowała. Przyjechała do Krakowa. Umówiłyśmy się na spotkanie u paulinów, żeby pomówić o mojej sytuacji i ewentualnych egzorcyzmach z profesjonalistami. Młody ksiądz, który z nami rozmawiał, ciągle patrzył na mnie jak na ładną dziewczynę, a nie jak na opętaną. Zostawił do siebie kontakt. Nigdy nie odpisał na mojego mejla.

Myślałam, że może rozpoznał we mnie diabła w kobiecej skórze czyniącego zakusy na jego czystość. Rzeczywiście, wpadł mi w oko.

Napady lęku przychodziły znienacka i kompletnie mnie odłączały. Czułam się, jakby porwała mnie pralka, która wirowała w mojej głowie. Wciągała w swój bęben wszystko, z łatwością połykała moje nogi i ręce. Obraz rozdzielał się jak warstwy w Photoshopie, jakby grafik się opił i wszystkie poprzesuwał. Nie wiedziałam, czego się trzymać, na której płaszczyźnie znajduję się ja. Do tego zwykle wywracały mi się oczy i mogłam patrzyć tylko na sufit. To było dokładnie takie doświadczenie jak zły trip po kwasie. Raz wysypał mi się na podłogę plecak, cała jego zawartość. W napadzie paniki nie byłam w stanie pozbierać rzeczy z podłogi. Kompozycja, która powstała z rozrzuconych długopisów, zeszytów i kabli, wydawała mi się symbolizować chaos, w którego odmętach uwięziono mnie jak owada zalanego w masie bursztynowej. Musiałam kłaść się do łóżka i czekać. Po kilku godzinach zwykle mijało. Byłam wtedy w stanie dzwonić do kolejnych terapeutów na NFZ i umawiać terminy spotkań. Zwykle dostępne były takie za dwa lata albo za półtora roku. Psychiatra na opisane przeze mnie stany zapisał mi relanium. Bardzo dobrze wspominam ten etap leczenia. Mogłam chodzić na spacery w ładnych sukienkach i czuć się, jakbym usiadła na miękkiej chmurce. Wszystko stawało się przyjemne i delikatnie mnie przytulało. Świat masował moje wychudzone ciałko. Lekarz szybko jednak zabronił mi stosowania rolek na dłuższą metę. Nigdy więcej mi ich nie przepisał, po tym jak na wizycie bardzo go o nie prosiłam, a on podejrzanie wpatrywał się w moje źrenice.

Znajoma spytała, czy zapozuję do zdjęć. Podobałam się jej. Nie zanotowała, że moja chudość jest chorobliwa i karykaturalna. Na fotografiach wyglądałam po prostu wspaniale. Ci, którzy mnie oglądali,

myśleli, że mam sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, bo tak wynikało z proporcji. Byłam piękna. Wylądowałam nawet na zdjęciach w „Wysokich Obcasach” i w *Mieście Kobiet*. Osiągnęłam swój szczyt. Niestety, napady lęków nie mijały. Kompletnie owładnął mną nałóg nikotynowy. Były całe dni, kiedy nie potrafiłam zrobić nic innego, jak tylko wkładać do ust i odpalać kolejne papierosy. Równocześnie bardzo chciałam rzucić palenie. Kiedy nie mogłam, paliłam więcej i więcej. Paczka fajek starczała mi na dwie godziny. Co jakiś czas łamałam papierosy i wrzucałam do muszli klozetowej, by za chwilę biec do sklepu po następne pudełko. Nic nie pomagało. Czułam, że zaraz oszaleję. Zadzwoniłam do rodziny. Ojciec stwierdził, że z tymi papierosami to kompletna tragedia. Ciotka przyklasnęła ochoczo na mój plan, żeby zgłosić się do szpitala. Zadzwoniłam gdzie trzeba. Pobiegłam do lekarza skopiować dokumentację medyczną, spakowałam torbę, a na Jakdojade sprawdziłam, jakimi autobusami można się dostać do Kobierzyna. Przyjęto mnie. Pierwszy raz byłam na oddziale na własne życzenie. Ta sytuacja dawała mi przewagę. Wcale też nie oszalałam do końca. Ten turnus wspominam najlepiej. Traktowano mnie równo. Nikt nie zmuszał do zastrzyków, nie zapinał mnie w pasy. Nawiązałam kilka przyjaźni. Dużo tańczyłam na korytarzach do The Beatles, sporo rozmawiałam z psychologiem, a w pobliskiej kaplicy modliłam się do Matki Boskiej, bym mogła rzucić palenie. Była wiosna, teren szpitala się zazielenił i wystrzeliły pierwsze kwiaty. Siedziałam pod drzewami z książką i notatnikiem. Rysowałam pacjentów. Przeżywałam kolejne nadchodzące święta Wielkiejnocy szczęśliwa, że wpadłam na pomysł, jak nie dopuścić, by złe duchy mną sterowały. Pojawiał się też Franek, który akurat się we mnie zakochał. Wprowadził się do naszego mieszkania niewiele przed moim wyjazdem do Kobierzyna. W ostatnich godzinach asystował mi w paleniu fajek. Nie zezłościł się nawet, kiedy

połamałam i wyrzuciłam mu całą ramkę, bo akurat rzucałam, a on zapomniał o moim ogłoszeniu, że nie wolno zostawiać papierosów na widoku. Był na straconej pozycji, bo w owym czasie interesowali mnie tylko tacy chłopcy, którzy nie zwracali na mnie uwagi, nie odwzajemniali uczuć albo wykorzystywali i uciekali. Ale odwiedzał, przywoził papierosy. Razem chodziliśmy na herbatę do szpitalnej kawiarenki i spacerowaliśmy tam i z powrotem po imponującym terenie szpitala.

---

* Świat stanął w ogniu / i tylko ty mogłeś mnie ocalić. / Niebywałe, do jakich głupot pożądanie może zmusić ludzi. / Nigdy nie śniłam o spotkaniu kogoś takiego jak ty. / I nigdy też nie śniłam, że stracę kogoś takiego jak ty. / Nie, nie chcę się w tobie zakochać. / Nie, nie chcę się w tobie zakochać. / W tobie / W tobie (tłum. red.).

Uzdrowiciele

Pomysły wyciągam sobie z głowy. Gdy myję naczynia albo jadę na rowerze, zajmuję się uważnym podsłuchiwaniem tego, co sama do siebie mówię w myślach. Nigdy nie przyszło mi jednak do głowy, żeby te myśli nazywać głosami. Zwykle przysłuchiwaniu się towarzyszy dreszcz podniecenia w stylu „ach, jakie to jest super!” i od razu dołącza się lęk, że zaraz wszystko zapomnę. Wywieram więc wtedy na sobie presję, żeby dokładnie zapamiętać i jak najszybciej zapisać pomysły. Umiejętnego wywierania presji prawdopodobnie nauczyła mnie matka. Żeby lepiej zapamiętać, zwykle robię w głowie listę i liczę, ile jest w niej punktów. Liczę dwukrotnie: z góry na dół i potem jeszcze raz – dla pewności – z dołu do góry. Następnie odpytuję się z tej listy. Chodzi o to, żebym umiała natychmiast podać temat każdego podpunktu i pamiętała kolejność. Zdarza się, że zamiast odpowiedzi mam w głowie pustkę. Wtedy od razu przeszywa mnie dreszcz, a na rękach pojawia się gęsia skórka. To bardzo ryzykowne. W takiej sytuacji mogę wjechać na rowerze w małe dziecko albo potłuc cenny talerz, kiedy zmywam. Dlatego najlepiej, jeśli mam na wierzchu notes i długopis albo mój iPhone 7 z funkcją dyktafonu. Z iPhone’a jestem bardzo dumna. Kupiłam go po długich latach biedy, miesiącach bezrobocia, a nawet częściowej bezdomności za pierwsze przelane stypendium doktoranckie. To przedmiot symboliczny, dobra wróżba. Można przystanąć, oprzeć rower o drzewo i zacząć mówić do telefonu. Mówienie do telefonu jest takie zwykłe, nie wzbudza podejrzeń.

Moją ulubioną strategią artystyczną jest wyjmowanie sobie z głowy treści, które wydają się najbardziej niestosowne, obrzydliwe albo

wstydliwe. A równocześnie takich o charakterze uniwersalnym – każdy może być podejrzany, że je gdzieś ma pochowane pod czaszką. To takie treści, jakie społeczeństwo wydaje się chcieć wyprzeć swoimi sposobami: wykrochmalić, wyprasować, zapudrować, zatuszować, przefarbować… To myśli – kłody rzucane pod nogi. Mogłyby utrudnić funkcjonowanie w pewnych wymiarach, procesach, relacjach. Więc uwielbiam wrzucać takie żaby, zdechłe myszy ludziom prosto pod nogi. Szczególnie satysfakcjonują mnie sytuacje, w których moje „ofiary” zaczynają się zastanawiać, czy te brudy nie wypadły właśnie z ich kieszeni lub nie wyskoczyły im jak kamyk z buta. Nie chodzi tu wcale o złośliwość, ale wręcz odwrotnie. Po prostu zachowuję się jak wytrawna znachorka. Te moje zabiegi to coś na kształt stawiania na plecach baniek, które wyciągają z człowieka chorobę. Albo jak słynna kilka lat temu żaba Kambo do zażywania po to, żeby zwymiotować i doznać zaraz potem *katharsis*. „*Katharsis*” to moje ulubione słowo używane we wnioskach o stypendia i opisach moich praktyk artystycznych. Rzadko jednak działa na przyznających upragnione granty – niestety. Generalnie brud jest bardzo istotny i nie można go długo kontenerować. Jako dwudziestolatka czułam, że moja psychoza nie do końca się wyleczyła dzięki psychotropom. Poszłam więc najpierw do egzorcysty, a zaraz potem do lekarza medycyny chińskiej. Opowiedziałam mu, że czuję, jakbym stała na pękających płytach tektonicznych, i że to przysparza wielkiego cierpienia. Powiedział, że nie sprzątam. W zasadzie miał trochę racji. Matka ze szmatą z pieluchy na kolanach wycierająca nasze rakotwórcze płytki PCV źle mi się kojarzyła. Na szczęście mieszkałam wtedy w bardzo małym pokoju. Płaciłam pięćset złotych za wynajem z mediami w centrum Krakowa. Cena była niska z powodu metrażu. Tak więc mogłam sobie pozwolić na sprzątanie. Zawsze było mi blisko do myślenia psychomagicznego, dlatego pomysł związany

ze sprzątaniem pokoju jako metaforą porządkowania własnego stanu ducha kupiłam od razu i zapłaciłam uzdrowicielowi grube hajsy. Wiary w mądrość uzdrowicieli nauczyła mnie matka. Od dziecka woziła mnie do kręgarzy, zielarzy i bioenergoterapeutów. Trochę niczym *appendix* do siebie. Od zawsze była mocno chora na różne tajemnicze przypadłości, a ja to po niej odziedziczyłam. Mimo że za każdym razem kiedy tylko ktoś zauważył w nas najdrobniejszy ślad podobieństwa, matka wykrzykiwała: „Ona ma wszystko po ojcu, cały tata, wszystkie jego geny!”.

Uzdrowiciele, którymi na początku XXI wieku upstrzona była Małopolska i Śląsk – od Bielska-Białej przez Milówkę po Stryszawę – szczycili się wielką renomą, byli niemiłosiernie drodzy, a kolejki do nich ustawiały się na pięć godzin. Zapamiętałam, że byli bardzo szorstcy w obyciu, mało empatyczni i generalnie dbający o to, by nie nawiązać ze swoimi klientami-pacjentami kontaktu. Wynajdywali groźnie brzmiące diagnozy chorób, które już-już zaczynają się rozwijać, ale ich skutki będą widoczne i śmiertelne dopiero za kilka lat. Aby ich uniknąć, należało zapłacić za wizytę niemałe pieniądze, zapisać się na kolejną i wykupić całą listę uzdrawiających ziół, suplementów lub maści. Wizyta musiała trwać jak najkrócej to możliwe, co prawdopodobnie wpisywało się w zasadę unikania kontaktu z chorymi. Pamiętam przynajmniej trzech uzdrowicieli. Każdy był inny. Ach, i jeszcze siostra Aldona! Pan Pąk z Rycerki miał wielki brzuch i metalową różdżkę, która wyglądała jak fragment staromodnej anteny od telewizora. Kiedy stawał przed nim chory człowiek, różdżka zaczynała się obracać w jego dłoniach, jakby była na niewidoczny prąd. Pan Pąk wczuwał się w jej ruchy i synchronizował z nią głos, którym wydawał radykalne komendy w stylu: „piętnaście lat bez pomarańczy”, „dwadzieścia pięć lat bez kawy” albo „przez trzy dni tylko koniak”. Takie recepty robiły wielkie wrażenie na wszystkich. Pan Pąk cechował się wyjątkową

bezpośredniością i do wszystkich mówił „ty”. Długie litanie diagnoz na przemian z receptami wypowiadał szybko jak zaklęcia. Dziś pewnie wpadłabym na to, żeby włączyć dyktafon, ale wtedy, jako nastolatka, nie miałam czegoś takiego, więc wspólnie z matką starałyśmy się wszystko spisywać. Koło pana Pąka krążyła asystentka, która w razie czego odpowiadała na pytania, ale raczej wymijająco. Zwykle po prostu rekomendowała uważne wsłuchiwanie się w mądrości mistrza. Jego różdżka była naprawdę imponująca, trudno ułożyć sobie w głowie, jak to się działo, że się tak dynamicznie poruszała. W kolejce do pana Pąka ludzie szeptali sobie dużo pocieszających rzeczy i wymieniali przykłady uzdrowień w najbliższej rodzinie, do których doszło dzięki bioenergoterapeucie.

Innym uzdrowicielem był pan kręgarz Rosjanin z Bielska. Jako nastolatka co kilka miesięcy kładłam się na jego stole. W moje zdrowie inwestowała matka. Może już wówczas czuła, że nie umie ze mną nawiązać kontaktu, a moja osobowość ją przeraża, i dlatego zdecydowała się opłacać uzdrowicieli. Pan Rosjanin był dość ciekawy, miał szlachetne rysy twarzy i wielkie, przezroczyste oczy. Mówił ze wschodnim akcentem, a czasem dodawał zupełnie niezrozumiałe słowa i chodził ubrany cały na biało, wyjątkowo wyprostowany. Wizyty do niego umawiała wysoka czarnowłosa kobieta – żona pana kręgarza. Ona także zajmowała się porządkowaniem kolejki i dbaniem o to, żeby każdy w poczekalni miał pod tyłkiem plastikowe krzesło, a przed sobą na stole stertę magazynów „Twój Styl”. Wizyty u pana kręgarza były dla mnie dużym przeżyciem, ponieważ, żeby położyć się na stole, trzeba było zdjąć ubranie, w tym także stanik, a mi dopiero co urosły całkiem fajne piersi. Wtedy jeszcze nikomu ich nie pokazywałam i nikt nie zdążył potwierdzić, że są takie extra. Zwykle kilka dni przed wizytą martwiłam się bardzo, jak to będzie się rozebrać. Ta troska

miksowała się z inną obawą. Za każdym razem lękałam się, że pan Iwanow – przypomniałam sobie nazwisko – dokona jedynego w swoim życiorysie błędu w sztuce uzdrowicielskiej i skręci mi kark. Zawsze najwięcej problemów było u mnie z kręgami szyjnymi. Dlatego według diagnozy kręgarza moja głowa była niedotleniona i pojawiały się różne psychopatologie. Zresztą to akurat potwierdzali wszyscy cudotwórcy. Pierwszym objawem, na który zwracałam uwagę, było wypadanie włosów. Bardzo się przejmowałam, że zaraz będę łysa. Byłam przekonana, że to objaw groźnej, po cichu rozwijającej się choroby. Może i tak było. Na stole leżałam zwykle dość sztywna i zalękniona wizją złamanego karku. Pan Iwanow operował jednak sprawną sztuką i słyszałam tylko, jak moje kręgi głośno strzelają pod jego palcami. Zwykle miałam wypadniętych około dwudziestu. Na koniec dostawałam listę z ręcznie zapisanymi numerkami – które kręgi właśnie wpadły na odpowiednie miejsce. Pan Iwanow rekomendował zdobycie gęsiego smalcu i smarowanie się nim sukcesywnie każdego dnia przez przynajmniej trzy tygodnie przed następną wizytą.

Kolejnym znachorem był stary zielarz, który już nie żyje. Jego śmierć wszystkich zdziwiła i na pewno też bardzo zawiodła. Ale w sumie nie mam pojęcia, na co umarł. Zielarz dokonywał magicznej ekspertyzy z moczu. Wypisywał mieszanki ziołowe na zdiagnozowane na podstawie żółtej cieczy choroby. Bardzo się wstydziłam tych wizyt, bo myślałam, że mam najbrzydszy i najbrudniejszy mocz na świecie. Była też siostra Aldona, ale ją odwiedziłam tylko raz. Zawiozła mnie do niej matka zaraz po pierwszej psychozie, kiedy nie bardzo potrafiłam ruszyć się z łóżka przez całe dnie. Siostra zapisała mi napój z bratków na trądzik i okładanie twarzy plastrami zielonego ogórka. Potem było jeszcze wiele znachorów, wróżek i bioenergoterapeutek…

Część II
Siuśki

Sen II

Spotkanie z najlepszą przyjaciółką. Ubrana jest na czerwono. Ma staranny makijaż. Stoi w industrialnej przestrzeni i opowiada mi o nowym chłopaku. Gubię się, czy to kolejny, czy poprzedni. Dopytuję o to, sama nie wiem, czy nie bez złośliwości. Jest piękna, ale zupełnie mnie nie rusza. Jakbym widziała po prostu obiekt, a nie osobę. Potem pojawia się jej matka. Bardzo elegancka, wysoka, w butach na obcasach. Nonszalancko udaje, że mnie nie widzi. Jest wyniosła i dominująca. Odchodzą razem wiaduktem. Takim jak w Bielsku przy stacji PKP. Matka najlepszej przyjaciółki w tym ujęciu okazuje się ubrana na biało, a jej czarne włosy sięgają za uda. Przypominają włosy znajomej artystki, Małgorzaty Malwiny Niespodziewanej – jej feministyczny atrybut. Pytam kogoś, kto nagle się pojawia, czy są prawdziwe, czy dopinane. Odpowiada, że dopinane.

Spełnienie zawodowe

Wchodzę do pustej sali konferencyjnej. Od początku czuję grozę ziejącą z czystego parkietu, zbyt dokładnie pomalowanych ścian i dwóch identycznych zegarów wiszących naprzeciw krzesła, które wybieram, by usiąść. Zegary na szczęście pokazują tę samą godzinę. Na tarczach mają wielkie logo szkoły prywatnej, w której właśnie zaczynam pracować. Zaraz pod nimi stoi plastikowa mównica, również z logo. Wygląda jak zabawka. Nie mogę rozróżnić, czy jest tu ustawiona dla żartu jako groteskowy rekwizyt, czy na poważnie. Nikt z niej nie korzysta podczas konferencji. Stawiam się wcześniej przejęta nową funkcją nauczycielki świetlicy. Bardzo się boję tego, że nie będę pasować. A jeszcze bardziej tego, że się w to miejsce wpasuję. Mam do wyboru wiele opcji, gdzie usiąść. Generalnie jest rząd lewy i prawy, a każdy ma wiele szeregów łączonych krzeseł. To połączenie przeraża mnie. Boję się, że jak usiądę pomiędzy ludźmi, to coś zepsuję. Moja obecność spowoduje jakiś problem, zatka się przepływ energii płynący przez łączone krzesła. Będę zbyt dziwna, o innej częstotliwości, wibracji z innego kosmosu. Równie mocno lękam się, że zostanę podpięta do układu ciała pedagogicznego i nagle przebiegnie przeze mnie zbiorowy prąd edukacji.

Wybieram krzesło z boku przy filarze. Filar daje poczucie bezpieczeństwa. Można się oprzeć nie tylko o tył krzesła, ale też o jego chłodną płaszczyznę. To stwarza wrażenie możliwości wyboru i niezależności. Dzięki oparciu z dwóch stron można lekko zmienić kąt siedzenia i wtedy umyka się zbiorowej sytuacji zaaranżowanej tak, żeby wszyscy patrzyli do przodu. Przez to osoby na sali widzą się tylko kątem

oka – i to prowokuje chore fantazje. Zamiast człowieka rzuca się w oczy tylko skrawek niebieskiego tipsa albo dwunastocentymetrowa szpilka z czarnej skóry. Sama takie szpilki włożyłabym jedynie na odebranie literackiej Nagrody Nobla albo własny wernisaż w MoMA. Zastosowana w inny sposób szpilka jawi mi się jedynie jako atrybut do fotograficznego aktu w stylu Diane Arbus. Siedzę i przez jakieś dziesięć minut staram się rozluźnić. W głowie mam masę pomysłów na to, co powinnam teraz robić. Przychodzi mi na myśl wysprzątanie poczty mejlowej, obmacywanie mojego macBooka, żeby wyczyścić do zera foldery na pulpicie albo usunąć wszystkie zakładki w przeglądarce. Zastanawiam się też nad listą zakupów. Brakuje mi witamin organicznych, które próbowałam zastąpić aptecznymi, ale potrzeba zakupienia tych drogich bio jest przemożna. I w ten sposób mój umysł wpada na pole szachownicy. Bach – czarny do przodu: oszczędzamy na pseudonaturalnym shicie, bach: biały – nie oszuka się organizmu, apteczne piguły są chemiczne i złe, mój delikatny organizm od razu wyczuwa ściemę i zamiast je przyswajać, zamienia w odpady toksyczne wychodzące przez pory skóry na twarzy. I tak przesuwam pionki, co niewiele pomaga, bo generalnie jest szach-mat. Potem pojawia mi się w głowie jeszcze kilka szachownic pod innymi hasłami tematycznymi. Następnie otwiera się fantomowy kalendarz. Analizuję go skrupulatnie, po kolei: od początku i od tyłu – w drugą stronę. Dochodzę do końca roku. Przypominam sobie: dermatolog, ginekolog, dentystka, psychiatra, psychoterapeuta, cytologia, USG piersi, usuwanie kamienia, wymiana plomby, wycięcie tłuszczaka, brodawka… Umysł wymyśla kolejne scenariusze, żeby tylko odwieść mnie od świadomej obecności na sali. Wzrok fokusuję na zapomnianym wiadrze z Castoramy, które stoi z boku sali i mnie irytuje.

W końcu wchodzą nauczycielki. Nauczycieli jest tylko kilku. Siadają. Wtedy skręcam się lekko, opieram o filar i przybieram taki kąt siedzenia, żeby móc wszystkich sobie pooglądać. Tak jak ogląda się aktorki w serialach. Frapują mnie charakteryzacje i kostiumy. Bez wątpienia większość osób jest przebrana i nie podołała próbie makijażu. Staram się jednak nie lustrować nikogo w zbyt oczywisty sposób i nie wyglądać na bezczelną. I bez tego mam wrażenie, jakby zawisł nade mną komiksowy dymek z napisem „Inna”. Widzą go wszyscy na sali. Na wprost siedzą pani dyrektor i pan dyrektor. Oboje wyglądają groteskowo. Jak dzieci bawiące się w coś poważnego, w biznes, w firmę albo w szkołę. Staram się nie podkręcać tego wrażenia. Trochę utrudnia mi to zabawny, przerysowany i niby elegancki strój pani dyrektor. To niska, około trzydziestoletnia, bardzo jasna, farbowana blondynka. Siedzi przed pełną salą w dwuczęściowym kostiumie – żakiet i spodnie. Całość granatowa w białą kratę. Do tego baletki we wzór imitujący skórę węża, dopiero co zakupione w Zarze. Wygląda, jakby wypożyczyła kostium do filmu albo performance’u. Kiedy zaczyna mówić, próbuję jej słuchać. Oprócz tego, że ciągle obsesyjnie powtarza „szanowni państwo”, jest bardzo przekonująca. Kupuję jej sposób bycia. Włada świetnie językiem. Jest zgrabną team liderką. Sprawia wrażenie bystrej, dobrze osadzonej, przy tym dobrodusznej i figlarnej, ale też stanowczej. Jej umysł jest maksymalnie zgrany z sytuacją. Mówi świadomie i uważnie, a przy tym od czasu do czasu poważnie marszczy czoło. Zastanawiam się, czy się w niej nie zakochuję. Na pewno jej figura zaczyna mnie uwodzić. Jest niejednoznaczna. Nie mogę sobie poradzić z zaklasyfikowaniem tego, kim jest. Przyciąga mnie. Chcę się zbliżyć, poznać ją, zobaczyć jej zmarszczki mimiczne i źrenice. W pewnym momencie odpływam i zaczynam patrzyć w telefon. Natychmiast się budzę, bo mam wrażenie, że pan dyrektor karci

mnie wzrokiem. Powracam zatem do bacznego obserwowania osób na sali. Staram się nie zwracać uwagi, lecz jak ktoś już mi się przygląda, to uśmiecham się lekko. Ciała zebranych kobiet są wyjątkowo niekanoniczne. Nie mają w sobie zupełnie nic z pań występujących w reklamach. To mi się strasznie podoba. Fascynuje mnie. Większość osób wygląda, jakby się przebrała albo pożyczyła strój. Zastanawiam się, jak by wyglądały w roli rozebranych modelek trzymających te ubrania w dłoniach jako rekwizyty. Fascynuje mnie też to, że nie znam ich głosów ani mimiki twarzy. Każda osoba jest zagadką. Tradycyjnie przyglądam się zmarszczkom i zębom. Jest parę postaci o niesamowitych figurach: bardzo niskie kobiety z wielkimi matczynymi biodrami albo całkiem wyschnięte i długie jak suszone ryby. Są też grube panie umalowane czerwonymi szminkami. Szaleństwo fryzur i świadectwo drastycznych prób dopasowania właściwego koloru podkładu.

W którymś momencie witani są nowo zatrudnieni nauczyciele. To zajmujący fragment konferencji. Na rzutniku pokazują się sfotografowane twarze kobiet, a potem one same wstają, kłaniają się i uśmiechają. Za każdym razem sala bije brawo. To dla mnie nieskończenie fascynujące oglądać te fotografie w zestawieniu z żywymi ciałami. Rozstrzał jest ogromny. Nikt nie jest podobny do siebie ze zdjęcia. Za to wszystkie fotografie przypominają celebrytki z tanich magazynów albo ze strony pudelek.pl. Mają w tym pomagać miny, szminki, fryzury, no i oczywiście gruby retusz. Na końcu pojawia się moja twarz na ekranie. Wzruszam się. Staję się częścią ciała pedagogicznego. Ściągam mięśnie, żeby się nie rozpłakać. Wstaję, próbuję się uśmiechnąć i ukłonić. Kilka osób na mnie zerka, nikt nie patrzy. Siadam i staram się uspokoić. Jestem bardzo onieśmielona. Moja twarz na ekranie wygląda po prostu wspaniale. Jako jedyna sprawiam wrażenie osoby, która jest sobą. To mnie przeraża. Jeżeli tak wyglądam w tym zestawie, to muszę mieć do czynienia ze stadem

zagubionych owiec i skołowanych dusz. Ale szybko się budzę i uświadamiam sobie, że ci ludzie są dużo bardziej poważni niż ja. Wierzą w swoje czarne szpilki, szminki, koki i długie błękitne tipsy. Nie przychodzi im do głowy, że pożyczyli kostium klauna. Siedzę w ciemnogranatowych dżinsach i bladobeżowym swetrze. Możliwie jak najmniej udziwnień. Prosta forma. Niepokojąco wydziera się tylko różowa kropka ze skarpetki, ale ściągam ją do dołu pod cholewkę buta, żeby nie było widać. Mam wrażenie, że spośród wszystkich twarzy na sali moja wygląda najbardziej prawdziwie i normalnie. Nauczycielka świetlicy brzmi jak stan przejściowy. To paradoks. Co to znaczy? Będę uczyć świetlicy? Są nauczyciele polskiego, matematyki i chemii, ale czego się uczy w świetlicy? Podoba mi się ten brak dookreślenia. Czas upływa, lecz się ciągnie. Raz patrzę na jeden zegar, raz na drugi. Zaczyna mi się chcieć sikać. Rozważam wyjście do toalety, jednak nie chcę zwracać na siebie uwagi. Pęcherz mnie ciśnie, krzyżuję nogi. Po półtorej godziny pani dyrektor – blondyna w kracie – chwali się, że udało się skończyć tak wcześnie, i podaje, że całość konferencji trwała godzinę i trzydzieści trzy minuty. Po czym mówi przez kolejne pół godziny. Później kilka nauczycielek zadaje pytania. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że robią to z powodu mentalnej próżni albo depresyjnej pustki. Chcą być ważne i oddać się przykładnemu pełnieniu funkcji pedagożek. Strasznie chce mi się sikać i nie mogę zrozumieć, czy tylko mnie i dlaczego. W końcu finał. Staram się wyjść spokojnie, nie zwracając na siebie uwagi, nie dystansując się ani nie zbliżając do nikogo. Toaleta. Pytam, czy to dla nauczycieli. Ze dwie osoby odpowiadają mi wymijająco, że chyba. Wchodzę. Jest pisuar i nie ma zamków. Prawdopodobnie jestem w miejscu do sikania i srania dla uczniów, ale nie mogę się powstrzymać. Przytrzymuję klamkę od środka i sikam. Ktoś wchodzi i puka. Staram się maksymalnie dźwięcznym, ale

i stanowczym tonem powiedzieć „zajęte”. Słyszę, jak osoba wychodzi. Potem lekka i odświeżona, z opróżnionym pęcherzem, wpadam na szczupłą kobietę, która wygląda, jakby ledwo stała na nogach, ale uporczywie trwa na szpilkach. Jest wciśnięta w żakiet i świeci pomalowanymi powiekami. Mówię „cześć”. Wtedy ona pyta, kim jestem. Niestety się mylę i odpowiadam, że nauczycielką plastyki. Stare nawyki. Poprawiam się. Pyta, jak mam na imię. Mówię, że Ola. Potem pyta o nazwisko. Udaję, że jestem sobą tylko w połowie, i wymawiam jedynie pierwszy człon. Ona zapomina się przedstawić, ale w końcu odpowiada mi „cześć”. Potem idę do pani księgowej. Zaczynam darzyć ją szalenie intensywnym pozytywnym uczuciem. Wygląda jak matki moich chłopaków. Jest dobra, ciepła i wyjaśnia mi świat z wielkim przymrużeniem oka. Psuje ksero, wyrzuca na posadzkę wszystkie moje dokumenty. Przeprasza mnie za to, że „trzaska mną o podłogę”. Staram się dorównać jej poczuciu humoru i odpowiadam, że nie utożsamiam się z tymi papierami w stu procentach. Potem zamiast numeru PESEL wpisuje mój numer telefonu i przeprasza, że postarzyła mnie o dziesięć lat. Nadmiar skserowanych dokumentów przepuszcza przez niszczarkę. Widać od razu, że musi lubić to urządzenie przynajmniej tak mocno jak ja. To takie przyjemne znać maszynkę, która z najpoważniejszych papierów potrafi w mgnieniu oka zrobić konfetti o kształcie spaghetti. Krótkie inkarnacje i dynamiczne zmiany form. To mi się podoba. Fascynuje mnie chaos na biurku księgowej. Wśród sterty śmieci, teczek i papierów leży kartka z bazgrołami. Taki klasyczny typ bazgrołów, które ludzie robią podczas wymagających rozmów telefonicznych, pomiędzy oczekiwaniem na ważne informacje, żeby zabić pustkę. To świetne rysunki. Zwykle przybierają geometryczne formy i są bardzo ekspresyjne. Doskonale nadają się na wystawę. Wisiałyby gęsto upchane na ścianach galeryjnych i okalałyby wizualnym wiankiem

instalację złożoną ze stołów, biurek, lampek i telefonów stacjonarnych. Ich słuchawki leżałyby odłożone na stołach. Jak wystająca na filmach z wanny dłoń samobójcy z podciętymi żyłami w nadgarstku. Dobywałby się z nich jednostajny dźwięk „bip, bip, bip”.

Dieta cud

Tym razem rozpoczęcie roku. Ceremonia przesycona splendorem, na której króluje dwóch panów w garniakach. Obaj mają kwadratowe szczęki, dokładnie takie jak Ridge z *Mody na sukces*. Wyglądają, jakby właśnie wysiedli z samolotu, prosto z USA. Ich stroje nie mają w sobie charakterystycznej dla ciała pedagogicznego groteskowości. To członkowie zarządu, prezes i wiceprezes. Obaj wpakowali się w drogie garnitury – funkiel nówki nieśmigane. Pachną drożyzną i naprawdę są nieźle zrobieni. Mogłabym się nawet nabrać, że to charakteryzacja do serialu o banksterach, wiadomo, amerykańskiej produkcji. Mordy im błyszczą od opalenizny w stylu sycylijskim, klaty mają dobrze wypięte, figury stuprocentowo męskie, nienaganne. Siłka kilka razy w tygodniu jak nic. Przyszli przywitać pierwszoklasistów, których rodzice mają oddać do szkoły. Każde dziecko warte jest worek złota, bo prywatna dwujęzyczna szkoła w Krakowie musi mieć przyzwoite czesne, musi być droga! Na sali jest dużo tatuśków i mamusiek z dziećmi na kolanach. To bez wątpienia w większości team liderzy korpo. Są czarnoskórzy, naprawdę atrakcyjni panowie, Hindusi i przynajmniej pół-Azjaci. W pracy pewnie wszyscy potrafią mówić w pięciu językach naraz i przez dwanaście godzin siedzieć prosto przed ekranem. Teraz na kolanach mają upakowane małe dziewczynki świecące się od kokardek z brokatem, którymi mają upstrzone włosy. Na pierwszy rzut oka dzieci są naprawdę ujmujące, ale kiedy przebywa się na sali dłużej niż kilka minut, wrażenie mija. Małe ciałka uczniów i uczennic zaczynają się kotłować jak w mrowisku. Trochę jak ruchome piaski albo lawina. Można się zapatrzyć jak na filmy przyrodnicze.

Pan z zarządu zaczyna swój *speech*. Wita przede wszystkim dzieci, bo to one są tutaj bez wątpienia najważniejsze. Cały biznes kręci się wokół nich, tego oczywiście nie mówi. Chciałby wiedzieć, kto uważa, że wakacje były za krótkie, a kto chciał już iść do szkoły. Prosi, żeby dzieci zagłosowały. Zapomina powiedzieć, która frakcja ma najpierw podnieść ręce. Ale nikt oprócz mnie wydaje się tego nie zauważać. Wszystkie ręce są w górze i nic z tego nie wynika. O zabranie głosu poproszony jest wiceprezes. Kiedy panowie w garniakach zabawiają klientelę niczym gangsterski duet kabaretowy, na ścianie wyświetlają się z rzutnika ich twarze z angielskimi podpisami pełnionych funkcji: *principal* i *vice-principal*. Cieszę się, że przynajmniej podszkolę sobie język, dzięki przymusowemu uczestnictwu w tej farsie. Kiedy drugi pan – ten niższy rangą i wzrostem – zaczyna mówić, nic nie słychać. Ma głos, który w ogóle nie brzmi. To zjawiskowe. Głos jest tak niski i bezdźwięczny, że nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż znika w próżni razem z jego właścicielem. Jest w tym też jakiś przejmujący akt szczerości. Nic nie słychać, chociaż ktoś mówi. Mówi, ale nie ma nic do powiedzenia, no więc nic nie słychać. Wszystko to kolejny mdły performance, wytracanie życia, strata czasu. Nadaje się jedynie do opisania.

W pokoju nauczycielskim natrafiam na kobietę, która zapytała mnie wcześniej o imię i nazwisko, a potem się nie przedstawiła. To ta, dla której postanowiłam pozostać połową siebie, czyli Olą Młynarczyk. Chociaż to właściwie optymalne rozwiązanie na całą tę robotę. Dziś znów chciała się ze mną zbliżyć. Zmierzyła mnie długim spojrzeniem i z radosnym błyskiem w oku wykrzyknęła: „Świetlica?”. Wtedy usłyszałam, jak wydobywa mi się z ust syk Czarnej Mamby, który po chwili przemienia się w szept: „Aleksandra”. Zupełnie nie podejrzewałam siebie o tak radykalne zachowanie, i to w celu wyprowadzenia koleżanki z błędu. Tym razem

lekko zastygła i chyba zrozumiała, że kolejnym razem może po prostu uznać, iż niewiele różnię się od powietrza.

W momencie podpisywania umowy o pracę pojawiły się myśli samobójcze. Wiedziałam, że do mnie wrócą, i spodziewałam się, że właśnie w związku z pracą, nie przewidziałam jednak, że stanie się to aż tak szybko. Kiedy rozmawiałam z panem dyrektorem, do pokoju wpadła na moment pani dyrektor. Dzisiaj miała na sobie aksamitną rozkloszowaną suknię w kolorze khaki. Mur-beton Zara. Wyglądała w niej trochę jak choinka i gdyby był grudzień, nie miałabym wątpliwości, że ubrała się celowo, żeby zabawić dzieci, poświęcając się niczym ofiara całopalna. Do tego włożyła imponujące czerwone szpilki w odcieniu cynobru. Poruszała się na nich dość śmiało, a szerokimi biodrami huśtała w ten sposób, by klosz sukni płynnie się na niej bujał. Przerwała nam rozmowę na temat wielce istotnych spraw związanych z umową o pracę, która miała być dla mnie upragnioną gratyfikacją – przepustką do świata prawdziwych i dorosłych, a przede wszystkim ubezpieczonych ludzi, którzy są w stanie zapłacić za czynsz i rachunki, nakupić sobie tyle jedzenia, ile im trzeba, oraz opłacić wymianę plomb i usuwanie kamienia w razie czego… No i przede wszystkim mają poczucie, że ten dobrobyt nie skończy się nagle, z dnia na dzień. Dyrektorka wpadła po jakieś papiery i przy okazji z rewelacją w głosie wspomniała o pani woźnej, która schudła dwadzieścia kilo przez wakacje. Miała to być niewinna, relaksacyjna anegdota, ale wyszło inaczej. Zaraz po pani dyrektor do gabinetu, w którym dyskutowałam warunki mojego cyrografu, wtargnęła wysoka kobieta około pięćdziesiątki w miniówie i rajstopach z lycry, które oblepiały jej łydki i uda. Miała na sobie błyszczące czarne szpile i krótką młodzieżową kurtkę ze skaju. Z jej uszu zwisały okrągłe złote i wielkie kolczyki, bardzo stylowe bez wątpienia. Pani miała solidny, ciężki, pełny makijaż i postawione na żel krótkie blond

włosy. Od razu zrozumiałam, że to swojska baba, chyba nazywała się Renia. Swojska w ten sposób, że wyglądała, jakby przyjechała ze wsi koło Żywca zrobić zawrotną karierę w dużym mieście. Jak ja. Dyrektor spojrzał na nią i skulił się za biurkiem. Ona z kolei wyjaśniła mu, żeby siedział sobie spokojnie, bo opowie mu zaraz, jak się chudnie.

– Śniadań nie jem w ogóle, tylko kawa i papierosy. O tak, zakurzyć to sobie muszę. I trzeba kurzyć, bo się od tego nie chce jeść. Potem obiad, wszystko normalnie: kurczak, ziemniaki, co tylko chcę. Ale nie sos, o nie, nie, żadnego sosiku. No i potem o dwudziestej lekka kolacja, papierosek i tak nie ma dwudziestu kilo.

Dyrektor otrząsnął się chyba i podjął próbę uporządkowania sytuacji. Wstał i zaproponował, żeby Renia sobie usiadła. W moim odczuciu miała to być reprymenda. Komunikat ściągający energię w dół, do stóp człowieka, i przez to solidnie uziemiający. Coś takiego było jeszcze niedawno wielkim trendem ezoterycznym. W czasach kiedy chodziłam na liczne spotkania skupione na rozwoju duchowym w rozmaitych spirytualistycznych odmianach, wiele nasłuchałam się o ogromnej sile uziemiania, którą reklamowali wszyscy. Chodzi głównie o to, by sprowadzić osobę do ciała, do przestrzeni prostej i realnej, tu i teraz. To szczególnie polecane nie po to, by wydrzeć człowieka myślom i ideom, ale wręcz odwrotnie, by poprzez solidne zakorzenienie umożliwić mu porządne loty w kosmos. Myślę, że właśnie tej szamańskiej strategii próbował użyć dyrektor. Ale Renia miała swoją wizję. Wyglądała na dobrze ustawioną starą duszę, dla której proste podziały na energię *yin* i *yang* były przeżytkiem. Musiała to już przerobić kilka inkarnacji temu. Nie zauważyła krzesła, które postawił przed nią dyrektor, i kontynuowała opowieść. Nie mogłam się połapać, czy to perwersyjne wystąpienie teatralne, ekstrawagancki performance, czy dobrze zaplanowany akt przemocy

polegający na tym, że Renia chce się odcisnąć swoją obecnością na dyrektorze jak pocztowy stempel na kwitku od poleconego.

Współuczestniczenie w tej sytuacji kompletnie mnie onieśmieliło i nie wiedziałam, jak się zachować. Dyrektor został nagle zdetronizowany, zamieniony w odbiorcę groteskowego, kabaretowego występu, na który do tego wcale nie poszedł. Renia była jak demon ze wschodnich filozofii, myślokształt, agresywny i w ostrych kolorach, dominujący przestrzeń i zawłaszczający sytuację. W czasie trwania jej występu zdążyłam przepatrzyć umowę oraz dwustronicowy aneks z warunkami zatrudnienia. Odetchnęłam z ulgą dzięki informacji, że okres wypowiedzenia wynosi jedynie dwa tygodnie. Dla mnie bardzo ważne jest rozpoznanie drogi ewakuacyjnej, inaczej czuję się zalękniona i mam poczucie, że ludzie i ściany wpychają się w moje wnętrze i zabierają mi osobowość. Jakby długie palce wyciągały z puszki nadzienie kajmakowe, którym jestem, i wkładały je potem prosto do żarłocznych ust umalowanych czerwoną szminką. Renia pokazała nam jeszcze wyświetlacz swojego smartfonu, na którym świeciło się zdjęcie przedzielone na pół. Były tam dwie Renie. Jedna miała dwadzieścia kilo mniej od drugiej. Obie stały na plaży nad Bałtykiem w czerwonym stroju kąpielowym. Obrazek wyglądał, jakby był przygotowany specjalnie jako rekwizyt do skeczu Reni. Na samym końcu wystąpienia Renia rzuciła, że zrozumiała pierwszy raz, iż musi zająć się figurą, kiedy stanęła na wagę w mięsnym, gdzie wcześniej pracowała.

Czułam się bardzo niezręcznie i pogubiłam role. Nie wiedziałam przez chwilę, kto jest kim. Jakby w licealnym teatrze na próbie ktoś pomieszał aktorów i omylnie przydzielił im teksty. Dyrektor wyglądał jak skrzywdzone dziecko. Presja tej sytuacji źle na mnie zadziałała. Uruchomiło się we mnie poczucie odpowiedzialności i pragnienie, by wszystko wróciło do normy. Żebym znowu podpisywała idiotyczną umowę

o pracę i podwładnie, lecz stanowczo zadawała dyrektorowi pytania. Przyszło mi do głowy, że należy iść w półśrodki, więc podzieliłam się życiową mądrością:

– O nie, nie. Lepiej nie palić. W moim odczuciu papierosy są najgorsze i nie wolno do nich wracać, nawet żeby schudnąć.

Dyrektor chyba docenił moje kompetencje miękkie i był już gotowy na metamorfozę, która przywróci go do funkcji. Wypiął lekko brzuch i poinformował mnie, że dwa razy w tygodniu będę z dzieciakami jeździć na basen, żeby pilnować, jak do niego wchodzą i jak z niego wychodzą. Wydało mi się to nie najgorszą robotą, bo w przerwie – kiedy pływają – mogłabym przecież czytać książkę.

Po powrocie do domu rozpłakałam się i długo nie mogłam się uspokoić. W myślach pojawiała mi się Renia, twarze dzieci i wypięty brzuch dyrektora. Zadzwoniłam do Bartiego i wyjąkałam, że nie wiem, kim jestem, i że przez pracę straciłam tożsamość…

Sephora

W poniedziałki wszyscy porządni ludzie mają depresję i to po nich widać. Ci pracujący na normalnych chujowych umowach niewolniczych. Jak po kimś nie widać, to coś z nim nie tak. Wielce szanuję tę uczciwość skrzywionych twarzy zdeformowanych zmarszczkami, szarych i źle odżywionych, o pustym, zawieszonym w próżni wzroku. Z kolei w ofertach pracy trzeba pisać, że szuka się osób uśmiechniętych, niedepresyjnych i z wielkim zapałem. Po prostu takie są trendy. Nie wiem, skąd mieliby się w Polsce brać tacy pracownicy. Może chodzi o grupę schizofreników, których ZUS pozbawił ostatnio renty? Albo tych bez nogi, których też pozbawił? Skakaliby ochoczo na jednej kuśce, żeby w poniedziałek rano zacząć dniówkę. Wyruszaliby już w piątek po południu. Mogliby sobie wyobrazić, że to jak wyjazd za pracą do Niemiec, bo droga zajmuje tyle samo czasu. Zwykli ludzie, ani dobrzy, ani źli, tacy, co rano wstają bez problemu, a wieczorem bez problemu pożerają chipsy i zapijają je piwem przed kolejnymi odcinkami kolejnych seriali z Netfliksa, mają swoje motywacje do pracy. Przeciętny człowiek dzieli życie na dwa obszary: niewolę i niewolę. Pierwsza dokonuje się przez osiem godzin każdego dnia, zwykle od poniedziałku do piątku. Oprócz dwudziestu sześciu dni w roku, kiedy można się opalać za parawanem nad Bałtykiem albo jeść grillowane kiełbasy w ogródku. A tak to trzeba się pocić, biegać, brudzić, odbierać ciągle telefony, mówić, czasem nawet bardzo głośno i to przez wiele godzin bez przerwy, pisać mejle, a przede wszystkim bardzo się stresować. Stres jest ważny. Stresują się wszyscy, a w co drugiej ofercie pracy wymagają ponadprzeciętnej odporności na stres. Należy także pracować pod presją

czasu. Zwykle ludzie dość dobrze funkcjonują w pracy, bo szybko wynajdują sobie osoby, na które w razie czego mogą przelać swoje stresy. To może być żona, teściowa albo listonosz, ale zdecydowanie najlepiej, jak jest to również osoba z pracy, tylko że niższego szczebla. Idealnym rozwiązaniem jest pani sprzątająca albo woźny lub ktoś tym podobny – pracujący za najniższą krajową, z rentą albo niezdolnością do pracy. Wtedy firma płaci za niego mniejsze składki, a poważni pracownicy mogą zrobić z niego kozła ofiarnego, co również bywa pożądane w ramach programu redukcji stresu. Pracownicy bardzo szybko zakładają, że należy im się niewola, i świetnie się w niej czują. To pewnie z powodu transgeneracyjnej traumy. Wszyscy wydają się cieszyć, że w końcu ktoś ich ciśnie, chce za dużo, krzyczy i stresuje. To kojarzy się z rodziną, domem oraz szkołą. Jest swojskie. Poza tym cykliczność jest jedną z najbardziej ewidentnych cech egzystencji. Służenie odtwarzającemu się cyklowi przemocy to zadanie niemalże oczywiste i honorowe. Dwie linijki rymowanki na temat tej posługi powinny być dodane na końcu wierszyka: „Kto Ty jesteś? Polak mały…”.

Po robocie najlepiej jest od razu zacząć wydawać zarobione pieniądze. To jest druga niewola. Zanim jeszcze wyjdzie się z miejsca pracy, na smartfonie zaczynają wygrywać atrakcyjne, proste hymny i wyświetlają się kolorowe obrazy z reklam. To dzieje się przypadkiem, jeśli tylko muśnie się rękawem ekran telefonu. Wszyscy są zadowoleni, bo od razu wiedzą, czego potrzebują, co jest ważne i na zdobycie czego należy poświęcić kolejne godziny nieszczęsnego dnia, które jeszcze pozostały. Wówczas można iść do galerii handlowej, gdzie dobudzi człowieka ostre białe światło. Kobiety mają trochę łatwiej, bo nie muszą błądzić. Od razu wiedzą, że najważniejsze są sklepy Douglas i Sephora. Zapamiętują na wieczność ich lokalizację. Szybko można się tam pozbyć sporej części wypłaty. Rzęsy

słynnych aktorek na reklamowych plakatach kuszą obietnicą perfekcji i natychmiastowej metamorfozy w gwiazdę z ostatniego kinowego hitu – pierwszego z brzegu wyświetlanego w sobotni wieczór w Multikinie. Rzęsy to małe piwo. W drogeriach można przeglądać godzinami asortyment, testować na sobie kolory cieni do oczu i szminek, tonerów, korektorów i różów, a nawet wąchać najdroższe perfumy reklamowane przez porządne aktorki jak Cate Blanchett. Butelki uwodzą kształtami i kolorami. Niektóre projektowane są przez naprawdę niezłych designerów. Są w stanie uwieść nawet najbardziej roztropne laski, które w dupie mają kapitalizm i kanony piękna. I które robią po nocach plakaty na czarne poniedziałki, pięć razy używają plastikowych worków po chlebie z Biedronki i nawet w zimie jeżdżą po mieście na rowerze ze względów ekologicznych. Ale tak jak nie można nic złego powiedzieć o elegancji Catherine Deneuve w kinowych klasykach z lat sześćdziesiątych czy o sylwetce czarnego jaguara porzuconego w centrum Krakowa, tak nie można się czepiać Sì od Armaniego.

Dobrze pamiętam pierwszy raz, kiedy kupiłam sobie prawdziwe, czyli drogie, perfumy. Było to zaraz po tym, jak w Media Markcie nie dostałam zgody na zakup MacBook Air na raty, mimo że pracował tam wówczas mój eksmąż. Co jak co, ale w kwestiach bytowych i w sytuacjach, które odwoływały się do naszych proletariackich korzeni, pozostaliśmy sobie wierni po grób. Miałam odłożone tysiąc złotych i liczyłam na to, że resztę, rozłożoną na raty zero procent, będę mogła spłacać przez kolejny rok. Chyba nawet miałam wówczas jakiś dowód na to, że co miesiąc dostaję na konto kasę. Stałam długo przed panią, której podałam wszystkie istotne informacje na swój temat: dochody, przychody, rachunki, wysokość czynszu, stan cywilny, PESEL, listę członków rodziny i tak dalej. Po tych wyznaniach chwilę czekałam, aż system przeprocesuje informacje. System

odmówił. Po połączeniu z bankiem informacje kręciły się w wirtualu jeszcze moment. Jakby ktoś wprawił w ruch koło fortuny mające zdecydować o tym, czy będę miała kompa. No i miałam pecha. Jak pech, to pech. Było mi oczywiście bardzo przykro i trochę wstyd. Wstyd to uczucie często pojawiające się u mnie, kiedy nie mam na coś dość pieniędzy. Tak mam chyba od dziecka. U innych pewnie jest podobnie. Najbardziej się wstydzę, kiedy jestem przy kasie, już coś kupuję i wtedy nagle okazuje się, że to coś jest dwa razy droższe… Na przykład masło orzechowe, które mam w ręce, okazuje się masłem orzechowym bio i jego cena się podwaja. Wtedy czuję się bardzo zakłopotana. Lękam się, że wszyscy zobaczą moją konsternację. Zwykle nie mam wyjścia i po prostu płacę wtedy dwa razy więcej, a potem czuję się zła, smutna i oszukana. No i mam do siebie pretensje, że nie jestem dość asertywna i nie umiem odmawiać. Generalnie jednak uważam, że powinnam być dla siebie bardziej wyrozumiała. Zrozumieć, że zostałam wzięta z zaskoczenia. Ułaskawić siebie, bo nie chciałam robić kłopotów, zatykać kolejki do kasy i tak dalej… Myślę, że to uczucie zna dużo ludzi. Być może jest to nawet stara jak świat strategia handlowa oparta na czerpaniu finansowych korzyści z nagłego poczucia zakłopotania klientów. Prawdopodobnie ma jakąś angielską nazwę, a jej celem jest wyrównanie strat w dochodach sklepu wywołanych promocją czekolady Milka.

Kiedy nie mogłam sobie kupić na raty komputera, czułam, że nic nie znaczę i nie mam żadnej mocy sprawczej. Ale ciągle miałam odłożone tysiąc złotych jako wkład własny. Wtedy pierwszy raz poszłam do Sephory po perfumy. Nie wymyśliłam tego. To był czysty instynkt, mądrość wyssana wraz z oglądaniem hollywoodzkich filmów i reklam. Jedyne, co może pocieszyć dorosłą kobietę, to jej blask i piękno, na które warto wydać wszystko – wiadomo. W najlepszym scenariuszu bohaterka potem jeszcze

powinna rzucić się z mostu. Ale to był scenariusz z drugiej ręki, punkowy, sytuacyjny, no i nieprzesadzony. Splendor flakoników drogich perfum od razu mnie zahipnotyzował i odciągnął uwagę od bólu związanego z moją nabywczą niemocą jako „konsumentki” firmy Apple. Wąchałam perfumy przez dwie godziny. Najpierw psikałam sobie nadgarstki, a potem już bardziej profesjonalnie, tak jak się to robi – zraszałam nimi papierowe szpatułki. Niestety, bardzo szybko wszystko zaczęło pachnieć tak samo, więc bardziej opierałam się na efektach wizualnych: kolorach i proporcjach butelek, no i nazwach. Z pomocą przyszło mi jakieś kobiece pismo, które musiałam niedawno oglądać. Ni stąd, ni zowąd jego reklamowe stronice rozbłysnęły w pamięci. Mógł to być magazyn „Heroine”, bardzo stylowy, który ktoś podrzucił, kiedy pracowałam w muzeum. To bardzo pomogło, bo szybko przypomniało mi najnowsze trendy. Dzięki temu wybór był dużo prostszy. Musiałam zdecydować między Opium Yves Saint Laurenta a La vie est belle Lancôme. Zajęło to chwilę, ale ostatecznie uznałam, że to, czego najbardziej teraz potrzebuję, to różowa buteleczka z szyjką obwiązaną szarą wstążeczką La vie est belle. Wysypałam z portfela trzy stówy, a pani ekspedientka zaświeciła się nagle jak lampka, do której wrócił prąd. To takie przyjemne czuć ten iskrzący przepływ związany z wydawaniem pieniędzy, kiedy od razu obcy człowiek – sprzedawczyni – pała do ciebie miłością jak najbliższa przyjaciółka. Już masz ochotę szeptać jej do ucha słodkie tajemnice, kiedy podaje ci paragon. Sephora pomogła mi w życiu jeszcze raz. Kiedy się zakochałam, a mój luby okazał się mieć dziewczynę, którą musiał najpierw rzucić, zanim znów miał wrócić do mojej alkowy. Wtedy magicznie przypomniałam sobie o najlepszym na świecie tuszu do rzęs, który polecała mi znajoma: *Better than sex*.

Nowy rozdział

Siedzę sobie, a czas leci. Wprawdzie powoli, bardzo powoli. Zauważam każde ziarenko przesypujące się w klepsydrze, która stoi w środku mojej głowy. Trochę jak w psychiatryku – czas leci i nie leci zarazem, a haloperidol ogłupia na tyle, że się nic z tego nie rozumie. W wypadku świetlicy szkolnej w transie trzymają mnie pieniądze, które zarabiam wraz z każdą upływającą godziną. To minimalna krajowa, ale zbiera się na zakupy w Biedronce i czynsz. Plus ubezpieczenie. Warto dla tego dostać nawet gruby wpierdol. W razie czego można spokojnie zwariować.

Moja matka, kiedy doprowadzałam ją do szału albo po prostu kiedy była doprowadzona do szału – bo tego jako dziecko nigdy nie da się rozróżnić – często powtarzała, że przeze mnie trafi do Kobierzyna. Tak się mówiło chyba na całym południu Polski, gdzie Kobierzyn był największym szpitalem psychiatrycznym. Mama nigdy nie trafiła do Kobierzyna, ale ja za to tak. Nie wiem natomiast, gdzie bym musiała trafić bez ubezpieczenia, lecz chyba z wariatami to jest jednak inaczej i nawet jak ktoś nie płaci składek, to dają go do domu wariatów. Świetlice to miejsca, które są zarówno w szkołach, jak i w psychiatrykach. W szpitalach pacjenci gotują tam paprykę w czajniku elektrycznym, pastują podłogę awokado albo po prostu tańczą do radia RMF FM. A w szkole dzieci znęcają się nad panią od świetlicy. W tym zawodzie rzadko spotyka się mężczyzn. Współczynnik pastwienia się przez dzieci nad dorosłym, jakim charakteryzuje się praca świetliczanki, znacznie lepiej znoszą kobiety. Trenuje je do tego kultura od najmłodszych lat. Jak nie wytrzymują, to mogą na przykład krzyczeć do swoich dzieci, że trafią przez nie do Kobierzyna. Moja mama wprawdzie

nie pracowała w świetlicy, ale była nauczycielką, i to całe życie. Pół życia uczyła rosyjskiego, a drugie pół – gdy Polska się zmieniła – francuskiego.

Dzieci w świetlicy mają fantomowe narzędzia, którymi grupowo zadają tortury. To imadła, piły elektryczne, młoty i młoteczki, piszczałki, gwizdałki, widły i długie zakrzywione igły. Dźgają nimi rytmicznie panie opiekunki, a w przerwach podnoszą rączki do góry i gorliwie nimi machają. Później opowiadają jakieś historie złożone z dwóch zdań, które są w ogóle nieciekawe, i ochoczo skracają dystans – dalej w ramach tortur. Podchodzą do człowieka i zaczynają go niby niechcący dotykać nieprzyjemnymi, galaretowatymi ciałkami małych dziewczynek. Zaglądają w pudełko z obiadem i w ekran telefonu. Jedyny kontakt potrafię nawiązać z dziećmi, które autentycznie i mocno płaczą. Od razu można się nauczyć, że część dzieci płacze jedynie na niby. Po to, żeby przykuć uwagę pani i dzięki temu zintensyfikowanemu kontaktowi móc dalej się nad nią znęcać. Ale są takie dzieci, które płaczą tak, jakby świat miał się zawalić, a ich ciałka drgają w spazmatycznym szlochu. Wrażenie jest takie, jakby miały zaraz eksplodować i rozerwać się od środka na strzępy. Szczególnie częste i w sumie też zupełnie zrozumiałe jest to u dzieci, które nie znają polskiego albo są z mniejszościowych grup etnicznych. Wtedy od razu również chce mi się płakać, bo sytuacja mnie przerasta i wydaje mi się, że takie zachowanie będzie najbardziej uczciwym komunikatem. No i że jak dziecko poczuje, iż nie jest samo wobec traumy, to będzie mu lepiej. Ale to metoda, której oprócz mnie nikt z grona pedagogicznego nie stosuje. Może i racja, bo przecież może być tak jak z wystraszonym przez burzę psem, który cały drży i próbuje się ukryć owinięty w kablach pod biurkiem albo skulony w prysznicu. Wtedy nie wolno go za bardzo głaskać ani w ogóle zwracać na niego uwagi, bo poczuje, że rzeczywiście sytuacja jest kryzysowa i dzieje się coś niebezpiecznego. Lepiej już takiego psa

ignorować. Ale z dziećmi nie wiem, jak jest. W sumie głaskanie ich po głowach i przytulanie jest odruchem dość naturalnym w takiej sytuacji. Wydaje się też, że dzieci jakoś czują nastawienie czy wibracje osób dorosłych. Jednak zdecydowana większość z nich najbardziej lubi zabawę w tortury. Chęć na nią wzrasta wraz z liczebnością grupy.

Kiedy zaczynam nową pracę i z grubsza poznaję środowisko, dość często nie mogę oprzeć się pewnemu wrażeniu… Zaczyna mnie ono prześladować jak koszmar. Jest natarczywe i przesłania rzeczywistość, realność sytuacji i kontakty z ludźmi. W wielu miejscach, gdzie zdarzyło mi się pracować, zwykle na krótko, szybko odkrywałam charakterystyczną prawdę na temat tego, jak się rzeczy mają. Zgodnie z tym objawieniem, osią centralną wszelkich firm, a nawet muzeów i szkół nie jest wcale działanie, któremu rzekomo są przeznaczone, lecz kreowanie sytuacji umożliwiających przepływ gotówki. Szkolne korytarze, wystawki, sale zaopatrzone w kredki i kostki do gry, tablice, rzutniki, telewizory i strony internetowe to atrybuty zespołowego performance'u, który należy odgrywać z uśmiechem na ustach. Czasem jest mi trudno, bo mimo że w wielu miejscach mojej struktury psychicznej jestem porządnie zaburzona – a może właśnie dlatego – to naprawdę lubię wiedzieć, na czym stoję, co jest żartem, a co na serio. Choć wysoko cenię performance jako rodzaj sztuki, nie mogę zajmować się nim płynnie o dowolnych porach i we wszystkich miejscach. Wartość iluzji jest oczywiście bezcenna i zgodnie ze wschodnimi filozofiami wiadomo, że właściwie oprócz tej właśnie niewiele pozostaje. Osobiście wolałabym jednak pozostawić iluzję kuglarzom, a sama skrócić sobie o połowę dzień pracy i zająć się konkretami zamiast mdłymi i ściemnionymi performance'ami polegającymi na puszczaniu niewidocznych baniek mydlanych.

Kiedy przygotowuję performance, taki prawdziwy, liczy się każdy szczegół. I szczerość tego, co chcę przekazać. A także jednorazowość. Tak jakby dana treść mogła wybrzmieć tylko tu i teraz, stać się istotna i może nawet rewolucyjna dzięki zaistnieniu dokładnie tak, jak ją zaprojektuję, i w dokładnie takich warunkach, jakie napotkam. Oczywiście pozostaje przestrzeń tajemnicy, która jest związana z tym, w jakiej relacji ustawi się do siebie projekt i warunki jego wykonania. Energia może płynąć, lecz może też nieprzyjemnie stawać jak ość w gardle. Można się nawet tą ością zakrztusić. Ale to wszystko jest już elementem procesu, który czasem bardzo subtelnie, a czasem z intensywnością tornada dokonuje przemiany i przynosi nowe informacje. Każdy mój performance można uznać za stworzony po nic, jeśli przyjąć standardowy wyznacznik poczucia celu. Bo zwyczajnie wszystkie działania mają sens, jeśli służą utorowaniu przepływu gotówki. To może być mniejszy lub większy strumień finansowy, ale bez tego po prostu nie warto nic robić. A w performance chodzi o idee, jakby miały swoją wartość, swoją cenę. Jakby się ufało, że to także jest kapitał – emocjonalny, duchowy, intelektualny. Prawie nikt już w to nie wierzy. Często nie wierzą w to nawet sami performerzy. Czasem po dniu pracy, tej opartej na chujowej umowie niewolniczej, przed oczami jasno przedstawia mi się struktura rzeczywistości. Polega ona na tym, że rzeczy robi się głównie po to, by płynęły pieniądze, jak prąd w kablach lub jak krew w żyłach. Kiedy sobie to uświadamiam i jestem już w domu po robocie, zawieszam się jak stary komputer. Na przykład biorę prysznic i nagle przykucam. Jakaś nieodparta siła pcha mnie, by skulić się na posadzce, i nie jest to tylko grawitacja. Wzrok zawieszam na drobnych, ciemnoszarych, mokrych kafelkach, którymi wyłożona jest podłoga prysznica mojego wynajętego mieszkania. Dokładnie widzę kremowe fugi rozdzielające małe krateczki płytek, które wyglądają jak zeszyt do matematyki. Na nich

błyszczą krople wody. Ten obraz zatrzymuje się jak stop-klatka lub po prostu jakbym zrobiła zdjęcie i nawet od razu je wydrukowała, i trzymała przed sobą – uparcie. I nie bardzo mogę przejść dalej. Zwykła zwiecha. Brak motywacji, żeby wyleźć z prysznica i się wysuszyć, no bo po co, skoro rzeczywistość jara się przepływem krwiokasy, który mnie ani nie kręci, ani nawet nie interesuje. Jak już wyjdę z prysznica, to czasem uda mi się usiąść w fotelu. Wtedy zagapiam się, wpatruję w ścianę naprzeciw. Jak się z tego wyrwę, to idę sobie zrobić miętę, ale zdarza się, że stwierdzam, że nie ma to sensu, i w najlepszym razie napełniam kubek samym wrzątkiem. Te sytuacyjne momenty utraty motywacji i zamrożenia uwagi – stop-klatki świadomości – znane są mi od wczesnych lat. Chyba zaczęły się, jak byłam nastolatką. Wtedy zwykle nie chciało mi się wychodzić z wanny. Po prostu wylewałam wodę i leżałam długo na dnie, zastanawiając się ewentualnie, czy w ogóle wstanę i kiedy. Czekałam na moment, aż pchnie mnie do działania jakaś wewnętrzna sprężyna, przy czym czasem nie mogłam się doczekać. Wtedy przychodziły mi do głowy filozoficzne refleksje. Takie na zasadzie, że jestem w punkcie zero, mentalnej próżni. Że wszystko może się teraz zdarzyć, ale też wcale nie musi. Że każda decyzja – wyjść albo zostać w wannie – jest dopiero w nieokreślonej przyszłości, która jeszcze się nie wydarzyła, więc nie jest żadną prawdą. Prawda jest natomiast tylko jedna, i jest to właśnie leżenie na dnie. W ten sposób nauczyłam się masturbować. Z powodu braku motywacji do wyjścia z wanny zaczęłam ruszać stopami kurki baterii. Wydaje mi się, że wspominałam wtedy film z Marilyn Monroe, która w ten sposób włożyła palec u nogi w kurek i nie mogła go wyciągnąć. Potem oczywiście mógł ją uratować już tylko mężczyzna. A może była to jakaś zwykła aktorka, której nazwisko nigdzie się nie zapisało na poważnie, wcale nie Marilyn Monroe. Przypadkiem musiałam odkręcić stopą kurek i w ten sposób strumień wody

wylądował mi między nogami, co wyrwało mnie z filozoficznych rozważań i otworzyło w moim życiu nowy rozdział.

Uzdrowienie

Kiedy babcia, ta druga, ta, z którą rzadko się spotykam, mówi do mnie, że się jej podobam, nie traktuję tego jako komplementu. Analizuję, dlaczego mnie ocenia i po co mi to mówi. Co miałoby to w ogóle znaczyć? Po dłuższym namyśle dochodzę do wniosku, że robi to, by uniknąć realnego spotkania ze mną. Kiedy wsadzi mnie w szufladę czarną lub białą, jest jej łatwiej. Wówczas nie traci już energii na uważne bycie ze mną czy wobec mnie. Może zamknąć oczy, nie widzieć mnie, bo ma już etykietę, która ją zadowala. Bycie z ludźmi jest oczywiście wymagające, najczęściej męczące. O wiele łatwiej od razu ustawić ich wobec siebie komunikatem: „Dziś mi się podobasz”. Nie trzeba wówczas z nimi wchodzić w relację, w proces, nie trzeba ich widzieć. Zresztą to wymagałoby nie tylko widzenia innych, ale widzenia samego siebie. Pozwolenia sobie na niejasność, na pytania bez odpowiedzi, na brak przereklamowanej zresztą oczywistości, złudnej wiedzy. Nie robi tego tylko moja babcia oczywiście. Babcia ma jednak stare oko. Jest jego reprezentantką.

Kiedy fryzjerka opowiada mi, podcinając końcówki włosów, że pamięta mój gruby warkocz, gdy byłam dzieckiem, nie ośmielam się jej zaprzeczyć. Prawda jest taka, że nigdy nie nosiłam w dzieciństwie warkocza. Jej opowieść jest prawdopodobna, możliwa. Jest konstruktem, który pozwala budować wiarygodną opowieść o świecie. Sama przecież mówię jej, że wypadają mi włosy. Więc ona szuka pomysłu na to, jak mi życzliwie przytaknąć, zakomunikować, że tak, mam mniej włosów. Nie mogę egzekwować faktów. Lepiej udawać, że biorę wypowiedzi przypadkowych ludzi za prawdy. To protezy wspierające ich rzeczywistości. Często felerne

tak samo jak i ona. Tłumaczę to sobie każdego dnia. Obserwuję u siebie mechanizm natychmiastowej weryfikacji treści pod kątem prawdy. Mój intelekt szuka logicznych punktów, faktów i sprawiedliwości. Powinnam go oszczędzić, utulić, ukoić. Zamiast roztrwaniać na świat półprawdziwych ludzi, zaprosić do zabawy we własne bajki. Ciotka pokazuje mi zdjęcie w telefonie, które wyświetla się jej, kiedy do niej dzwonię. To mój portret. Nie pamiętam, kiedy został zrobiony. Pewnie byłam zaraz po wyjściu ze szpitala, świeżo nafaszerowana haloperidolem. Mam na nim szczęśliwą i jędrną twarz, ale w podejrzany sposób… Psychotropowy… W uśmiechu pokazuję zęby, czego nie robię znów tak często. Jestem trochę bezbronna, trochę figlarna, mam krótkie włosy. Dziwię się na widok tej fotografii i komentuję krótką fryzurę. Ciotka odpowiada, że teraz mam takie same włosy. Moje włosy są jakieś trzydzieści centymetrów dłuższe i upięte w kok. Nic nie rozumiem. Pamiętam, że narzekała na moje włosy, kiedy były krótkie. Gubię się w sensach. Nie mówię nic więcej. Ciotka dodaje, że lubi mój uśmiech na fotografii. Przytakuję, że jest szczery. Ona na to, że nie cierpi, kiedy robię sztuczną minę na zdjęciach i wysuwam dolną szczękę, nie wiadomo po co. Ponoć robię tak prawie zawsze. Znowu nic nie rozumiem. Nie przypominam sobie, żebym coś takiego robiła lub miała na zdjęciach taką minę. Chłopak dołącza się do ciotki i mówi, że też tego nie lubi i wie, o jaką minę jej chodzi. Wykrzywia teatralnie twarz i odtwarza moją mimikę. Czuję, że zostaję sama wobec dwojga ludzi, którzy komentują moje miny, wygląd i zachowanie. Jedna z nich jest najbliższą mi osobą, druga właśnie nakarmiła mnie ciepłym obiadem. Postanawiam zapomnieć o tym, co słyszę. Uznać to za bąka puszczonego przez rzeczywistość, beknięcie kosmosu.

Po chwili wszystko się zmienia. Nikt oprócz mnie nic już nie pamięta z tego, co działo się przed momentem. Inwazja się skończyła. Patrzę na

okno, które przesłania biała firana z gęstym wzorem. Misterne sploty zdobią materiał, przesłaniają widok. Zakrywają brutalną prawdę wiejskiego krajobrazu czy chronią przed nadmiernym światłem? Opowiadam o mojej nowej koleżance, którą lubię. Z którą poczułam bliskość w karykaturalnej sytuacji, jaką jest moja nowa praca „nauczycielki świetlicy”. Wspominam, że ma guza piersi i że miała czerniaka kilka lat temu. Nagle ciotka krzyczy, że musi być toksyczna. Oczywiście trudno nie być toksycznym po przebyciu złośliwego nowotworu. Jego komórki, choć wycięte, pewnie dają jeszcze o sobie znać pamięci ciała. Ale nie o to jej chodzi. Tłumaczy, że moja koleżanka nie powinna w pracy opowiadać o swoich chorobach, bo przez to zabiera mi energię. Jestem zdziwiona. Nie rozumiałam w ten sposób moich rozmów z koleżanką. Czułam raczej, że w końcu spotykam realnego człowieka, którego coś boli i piecze – tak jak mnie prawie zawsze. Czułam też, że wreszcie potwierdza się, iż moje doświadczenie życia jest podobne do cudzego, że są w nim zagubienie, lęk i strach i że jest od tego aż gęsto. Chciałam się zbliżyć do tej dziewczyny. Jej realność przyciągała mnie. Zaprzeczała, że cały świat to jedynie atrapa sensów i uczuć, mdły performance, nuda i ściema. Oczywiście nie mówię o tym ciotce. Co dziwne, do zdania ciotki swoje zdanie dołącza chłopak. Popiera ciotkę. Nagle on też uważa, że moja znajoma jest toksyczna. Zwroty akcji są szybkie, jak na szachownicy podczas zaciekłej gry. Niebezpiecznie ciągle przegrywam, brakuje mi pionków, a figury przeciwników rosną w siłę i królówka ciągle robi mi szach-mat nad głową. Cholerna gra, w którą zostałam wciągnięta, ani mnie nie śmieszy, ani nie interesuje. Próbuję się poddać walkowerem. Nie chcę wyrwać graczom szachownicy i ciskać nią o ścianę. Nie dziś. Dziś można o tym wszystkim po prostu zapomnieć, zawiesić wzrok na wykrochmalonej i wyprasowanej firanie, wsłuchać się,

jak rzeczywistości znowu się sobą odbija, jakby wypiła haustem butelkę oranżady – łapczywa, łasa na cukier i bąbelki.

Mojego siniaka na nosie nie widzi nikt. Ani pani fryzjerka, ani babcia, ani ciotka. Nie wspominając o chłopaku. Ja go widzę i czuję. Nie jest wprawdzie fioletowy i nie rzuca się w oczy jak charakteryzacja filmowa. Jest raczej skromny, malinowy, w postaci plamy rozlewającej się subtelnie od nasady nosa. Na pewno jest jednak widoczny. Cały dzień robię z nim eksperymenty i gimnastykuję się. Unikam patrzenia w oczy, spuszczam powieki, staję profilem do rozmówców. To chyba jednak zupełnie niepotrzebne. W końcu patrzę każdemu w twarz, a potem już nawet zwyczajowo zanurzam się w źrenice. Najpierw robię spojrzenie rozpoznawcze. Czyli szybko pokazuję moją twarz ze sporej odległości i badam, czy osoba, która na mnie patrzy, będzie się wpatrywać w nos, zrobi jakiś tik albo minę unikową lub – odwrotnie – przylepi wzrok badawczo do mojego malinowego garbu nosa. Tak pewnie sama bym zrobiła. Nikt nie zwraca uwagi. Jestem bezpieczna. Może moim sprzymierzeńcem jest firana w oknie, która trochę izoluje i rozprasza światło? Może właśnie to jedna z jej magicznych pramocy? Przydatny i funkcjonalny obiekt domowy, rodzinny – od pokoleń dobrze spełniający swoją funkcję?

Oglądam dom ciotki, zaczynając od kafelków na podłodze. To bardzo niebezpieczna podłoga, dla prawdziwych ryzykantów. Teraz wiem dobrze, jak to jest z podłogami. Gdyby mój nos trafił ostatnio, kiedy upadłam, na coś takiego zamiast na przymilne, zakurzone i ufajdane sierścią psa linoleum, prawdopodobnie nie obyłoby się bez chirurga. Po tej podłodze z kafelków dobrze się ślizga w wełnianych skarpetach do płyty Davida Bowiego, ale z upadaniem nie ma żartów. Może nawet miałabym złamaną kość udową? Lepiej o tym za bardzo nie myśleć. Zastanawiam się, na jak

długo zostanie mi nawyk oglądania podłóg w domach, które przyjdzie mi odwiedzać. A może czujniej będę wpatrywać się w kobiece twarze na ulicach i analizować, jak duża i w jaki sposób rozprowadzona jest na nich warstwa podkładu? Chociaż przecież i tak zawsze czujnie patrzę na kobiety. Zagłębiam się w zmarszczki na ich twarzach jak w mapy dalekich krain, do których można by jechać na wakacje życia. Ostatnio modna reklama fluidu True Match koncernu L'Oréal, która często uporczywie i nachalnie wydobywała się z głośników mojego komputera, jawi mi się teraz w nowym świetle. To oczywiście światło czarnego humoru, który oprócz inteligencji i przenikliwości pozostaje moją jedyną artylerią. „Podkład idealnie dostosowuje się do skóry Polek…" W ten sposób rozwiązuje się koan. Nie chodzi tu już o pseudopatriotyczną reklamę, ale o reklamę stworzoną specjalnie z myślą o kraju, który nienawidzi kobiet i uwielbia przemoc domową. Jeśli chodzi o mój nos, to jestem z niego o wiele bardziej zadowolona, od kiedy się potłukł. Opuchlizna wprawdzie sprawiła, że stał się większy, lecz równocześnie jakoś bardziej zaczął pasować do proporcji twarzy. Upodobnił się trochę do nosa Rachel Weisz. Trochę odnowił dzięki temu moją osobowość. Opuchlizna złagodziła ostrą kość, która czasem mnie irytuje. Zadziałała trochę, jakby ktoś mnie ostrzykał botoksem. Po trzech dniach nos nabrał koloru intensywnej żółci. Wyglądałam, jakby usiadł na mnie motyl cytrynek albo jakbym zdecydowała w punkowy, młodzieżowy sposób nałożyć sobie cień do powiek. Poza tym stało się to zdecydowaną dominantą mojej twarzy, więc w końcu mogłam przestać się martwić tym, że jedno oko mam większe od drugiego. Podobny los spotkał mój niepokój związany ze zmarszczką mimiczną po prawej stronie ust. Zostałam uzdrowiona.

Siuśki

Przede mną dziewczynki przebierają się w świecące stroje kąpielowe i nieudacznie nakładają czepki. Jest ich dwa razy więcej niż naprawdę. Mają magiczną zdolność multiplikowania swojej obecności. Ich ciałka szybko się ruszają, są miękkie i różowe. Odwracam oczy, mam mdłości. Jak do mnie podchodzą, czuję tylko nieprzyjemny zapach siuśków. Mdli mnie. Jestem ogłuszona i zdezorientowana od ich pisków.

Naprzeciw stoi młoda dziewczyna o pomarańczowych włosach opadających na twarz. Widzi moją konsternację, nieco przerysowaną, ale bynajmniej nie udawaną. Wspierająco patrzy i mówi, że nie zamieniłaby się na pracę. Mimo że ma w ręku wielką, ciężką gumową tyczkę zakończoną gąbką, specjalnie do wycierania podłogi damskiej przebieralni na basenie, która prawdopodobnie moczy się jak niemowlak i ciągle trzeba machać miotłą, żeby ją osuszać. Wtedy mówię jej, że dziś rzucam robotę, bo jest naprawdę okropna. Odpowiada, że jej druga praca jest świetna. Pytam, co to takiego, licząc na to, że wskaże mi jakiś sensowny trop, jak można się odnaleźć na rynku zatrudnienia. Zapominam na moment, że właśnie oddaję mój projekt doktorski i że całe życie poświęciłam edukacji w zakresie sztuki. Czuję się jak żółtodziób. Łatwo mi to przychodzi w prawie każdej sytuacji. Odpowiada, że jej spoko robota to zbieranie datków do puszki na ulicy. Nie przekonuje mnie tym, ale nie śmiem komentować. Po chwili jednak wyobrażam sobie chodzenie z puszką po Plantach i zaczepianie obleśnych turystów prośbą o dwa złote. Odpowiadam:

– Jak dla mnie to każda praca jest piekłem.

Uśmiecha się, ciągle trzymając w rękach wielką miotłę, potem ją odstawia i pochyla się do kostek. Odchyla nogawki spodni i odsłania pięty oklejone wielkimi plastrami.

– Naprawdę piekielne jest tańczenie w klubie striptiz na obcasach.

Wyznaje i mruga okiem. Zarazem zaczepnie i ucieczkowo.

I już wiem, że jestem u siebie: na wschodzie zachodu, w proletariackim piekle. W kraju, gdzie młode laski, najczęściej studentki, najlepiej zarobić mogą, tańcząc „na butach” lub brandzlując się przed kamerkami dla dziadersów wyposażonych w wielkie SUV-y i małe córeczki, którym trzeba suszyć włosy na basenie.

Nakładam milion czepków, potem zdejmuję, zawijam i rozwijam koki, suszę włosy, cały czas wącham siuśki. Obserwuję biegające nago dziewczynki w przebieralni. Odwracam wzrok, bo mnie brzydzą. W końcu rozumiem, że nic nie wskóram, niczego nie przyspieszę, nie dopilnuję ani nie zmienię. Wyciągam z plecaka pierogi odziedziczone po dziecku, które nie przyszło dziś do szkoły i jego obiad by się zmarnował. Siedzę w śmierdzącej przebieralni, dusznej, pełnej wilgotnego powietrza i wypełnionej jazgotem półnagich, półmokrych dzieci. Zdesperowana, palcami wygrzebuję z plastikowego pudełka pierogi z wiśniami i zjadam. Rzucam odpychające spojrzenia dziewczynkom, żeby tylko się do mnie nie zbliżały. Potem wszystko wiruje. Nie wiem, gdzie właściwie jestem, bo moja desperacja sprawia, że tracę ze sobą kontakt. Wydaje mi się, że powinnam stracić także przytomność, lecz do tego nie dochodzi. Szkoda, tak byłoby dużo łatwiej. Byłaby to jasna sytuacja. Ta jest nieoczywista. Próbuję się odnaleźć, szukam myśli. Są tylko pustka, panika i wycofanie oraz nieprzyjemne i zobowiązujące, odśrodkowe poczucie konstruktu, jakim jest własne ciało. Może zaraz się rozpłaczę. Jednak tego nie robię. I tak już dawno nad sobą nie panuję.

Odzyskuję świadomość i poczucie własnego „ja” w autokarze, który odwozi dzieci z basenu. Pierwszej pomocy udziela mi młody wuefista, opowiadając o swoim planie na życie i karierę. Odczuwam to w ten sposób, jakby kłuł mnie w rękę szpilką, sprawdzając, czy reaguję. Nie wiem, co powinnam mu powiedzieć. Mam na oczach wielkie okulary przeciwsłoneczne o maksymalnym stopniu zaciemnienia. Takie sobie wymarzyłam i kupiłam. Dobrze izolują. W ogóle mu to nie przeszkadza. Z grzeczności czuję, że powinnam je zdjąć, żeby nie miał nieprzyjemnego uczucia, że rozmawia z kukłą. Trochę czuję się jak kukła. Martwię się o niego. Boję się, że przestraszy się i zaleje go wewnętrzny mrok. Ściągam na chwilę okulary. Możliwe jednak, że nie robię tego wcale z troski o mego rozmówcę, ale ponieważ łudzę się, że dzięki temu zobaczy we mnie człowieka. Przestanie pieprzyć od rzeczy, tylko położy mi rękę na czole. Zaknebluje małym dziewczynkom usta i obieca, że wszystko będzie dobrze. Że teraz będziemy jechać autokarem przez kilka godzin, a ja zamknę spokojnie oczy i zasnę. Kiedy się obudzę, okaże się, że wszystko było jedynie sennym koszmarem. Nic z tego się nie wydarza. Za to wuefista opowiada dalej… Dzieli się ze mną wiadomością, że wczoraj obronił dyplom magisterski. Udaje mi się zorientować, że powinnam mu pogratulować. Robię to. Dziękuje mi i kontynuuje opowieść o tym, że teraz musi zdobyć trochę doświadczenia, a potem liczy na to, że będzie pracować w szkole, która znajduje się obok miejsca, gdzie właśnie wprowadził się z dziewczyną. Wygląda jak silny, zwykły, sprytny, miły, niedepresyjny, pełen zapału do pracy młody chłopak, który nie ma pojęcia, co to jest trauma. Ledwo daję radę co jakiś czas kiwnąć głową, żeby mógł odnieść wrażenie współobecności. To chyba wcale niepotrzebne. Jedynie kompensuje moje wewnętrzne poczucie przymusu dopełniania społecznych konwenansów. Wuefista się rozkręca. Przechodzi do tego, że wprowadzili

się do Krakowa, ale że nie jest pewien, czy zostaną tu na zawsze. Robi mi się już całkiem słabo. Uśmiecham się i odpowiadam, że „zawsze” to dość długo. Przypominam sobie scenę z *Gorzkich godów* Polańskiego, w której główna bohaterka grana przez młodą Emmanuelle Seigner pyta swego partnera wspaniałą angielszczyzną z francuskim akcentem, czy nie chce, by rzeczy dobre trwały wiecznie. Ma na myśli ich miłość. Dostaje brutalną odpowiedź. Atmosfera tej sceny jest pełna tragicznego realizmu i egzystencjalnego bólu. Czyli tego, co zwykle, chcąc nie chcąc, przyjmuję za bazę wszelkich doświadczeń. Generalnie, poza tym, że opowieść wuefisty jest mi niepotrzebna, jestem mu wdzięczna. Jego wielka klata, muskuły, gładka, opalona twarz oraz kostium z nowej kolekcji Adidasa obiecują bezproblemowość istnienia. Oczywiście kłamią, ale skutecznie. Jest to w pewien sposób pocieszające. Do tego wuefista potrafi słyszeć i rozumieć, co mówią do niego małe dziewczynki. Umie także odpowiednio reagować. To według mnie wymaga wielkiego talentu, może nawet powołania. Kiedy wysiadamy z autokaru, małe dziewczynki śpiewają na całe gardło: „Misia Asia, Misia Fela, Misia Kasia, konfacela, Misia A, Misia Be, Misia Kasia, konface”, i tak w kółko przez dobre pół godziny. Jest już nawet gorzej niż w psychiatryku. Dziewczynki są jakimś dziwnym stanem przejściowym pomiędzy zwierzętami a ludźmi. Nie mam absolutnie żadnego doświadczenia w komunikacji z nimi. W końcu jedna zalicza wielkiego koziołka i rozbija łokieć na betonie. Stoimy nad nią z panem wuefistą świadomi, że jej siniaki nie przyniosą nam nic dobrego. Na szczęście nagle z ogromnego SUV-a wysuwa się jej matka, tak jak córka ubrana w świecące ciuchy. Zbiera ją z chodnika. To optymalne rozwiązanie. Wuefista wpada na genialny pomysł i mówi bardzo głośno:

– No widzisz, trzeba było się słuchać.

Doceniam jego zmysł polityczny. Cieszę się niezmiernie, że liczba dziewczynek w korowodzie ciągle się zmniejsza. Po drodze do szkoły odbierają je kolejne błyszczące matki. Kiedy dochodzimy do budynku, rzucam się biegiem do gabinetu dyrektora.

Już na mnie czeka. Jeszcze zanim pojechaliśmy na basen, zadzwoniłam z informacją, że nie jestem w stanie pracować na stanowisku nauczycielki świetlicy i że jeśli zrezygnuję, będzie zdecydowanie lepiej dla wszystkich. Teraz spokojnym, stanowczym głosem w zasadzie powtarzam to samo. Dyrektor patrzy na mnie z dziwnym, udawanym spokojem i niewiele mówi. Jakby bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że słowa mają znaczenie, szczególnie na jego stanowisku. Ma zmęczoną, przekrwioną twarz, ale widać w niej niemal szaloną determinację do bycia tym, kim jest, i w tym właśnie miejscu, gdzie jest. Czyli dokładnie wszystko to, czego mi brakuje zawsze, kiedy zaczynam jakąś „zwykłą” pracę. Jest ubrany w drogie, eleganckie ubranie i to jest jego oczywista proteza, która przytwierdza go do funkcji dyrektora mniej więcej w taki sposób, w jaki śledzie przytwierdzają namiot. Z chłodem i dystansem, ale grzecznie odsyła mnie do księgowej, żebym ustaliła z nią resztę spraw związanych z zakończeniem umowy o pracę.

Księgowa wita mnie ciepło, to równa babka, wiedziałam od początku. Jedyna osoba, która przyznała się do tego, że wpisała moje imię i nazwisko w wyszukiwarkę Google i sprawdziła, jaką to niby sztuką się w ogóle zajmuję. A potem nie patrzyła na mnie z przestrachem, ale normalnie. Mimo to obie wiemy, że sprawy nie są przyjemne. Nigdy nie czułam się lepiej. Obietnica wyzwolenia dodaje mi skrzydeł. W tym momencie nie jest w stanie ich podciąć nawet wizja bezdomności czy głodu. Następnego dnia mam wolne. To świetny moment, żeby obciąć włosy, które od dwóch lat konsekwentnie zapuszczam z planem pięcioletnim. Na szczęście fryzjerka

wybiera fryzurę, która jest idealnie ani długa, ani krótka. Tym samym ratuje moje poczucie spójności „ja”. Na dobranoc czytam definicje słów: ambiwalencja, ambitendencja i ambisentencja.

Nowa twarz

Udaje mi się wstać o ósmej. To rewelacja! Otwieram oczy i jestem przytomna. Oczywiście chcę tylko znowu zasnąć. Pragnienie to wypełnia mnie kompletnie, tak że nie ma miejsca już na nic innego. Wiem jednak, że jeśli tylko zamknę oczy, to odpłynę na kolejne dwie godziny kamiennego, kwetiapinowego snu. Ale tym razem wstaję! Ze mną budzi się nadzieja, że zmniejszona dawka kwetaplexu wpłynie na to, iż będę mogła spać osiem godzin, jak normalny człowiek, a nie dziesięć. Oczywiście jest też lęk. Czy te dwie godziny dodane do świadomego życia każdego dnia warte są ryzyka? Czy zmniejszona dawka udźwignie stale zagrożoną spójność „ja” i ochroni przed szturmem psychozy? Wstaję i jestem gotowa do dalszej troskliwej opieki.

Moje życie to w dużej mierze praca opiekuńcza nad samą sobą. Muszę zawozić schizofreniczkę we mnie do lekarza orzecznika ZUS, umawiać ją do psychiatry i psychoterapeuty. Pilnować, żeby zawsze miała siłę tam iść, albo zadzwonić i odwołać wizytę. Muszę podawać jej leki, kontrolować dawki, uspokajać, ale też znajdować dla niej domy, dbać o to, by nie przestraszyła rodziny, miała przyjaciół i nie robiła głupot na Facebooku. Nie mówiąc już o tym, że muszę opłacać wynajem mieszkania i chodzić po zakupy do Biedronki. A ona wolałaby mieć wizje i żyć nimi, bez zbędnego zamieszania, bez bzdurnej codzienności.

Zbieram się na badanie krwi. Włosy wypadają mi garściami. Podejrzewam, że to brak żelaza. Wsiadam na rower i pedałuję. Opór stawiają popsute przerzutki. Rower zarekwirowałam z chłopakiem sprzed mieszkania, gdzie kiedyś wynajmowałam pokój. Podobno należał do

bogatych Holendrów, długo stał niezapięty. Kiedy zarosło go doszczętnie dzikie winogrono, chłopiec podjął decyzję, że bierzemy. Uwielbiam ten rower, bo ma wielki koszyk na cały mój dobytek, z którym włóczę się po mieście. Przerzutki ma zepsute, niestety. Dojeżdżam do przychodni i się złoszczę, że auto zaparkowało na miejscu dla rowerów. Tej zdrowej i uzasadnionej złości nauczył mnie chłopak. Podłapałam, bo reguła jest prosta. Jak ktoś ma wielkie auto, to ma albo dużo pieniędzy, albo małego fiuta, którego chce „odkupić" – tak mówi chłopak, ale trochę na żarty. Poza tym to, że coś dużego i twardego ma prawo zabrać przestrzeń kruchemu i małemu, to polska reguła, którą już dawno zrozumiałam. Zasady są podobne jak w dziecięcej zabawie: kamień, nożyczki, papier. Sprzeciwiam się! Więc parkuję rower tak, że prawie dotyka drzwi samochodu. To dlatego, że auto zaparkowało na miejscu dla rowerów. Wchodzę do przychodni. Młody chłopak strzela mi w łeb laserowym termometrem, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Liczę na to, że nie będzie wielkiej kolejki ani czekania. Przeliczam się. Tylko jedna pani pielęgniarka „pobiera materiał". Jest wielka, naprawdę gruba, bardzo stanowcza i opanowana. Od razu się w niej zakochuję i robię sobie z niej *alter ego*. Jestem po jej stronie. Bo generalnie jest wojna: ona kontra głodni pacjenci czekający na czczo na badanie krwi. Myślę, że gdyby postawiono mnie w jej sytuacji, czyli kazano wkłuwać się w żyły i pobierać krew kolejnym delikwentom bez przerwy, a ich liczba multiplikowałaby się w tak zastraszającym tempie, że wyglądaliby jak lipcowa kolejka po lody na Starowiślnej, to pierwszemu z brzegu wbiłabym igłę tak głęboko, że nikt by jej już nie wyciągnął. W kolejce oczywiście nie brakuje idioty. To facet z brzuchem, w średnim wieku. Ciągle mówi coś o kobietach, ale nie wiadomo, co dokładnie. Jakby chanellingował wszystkie możliwe mizoginiczne i seksistowskie treści, a grupa pań w różnym wieku siedząca wokół stanowiła najlepszy

odgromnik. Staram się w to nie wchodzić. Martwię się kolejką i tym, że nie mam ze sobą książki. Muszę patrzeć w podłogę i zawieszać się. Zostaję energetycznie podpięta do mentalu pacjentów NFZ z najróżniejszych szuflad. Wiem, że to bardzo mi szkodzi. Mam też świadomość, że okradanie ludzi z czasu w tak prostacki sposób jest znaną i lubianą strategią polskiej służby zdrowia. W końcu typ od gadania o tym, jakie są i nie są kobiety, zmienia temat, robi wokół siebie teatrzyk i mówi:

– A jak wejdę, to zemdleję i zablokuję wam kolejkę.

Naprawdę nie chcę, żeby się przedłużało, więc proponuję:

– Może wcześniej pan zemdleje?

Mówię to szybciej, niż zdążę pomyśleć. Dziwię się dopiero po fakcie. Facet natychmiast się uruchamia i pyta błyskotliwie jak na osobę, której wrażenie sprawia:

– Chce pani usta-usta reanimować?

Uświadamiam sobie, że przecież nie trzeba mi grandy, że od początku nad tym pracuję, więc szkoda byłoby jednym nieprzemyślanym zdaniem stracić osiągnięcia dwóch godzin. Szybko przytakuję, że tak, o to mi właśnie chodziło.

W końcu wszystko się udaje, ale to tylko dzięki niesamowitej sile skupienia pani pielęgniarki. Myślę o niej jak o mistrzyni zen. Bo biorąc pod uwagę realia, wszyscy, którzy od niej wychodzą, powinni sikać krwią z przedramienia i bryzgać w twarze osób w kolejce.

Odjeżdżam. Właściciel auta, które zawłaszczyło miejsca parkingowe dla rowerzystów, nie pojawił się. Cud, nie ma draki. Mogę wracać na śniadanie. Przypominam sobie, że miałam doceniać miłe momenty. Ostatnio udało mi się, dzięki takim prostym sytuacjom, doświadczać poczucia spokoju i wdzięczności wobec losu. A to cenne! I nieczęste

u mnie. Po drodze rozmyślam trochę o facecie w kolejce i przypominam sobie słowa piosenki Amyl and the Sniffers *Security*:

I am not looking for trouble,
I am looking for love. (…)
Will you let me in your hard heart?.

Dochodzę do wniosku, że mówiąc to, co mówił, w ogóle nic nie chciał powiedzieć ani nie miał niczego na myśli. Był jak radio nadające na falach powszednich. Transmitował poziom zbiorowej świadomości. Chciał być widoczny, potrzebował uwagi. Nic więcej. Mam nadzieję, że w przyszłości uda mi się od razu patrzeć na sytuacje z takiej perspektywy i nie angażować się emocjonalnie.

W pracy już ostatnie dni. Kiedy daję wypowiedzenie i potem dogorywam ostatki, zawsze wzrasta we mnie poczucie mocy i sprawczości. Nikt nie może dłużej niczego ode mnie chcieć, dopóki nie przyjdzie mi tego uprzejmie wytłumaczyć. Jestem zwolniona, ale i zwolniona z udawania, że mi zależy. I tak zwykle dostaję takie prace, jakich nikt nie chce, jak na przykład robota w świetlicy szkolnej. Problemów jest tam tyle, że w ogóle nie warto myśleć, jak je rozwiązać. To z góry skazane na porażkę. W każdym razie jest super. Czuję się znowu sobą, jestem fajna, czytam książkę, czekając na jasne oddelegowanie do obowiązków. Nie tracę czasu na dbanie o nastrój innych pracowników. Nie martwię się syzyfową pracą pani sprzątaczki. Pozwalam jej rozpaczliwie się krzątać i kląć. A sobie spokojnie patrzyć, jak to robi, a potem odstawia miotłę i przeczesuje włosy zadowolona z siebie. Kiedy oglądałam to na samym początku, myślałam, że muszę jej pomóc albo przynajmniej przyznać, że ma ciężką i wymagającą robotę. A teraz rozumiem, że wcale nie. Chodziło o to, żeby nie wchodzić jej w drogę, nie zmieniać jej trybu. Podobnie jak facetowi w kolejce. Ludzie

są, jacy są. Bardzo często nie są sobą, ale raczej jakąś odtwarzającą się funkcją, która bardzo rzadko dopuszcza do głosu metaperspektywę i autorefleksję, a może nawet w ogóle. U mnie jest odwrotnie. Dlatego czasem ludzi nie rozumiem. Chociaż jest więcej powodów.

Moja uprzywilejowana pozycja w pracy, „osoby, która nie zostaje z nami" – jak mówią koleżanki nauczycielki – daje mi nowe prawa. Oprócz czytania książek w wolnych momentach i robienia zapisków obdarzyłam się także przywilejem pozbycia się stanika. Przez pierwsze dni w szkole pilnowałam, żeby go wkładać. Ale i tak sportowy. Inne są dla mnie groteskowe i niewygodne. No, chyba że na seksy. Wtedy warto nawet włożyć taki, który składa się z samych pasków, bez materiału i piersi są gołe. A tak zwyczajnie to sportowy jest dla mnie szczytem przyzwoitości. Teraz kiedy już i tak jestem odmieńczynią i osobą niedbającą o pracę, mogę nosić swetry, spod których przebijają mi sutki. I to z premedytacją. Dogorywam w świetlicy, zabawiając starsze dzieci. Od młodszych zostałam łaskawie odsunięta po wypowiedzeniu umowy. Przydzielono mi starszaki czekające na rodziców, którzy mają po nie wpaść i odebrać je ze szkoły. Opowiadają mi o tym, jakie mają wielkie mieszkania.

– A proszę pani, my mamy mieszkanie wielkości trzech, bo mamy połączone ze sobą w bloku i nasz pokój jest wielki jak ta sala.

Sala, w której siedzimy, jest rzeczywiście olbrzymia. Opowieści dzieci wzbudzają we mnie obrzydzenie klasowe. Z dezaprobatą myślę o ich rodzicach posiadających krakowskie nieruchomości i wielkie SUV-y, pod które czasem wpadam na moim zaanektowanym rowerze.

Do tego dzieci bywają niemiłe i głupie. To połączenie, którego nie mogę im darować. Jedno albo drugie! To jeszcze jestem w stanie znieść. Rozmawiamy z Krzysiem z klasy piątej o tym, co lubi, a czego nie lubi i co będzie robił na świetlicy ze mną. Wszystko dlatego, że mnie nie słucha

i ignoruje. Należy do dzieci, które nie mają żadnej z moich ulubionych cech. Kiedy pyta, co ja lubię, po prostu odpowiadam trzeźwo, że nie jesteśmy odpowiednimi partnerami do tej rozmowy.

Z traumatycznych momentów w pracy zapamiętam jeszcze dwuosobową wizytę w kiblu, którą odbyłam wraz z poważną panią nauczycielką. Obserwowałam ją dłuższą chwilę, jak przechadzała się po korytarzu z telefonem. Jej strój przyciągnął moje oko. Na swoich majestatycznych, zawłaszczających lekko przestrzeń, ale przyjemnych kształtach miała rozpostarte różowe spodnie z paskiem i szalik w tym samym kolorze. Róż w stronę fuksji. Świetnie nadający się do strategii artystycznego przechwycenia, którą świadomie stosuje Iwona Demko, nigdzie indziej. Pani nauczycielka miała w sobie cały belfrowski majestat: zły gust, powagę i stanowczość. Wyglądała jak bohaterka jakiegoś literackiego klasyka ze szkolnych lektur. Pech chciał, że w tym samym czasie wpadłyśmy do łazienki z dwoma ubikacjami. Żadna z nas nie chciała z automatu ustąpić drugiej pierwszeństwa, zająć się szminką czy myciem rąk, a potem wyjść i dać drugiej przestrzeń. Zamknęłyśmy się w kibelkach obok siebie – naraz. A na dwa zamiast się wysikać, utknęłyśmy. Wydaje mi się, że obie czekałyśmy na kojący dźwięk sikania, ale żadna z nas się go nie doczekała. Po kilku minutach frustrującej i kłopotliwej ciszy towarzyszka niedoli zaczęła coś performować. Szemrała majtami i naciskała spłuczkę, ale i tak wiedziałam, że to liche czary-mary. Sama postanowiłam nie wychodzić z kibla, do kiedy tylko chcę. Takie poczucie mocy dał mi nowy status osoby z wypowiedzeniem umowy o pracę, czekającej, aż okres wypowiedzenia się skończy. Pani nauczycielka w końcu wyszła i umyła ręce. A ja się wysikałam. Warto jednak na przyszłość zapamiętać, by nie wchodzić do kibla „naraz” obok osoby, którą wcześniej mierzyło się ze wzajemnością wzrokiem na korytarzu. Cud, że mi już nie zależało, jednak

gdybym dbała o moją umowę o pracę, to mogłyby być poważne kłopoty. Ze stresu i po to, by ocalić sytuację oraz wypaść na normalną osobę, która oddaje poprawnie mocz, mogłabym na przykład zacząć z przerażeniem pluć do sedesu, żeby tylko wywołać odgłosy imitujące siki wpadające zrelaksowanym strumieniem do wnętrza muszli.

Na fali zmian statusu w pracy staram się także wprowadzić dobre zmiany w domu. Robię sobie ćwiczenia z brudu. Zanim je zaczęłam, postanowiłam oddać chłopakowi wszystko, o co długo walczyłam. Czyli moją czystą, spokojną przestrzeń do tworzenia – własne biurko ustawione w najlepszym kącie mieszkania. Sama przeniosłam się do pokoju połączonego z kuchnią, wiedząc, że ryzykuję załamaniem nerwowym z powodu mentalnego zagubienia w stosie brudnych talerzy. Uznałam jednak, że korzyści płynące z wycofania się z energetycznej przestrzeni korporacji przyniosą nam jako rodzinie zysk. Chłopak pracuje online w domu. Ponieważ teraz moje biurko stoi prawie że w kuchni, robię sobie ćwiczenia z oswajania bałaganu. Staram się czule patrzyć nowym okiem na okruchy i tłuste plamy na stole, obeschnięte przekrojone połówki pomidorów w lodówce, gęsty brud oblepiający zlew oraz wyściółkę z sierści psa na linoleum. Pracuję też nad tym, żeby nie robić obsesyjnych porządków na półce z książkami i w dokumentach. Chcę, żeby domownicy – partner i pies – czuli się wolni, nawet jeśli w ich wolność wpisany jest bajzel. Oczywiście nie robię tego jedynie z czystej dobroci serca i gotowości do poświęceń dla wspólnego dobra. Wierzę, że nowa perspektywa oraz odpuszczenie poczucia kontroli, którą daje mi panowanie nad brudem i nadmierne pilnowanie, żeby kosz na pranie był raczej pusty, przyniosą mi osobisty zysk. W życiu jest pełno chaosu i bałaganu. Możliwe, że ważną umiejętnością jest przechodzenie nad nimi do porządku. Nie poprzez zwalczanie, ale płynięcie z falą. Przecież chyba nie uda nam się

zabrudzić mieszkania do tego stopnia, żebyśmy nie mogli się w nim poruszać albo żeby zalęgły się na nas robaki? Chyba nie. Więc po co się tak przejmować? Poza tym ciągle mam, dzięki mojej legitymacji doktoranckiej, kulturowy przywilej, jakim jest możliwość pracowania w czytelni pracowników naukowych Biblioteki Jagiellońskiej, która znajduje się pięć minut spacerem od domu. Poddanie się. Biała flaga. Zgoda na syf, na brak, na zmarszczki i na odstające pasma włosów. Oto moja nowa twarz.

---

* Nie szukam kłopotów, / szukam miłości. (…) / Czy wpuścisz mnie do swojego twardego serca? (tłum. red.).

Płaszcz w panterkę

Zaraz po tym jak zaczęłam pracować z małymi dziećmi, zachorowałam. Właściwie mówienie o pracy jest tu nie na miejscu. Nie pasuje ze względu zarówno na pozytywne, jak i negatywne aspekty znaczenia tego słowa. Nic dobrego nie mogłam wypracować z tymi maluchami. Grupa trzydziestu siedmio- i ośmiolatków po prostu atakowała i torturowała mnie. Obłapiała za nogi, tułów i ręce. Zawłaszczała przestrzeń i uwagę. Nie była to też praca w sensie pejoratywnym, czyli zajęcie męczące, monotonne, pozbawione sensu. Była to raczej walka o przetrwanie. Ich i moje. Próba stworzenia warunków do w miarę bezpiecznego rozładowywania energii. Bez użycia agresji i zawoalowanej przemocy dzieci nie da się opanować. Albowiem wówczas zwalczają wszystko razem ze mną i sobą nawzajem. Nie bardzo umiem się takimi taktykami posługiwać automatycznie. Nie bardzo też chcę.

Dopadło mnie nieprzyjemne zapalenie: zatok, gardła, uszu i oskrzeli. Ciało zareagowało. Powinno. Lekarz medycyny pracy napisał na formalnym kwitku, że ryzykiem są wirusy od dzieci. Wszystko się zgadzało. Po dwóch tygodniach wyzdrowiałam. W międzyczasie prawie złamałam w domu nos, a na spacerze pogryzł mnie pies. Dlatego trochę się przedłużyło. Wróciłam do pracy i zaraz pierwszego dnia dałam wypowiedzenie. Wyciągnęłam wnioski. To dobrze. Punkt dla mnie. Posłuchałam ciała. Ciało nie chciało. Mądre.

Czas na wypowiedzeniu, czyli dwa tygodnie, upływał spokojniej, bo odsunięto ode mnie bandę małych dzieci. Dano mi starsze i mniej. Mimo to zaczęłam odczuwać ich obecność jako niedogodność w ciele. Po infekcji

jeszcze wracałam do siebie. Ciągle odkrztuszałam, dusiło mnie, gilgało i swędziało w klatce piersiowej. Czasem z braku magnezu drgały mięśnie i robiło mi się słabo. Objawy narastały wraz z obecnością dzieci. Im bliżej mnie podchodziły, tym mocniej czułam odpryski choroby w ciele. A dzieci uwielbiają się zbliżać. Eksperymentują z granicami, podchodząc, zawracając głowę. W tym zakresie nawet pandemia nie przyczyniła się do rewolucji. Nie mają wiele do powiedzenia. Te starsze, z czwartej i piątej klasy, bo pierwszaków pod tym kątem nie analizuję. Pragną uwagi, zawracania głowy pani od świetlicy, ale głównie uwagi! Takie rzeczy to może dać im matka, ewentualnie ciociobabcia. Niestety, czuję się w ich obecności zagrożona, jakby wiercono mi dziurę w brzuchu, dosłownie. Nie chcę powiedzieć, że nie lubię dzieci w ogóle. Owszem, potrafię się wzruszyć, zaciekawić, a nawet chcieć zaprzyjaźnić. Jednak zawsze z konkretnym dzieckiem. Nigdy z grupą. Kiedy jest ich więcej niż jedno, zamieniają się w moich oczach w coś na kształt *Grupy Laokoona*. I ożywają. Biały marmur idzie w pogo. Chaos, nieład, bałagan, galimatias, zamęt. I przede wszystkim wynikające z tego cierpienie: ból głowy, nieprzyjemne rozproszenie uwagi, zmęczenie, słabość, duszności… Możliwe, że brakuje mi zapasu energii, marginesu, gdzie lokowałby się nadmiar empatii i potrzeba troski. Zwyczajnie mam deficyty. Muszę się dużo troszczyć o siebie. I nie chodzi tu o narcyzm czy egocentryzm, ale o zwykłą odpowiedzialność za życie z zaburzeniami, tabletkami i ich skutkami ubocznymi. Inwestuję w to masę troski, czasu, energii, czy tego chcę, czy nie.

Ciekawi mnie kwestia tego, że to zawsze kobiety są paniami przedszkolankami. One też prowadzą najmłodsze klasy i opiekują się maluchami w żłobkach. Dlaczego taka niesprawiedliwość? Dlatego że kobiety są z natury łagodne, delikatne, bardziej się nadają do pracy

wymagającej troski i opieki? Myślę, że nie. Myślę, iż dzieje się tak dlatego, że łatwiej je zaprząc do robót wymagających znoju i poświęcenia. Długo na to pracowała cała kultura. Wplątała w system włosy przedszkolanek. W długi warkocz, może kłos, w który dopleciono także włosy małych dziewczynek zapuszczane na komunie, żeby pasowały do białych sukienek. Mężczyźni w szkole nadają się na dyrektorów, prezesów, nauczycieli historii lub matematyki, ewentualnie wuefistów czy złote rączki. Znikają z przestrzeni sprzątania, uczenia najmłodszych klas, prowadzenia świetlicy czy wydawania obiadów. Podobnie zaskakujące jest to, że nigdy nie spotkałam mężczyzny za ladą w Awiteksie, Buczku ani nawet droższym, bardziej ekskluzywnym Lajkoniku. O to, czy pokroić chleb, zawinąć w papier czy worek foliowy oraz czy można dwa pączki spakować razem, zawsze pyta mnie kobieta. Czy kobiety pasują do chleba?

Kiedy wchodzę ostatni już raz na basen z grupą dzieci, pan wuefista entuzjastycznie wita się z ratownikiem mocnym uściskiem dłoni. Zmieniamy biegun. To powitanie zarezerwowane dla mężczyzn. Uścisk mocny, zdecydowany, poprzedzony zakreśleniem łuku z przedramienia w tym samym momencie przez obu partnerów. Spektakularna scena, szybki ruch, precyzja. Chwalebny przejaw braterstwa. Nigdy nie witają się tak ze sobą kobiety ani kobiety z mężczyznami. I nikogo to nie dziwi, oprócz mnie. Kobiety nie są niewinne. Przyuczono je do szpilek i blichtru, a one wykorzystały swą ludzką naturę, żeby zrobić z tej opresji użytek. Bardzo dobrze zdają sobie sprawę, że dwunastocentymetrowa szpila, która męczy im stopę, brzegami cholewki wbija się w skórę i wrzyna do krwi, ma piorunującą moc. Zdominowana, może dominować. W spektakularnych butach, przewiązana w talii błyszczącym pasem, z makijażem niczym tancerka butoh, rozwianym włosem i szalem w leopardzie cętki ma moc. Skoro sama tyle przecierpiała, teraz ma prawo górować i wzbudzać respekt.

Jej zabiegi pełnią mniej więcej taką funkcję jak stroszenie się kota. Wiadomo, że zwierzę robi to, bo czuje lęk i dyskomfort oraz chce odstraszyć przeciwnika. Na widok tego aktu pies raczej się skuli. Te rozmyślania napadły mnie podczas mycia zębów. Właśnie zanurzałam się mentalnie w pianie z pasty i wymiatającymi ruchami, masującymi dziąsła, objeżdżałam kolejne zęby elektryczną szczoteczką, kiedy objawiła mi się w myślach pani dyrektor. Wyglądała zupełnie tak, jak ją zapamiętałam podczas ostatniego spotkania na szkolnym korytarzu. Włosy opadały luźno i jaśniały modnym bardzo jasnym blondem. Zero odrostów, świetnie wymodelowane. Jej figurę oblekała czarna, aksamitna, obcisła suknia. Kształt rzeźby, harmonię kierunków oraz rozkład ciężarów wspierały eleganckie czółenka na wysokich obcasach. Miała w ręku bat. Ten element dodałam w wyobraźni. Pomyślałam, że szpilek nigdy nie noszą panie w piekarniach. Nie mają też aksamitnych sukien, tylko proste fartuchy, zwykle w kolorze logo piekarni. Właściwie to nie widać ich butów z pozycji osoby kupującej śniadanie, a jednak jestem gotowa założyć się, że noszą kapcie albo co najwyżej crocsy.

Ostatni dzień w pracy. Wyruszyłam na drugim rowerze. Udało się naprawić zepsutą dętkę i mogłam śmiało pedałować przez miasto na wygodnym i szybkim męskim góralu. Na Starowiślnej drogę zajechała mi wielka śmieciarka, a pan kierowca wyszedł z niej na środku jezdni, zaraz przed moim rowerem. Nie mogłam go wyminąć, bo wjechałabym w szyny tramwajowe. Byłam poirytowana. Przynajmniej wpadłam na dobry tekst i wyrzuciłam z siebie prosto w pana:

– Superduper!

Nic nie odpowiedział, zamknął drzwi, a ja odjechałam. Potem myślałam chwilę o tej zbitce wyrazowej, jakby była fragmentem filmowego dialogu. Zastanawiałam się, czy można potraktować to osobiście. Czy mogło to być

wymierzone przeciw kierowcy śmieciarki niczym wyzwisko typu „debil” czy „idiota”? Czy raczej to się rozumie bardziej jako ogólny komentarz w stylu „chujowo na maksa”? Na oficjalne zamanifestowanie złości i irytacji pozwolił mi w dużej mierze strój. Po kilku latach zdecydowałam się w końcu włożyć zjawiskowy płaszcz w panterkę. Dostałam go lata temu w prezencie od Penelopy, kiedy pracowałam w fundacji. Miał polecieć w skrzyni wraz z innymi ubraniami do Kenii jako dar dla osób ze slumsów lub jako materiał do artystycznych projektów prowadzonych tam z lokalną ludnością. Kiedy Penelopa zobaczyła mnie tamtego dnia, od razu zdecydowała, że warto otworzyć skrzynię i dać mi prezent. Oczywiście wówczas nie do końca rozumiałam, czemu tak się stało i jak podejść do tego etycznie, a jednak płaszcz bardzo mi się przydał. W 2019 roku, kiedy kolejny raz oszalałam, właśnie w nim pojechałam z policjantami do psychiatryka. A potem cały czas miałam go obok i po miesiącu, kiedy mogłam już wychodzić na krótkie spacery, wkładałam go z ochotą. Oraz ciemne okulary. I tłumaczyłam w tym stroju pielęgniarkom, że jestem artystką. A one przytakiwały i zapewniały, jak zawsze, że tu są sami artyści.

Po przejechaniu na rowerze Starowiślnej zatrzymały mnie światła przed mostem Piłsudskiego. Moją uwagę przykuł czerwony samochód jadący „na kogucie”. Zdziwiło mnie to, bo nie wyglądał na wóz policyjny. Stary model auta, kanciasty, bez zjawiskowego rozpędu. „Krew” – informował napis na karoserii. Przeszył mnie dreszcz. Tkankę miasta uformowaną w większości z sunących ulicami SUV-ów i anonimowych kierowców ożywiło skojarzenie biologicznej substancji. Fundamentalnej, czerwonej, niewidocznej do momentu, aż nie zrobi sceny. Zawsze przyciągały mnie ślady krwi, które stosunkowo często można spotkać na ulicy. Rozlane plamy, rozbryzgane krople, cieknące strużki, umazane ławki, zakrwawione chusteczki i kompresy z gazy. Krew niczyja. Krew zostawiona. Przelana.

Szczelina stworzenia. Okruch biologiczny. Ślad indywiduum. Ale właściciel zbiegł. Oddał krew miejskiemu krajobrazowi. Swego czasu korciło mnie, żeby te ślady krwi fotografować. Zbierać w ten sposób dowody na nieoczywisty wymiar świata. Przeczuwałam w nich zaświadczenie o paradoksie, jakim jest spotkanie prywatnego z publicznym. Pozornie przedzielone i ustawione po różnych stronach stołu, a jednak ciągle stykające się pod blatem stopami.

W pracy ostatni dzień. Znowu infekcja. Tym razem do przeżycia, choć kaszel uciążliwy, drapanie w gardle, flegma, oczy swędzą. Wszystko oczywiście od oblepienia przez dzieci. Objawy i nieprzyjemne doznania w ciele nasilają się w miejscach zagęszczonych od ludzi. Kaszląc, wymykam się z pokoju nauczycielskiego. W dzisiejszych czasach kaszel jest wstydliwy, a kaszlących należy piętnować. To kolejna drobna pandemiczna zmiana społeczna. Siadam na pufach, na korytarzu, w części szkoły przeznaczonej dla małych dzieci. To już ostatni raz. Pragnę poczuć. Wdycham w rozdrażnione infekcją drogi oddechowe słodki i mdły zapach resztek z obiadu zrzuconych do kubłów na pomyje. Przyglądam się jaskrawym kolorom i brokatowi na ubrankach dzieci. „Świetlica”, której się spodziewałam, okazała się zupełnie czymś innym. Przede wszystkim nie istniała jako miejsce. Bo w szkole nie było dla niej sali. Była abstrakcyjnym pojęciem. Jego znaczenie obejmowało kilkugodzinną opiekę nad zbyt dużą grupą małych dzieci, które na koniec odbierali wracający z pracy w korporacjach, raczej majętni, rodzice. W rzeczywistości manifestowało się to jako dojmujący chaos i krzyk oraz wijące się, jak robaczki w przeciętym na pół prawdziwku, ciałka małych istot. Pełne wirusów, które z radością przechodziły na moje ciało. Świetlica krzyku. Siedzę z Lidzią z czwartej klasy. Nudzimy się. Lidzia je ciasto śliwkowe, które zostało jej ze szkolnego podwieczorku, a ja czytam o byciu mięsem i jego zjadaniu. To

przejmujący i psychopatyczny ostatni rozdział ze *Szczelin istnienia* Brach-Czainy. Decyduję, że porzucę na chwilę Lidzię i lekturę. Przejdę po płaszcz do pokoju nauczycielskiego, żeby potem szybciej zbiec do domu. Ostatni dzień. Gloria – płaszcz w panterkę. Wchodzę do pokoju. Widzę gilotynę do papieru. Myślę o przeczytanym przed chwilą fragmencie opisującym ubój i rozbieranie jagnięcia. Przypominam sobie, że w pokoju socjalnym, z aneksem kuchennym, zostawiłam kubek. Rozważam, czy go potrzebuję. I tak mi się nie podobał. Wygrywa poczucie, że nie chcę nic tracić. Nawet kubka. Bujam się już w płaszczu przez cały pokój nauczycielski na zaplecze. Mam nadzieję, że nikogo nie spotkam. Czuję się głupio, zabierając własny kubek. Jak bandytka. Nie dość, że rzuciła pracę, to jeszcze śmie zabrać swój kubek.

Wchodzę. Przed szafką stoi pani dyrektor w spodniach w kratę. Tych samych, które miała na pierwszej konferencji przed rozpoczęciem roku. Masz ci los. Konstrukcja klamrowa. Rozmawia z inną panią, ale tamta jest dla mnie niewidoczna, bo po wyjściu jej nie pamiętam. Chcę uciec, zrobić unik. Nie ma jak. Przecież nie porwę czajnika ani samej torebki z herbatą. Nie umyję też naczyń. Pozostaje mi otworzyć szafkę obok głowy pani dyrektor i zabrać swój kubek.

Część III
Złożona patologia

Sen III

Połowa moich włosów pokryła się siwizną. Na głowie było widać nieoczywistą linię, która wyznaczała podział na dwie części: pomarańczowo-rudą i błękitno-szarą. Przynajmniej nie miałam już dredów. Pierwszy raz we śnie zniknęły i zamieniły się w elegancki popiel.

Żywy paradoks

Idziemy przez życie z ciałem. Na nim zbieramy siniaki, oparzenia, guzy, ugryzienia psa, bywa, że i ślady przemocy domowej. Ciało kładziemy spać każdego wieczora. A może ono kładzie spać nas? To ważne pytanie, wywrotowe, choć proste. Nie, nie idziemy z ciałem ani w ciele. Idziemy ciałem. Kiedy się człowiek na przykład oparzy, nie wie od razu, czy to poważne, czy wymaga okładania lodem i nakładania maści, czy znośne i wówczas można sobie odpuścić zbędne ceregiele. Podobnie z katarem. Nie od razu wiemy, czy zamieni się w ciężką infekcję i położy nas do łóżka. Ani czy biegunka zaraz minie, czy zniszczy nasz plan dnia. Ciało jest nieprzejrzyste, ciągle się wydarza. Ale przecież nie da się zwyczajnie mieć tego na uwadze, bo wówczas nic nie można by zaplanować. Najrozsądniej byłoby wtedy zdać się na daną chwilę – zawsze – i wczuć w ciało, w oddech. Robią to buddyści. Ich praktyka wydaje się najlepszym i nawet najbardziej logicznym rozwiązaniem, niestety, jest skrajnie nieżyciowa. Kiedy przeziębienie lub choroba się skończy, kaszel mija. Po kilku tygodniach wymazuje się z pamięci. Istnieje jako wariant możliwy, ale niepamiętany. Usunęły go sprawy dnia powszedniego. Zajęły miejsce swoim ciężarem. Kiedy człowiek kaszle, bardzo go to męczy. Potrafi przesłonić cały świat. Nie można spać i ciągle pojawia się lęk, czy to przypadkiem nie COVID albo gruźlica. Doświadcza się kaszlu i duszności, na więcej brakuje przestrzeni. Całą sobą się odkrztusza. Kaszel może pojawić się nagle i niezauważony minąć. Często wracam do refleksji, że w życiu wszystko jest ciągłą przemianą, procesem, cyklem. To właściwie wgląd uświadamiający, że moje sprawy są tylko drobiazgiem w olbrzymiej

całości. Bywa uspokajający. Kiedy go doświadczam, czuję niemal fizycznie, jak zsuwa się ze mnie odpowiedzialność za wiele życiowych niedogodności: za bóle brzucha i wieczny, upiorny brak pieniędzy, który skutkuje chronicznym lękiem i poczuciem winy. Bywa, że uzmysławiam sobie, iż wszystko jest energią, która sama sobą żongluje. Jesteśmy wpisani w ten akt, ale na pewno nie jako osoba żonglująca. Choć zwykle tak to jednak wygląda z naszej perspektywy. Z tym, że to fatamorgana. Przychodzi na pocieszenie myśl, że wokół jest pełno wspierających rzeczy: smaczne jedzenie, ładne ubrania, piękne rośliny, stare i poczciwe mury miasta, wielkie, ciepłe i spokojne przestrzenie czytelni, a także ludzie: dobrzy znajomi, ci jeszcze lepsi przyjaciele oraz nieliczna, lecz kochana, rodzina. Staram się tę myśl przyjąć jako stałą, trzymać z tyłu głowy, ale stamtąd ucieka. Wycieka. Wypływa kropla po kropli, jak benzyna przez otwór nieszczelnego baku w aucie. Zostawia w ten sposób tęczowe plamy na ulicach. Patrzenie na nie jest fascynujące, tak jak patrzenie w kalejdoskop lub przez pryzmat. Można przyjemnie zawiesić oko, na chwilę odpłynąć i się zapomnieć. To kolejna wydzielina świata obok rozbryzganej na ulicach krwi z rozbitego czoła lub nosa przypadkowego przechodnia, który akurat miał pecha. Niestety, doświadczenie ulgi nie trwa długo. Szybko i niezamierzenie, mimowolnie, chyba na przekór, perspektywa się zmienia i jedyne, co czuję, to niewygoda, zatopienie w bezkresnym, nieestetycznym i bolesnym chaosie. W odmęcie, w którym niczego nie można przewidzieć, a większość rzeczy zależy od szczęścia, którego mi jednak zwykle brakuje. Potem znowu myśl na pocieszenie, że to przecież taki burdel, że nic nie może być stałe, nawet mój brak szczęścia do zdrowia czy pieniędzy. Następnie, jak refren w piosence, wraca doświadczenie ulgi. Często mam wtedy poczucie, że wiele rzeczy robiłam źle, nieuważnie, myliłam się lub sterowały mną nieczyste intencje, ale teraz

w końcu to wszystko rozumiem. Planuję wielką przemianę, która przyniesie światu ze mnie pożytek, a mnie pożytek ze świata. Wizualizuję, jak piszę kolejny list motywacyjny w odpowiedzi na ofertę pracy, przy czym tym razem z poziomu serca i harmonii. Niemal doświadczam, jak to przyszłe klepanie listów zamienia się w ćwiczenia literackiego warsztatu oraz wbijanie palików, które jasno i wyraźnie, raz na zawsze, wyznaczają granice tego, kim jestem, co i dla kogo zrobić mogę oraz czego chcę. A potem siadam, piszę te listy i wszystko się znowu zmienia, wywija na lewo, jak zdejmowana z pościeli brudna poszewka. Okazuje się, że to, co robiłam dotychczas, robiłam, jak należy, a świat jest po prostu złośliwy i głupi oraz że mi dokucza. Steruje nim przemożna żądza zniszczenia mnie w bardzo prymitywny sposób. Dokładnie taki, w jaki metalowe zimne kleszcze miażdżą skorupę włoskiego orzecha. Pęka pod naciskiem, jak rozłupana czaszka. Wypada nagi mózg, poskręcany w swej naturalnej formie, bezbronny, pokryty jasnobrązową gładką skórką, smaczną, lekko gorzkawą. Pod spodem jest biały, pyszny i bogaty w mikroelementy orzech. Można się zażerać.

Ciało to punkt styczny nas i świata. Należy do obu tych zbiorów. Jest nasze i życia. Stanowi pomost. Właściwie to most zwodzony, bo nie jest przecież na stałe. Ciało doprasza się o to, by ustalić relację, rozłożyć punkty ciężkości. Pogodzić się z tym, że nigdy nie będziemy mieć go na wyłączność. Wymusza to na swoje brutalne sposoby: choruje, starzeje się, atakuje nagłym bólem zęba, grzybicą pochwy. Zresztą naprawdę nie ma co wyliczać. Repertuar jest przebogaty. Jako archiwistka jestem na pozycji straconej. Ciało zwodzi też na inne sposoby. Kiedy już pogodzimy się z prochem, łudzi nas apetytem, orgazmem oraz olśniewającym odbiciem w lustrze – podstępnie. Jest żywym paradoksem istnienia. Najdoskonalszym przejawem kosmicznej ambiwalencji, do której trzeba

puścić oko, jeśli chce się trwać. A zwykle raczej nie ma wyboru. Przynajmniej alternatywa również nie jest prostym rozwiązaniem. Samobójstwo, paradoksalnie, też samo nie przychodzi.

Od dawna szczególnie fascynuje mnie przemiana. Weźmy na przykład pory roku, które teraz właściwie zostały nam dwie: lato i zima. Wiosnę i jesień wykluczyła złowieszcza zmiana klimatyczna. W związku z tym lekkie płaszcze, które uznaję za możliwie najlepszy element garderoby, wkłada się rzadko albo w ogóle nie ma już do tego okazji. Wiszą w szafie, jak smutne kostiumy do filmu, nie do życia. W każdym razie kiedy jest lato – gorące, nabrzmiałe od wszędobylskich, spektakularnych zielonych liści i jeszcze lepszych kwiatów oraz oślepiające zbyt jasnym słońcem – nikt w nie nie wątpi. To stan zastany, oczywisty. Przenika człowieka na wylot. Pochłania go i w sobie zatapia. Bywa, że dręczy upałem, przypieka skórę i przegrzewa czaszkę. Oczywiście wszyscy sobie zdają sprawę, że lato minie, a jednak są tak nim zachłyśnięci, że wiedza ta jest zbędną informacją w tle. Z kolei ja zwykle próbuję zrozumieć, jak to się stało, że lato wygląda tak prawdziwie, kiedy wiem dobrze, że to tylko element procesu. Że już wiele razy tak wyglądało, a potem prysło, ślad po nim zaginął. Że pod spodem ma inne fazy, że znów nagle zniknie. I takie przekonujące, zjadliwie konkretne, po prostu rozpuści się w niczym, zamieni w zimę. W szary i mroczny listopad, nudny od deszczu i zimny. Wówczas to będzie jedyna realność. Nie wiem, czy jestem w stanie dobrze wytłumaczyć doświadczenie, o które mi chodzi. Jest w nim coś, co nazwałabym uwiedzeniem przez życie. Coś, co sprawia, że mimo świadomości, na czym życie polega, z czego się składa i ile wymaga od nas sił, a nawet straty czasu, zapominamy o tym, by trwać. A to jest możliwe tylko w konkretnym momencie. Jesteśmy czerwoną kropką na wykresie

życia i ciągle przesuwamy się na osi czasu. Tym ruchem rysujemy linię, jednak nie możemy jej dojrzeć, bowiem skupiamy się w punkcie.

Coś podobnego dzieje się z roślinami. Bywa, że opiekujemy się kwiatem doniczkowym. Może to być ogromny grudnik, dieffenbachia lub paczula. Jesteśmy z niego dumni, patrzymy, jakie ma imponujące łodygi i liście, jaki jest zjawiskowy, silny i pełen soków. Dbamy o niego czule. Kwiat jednak może zachorować i wówczas, nawet jeśli nawozimy go wytrwale, podlewamy, zwalczamy szkodniki i przestawiamy do słońca, nie chce współpracować. Jego wewnętrzna dyspozycja zwraca się ku destrukcji, chorobie, uwiądowi. Zdarza się, że nie można tego zatrzymać. A czasem zupełnie odwrotnie, kwiat, który zmarniał zupełnie, wysechł i zgubił liście, pozostawiony sam sobie, nagle powstaje, wyrasta, wypuszcza nowe pędy i nowe liście, sam z siebie, choć już był spisany na straty. Może być i tak, że coś przeoczymy, mimo najlepszych chęci zostaje nam szkielet kwiatu, jest za późno. Ciągle mamy w głowie imponującą formę rośliny w jej sile i najlepszych momentach, ale to już tylko wymiar fantomowy. Teraz roślina zmizerniała, zgubiła cały swój ciężar, właściwie nic z niej już nie ma.

Sama próbuję się dowiedzieć, o co właściwie mi chodzi. Wspomniałam procesy w ciele oraz przemiany roślin. Pasowałoby jeszcze nadmienić choćby o rośnięciu włosów, które mnie samej dostarcza szczególnych przykładów zespolenia z życiem. Włosy rosną ciągle, wszyscy to wiemy i możemy się do tego odnosić na różne sposoby. Zdarza mi się je obciąć za krótko, bo na przykład omamiły mnie zdjęcia krótkowłosych aktorek. Później od razu przegrzebuję internet i zamawiam najpilniej suplementy oraz odżywki na ich porost. Innym razem zapuszczam. Chcę już nigdy nie obcinać. Ale kiedy włosy urosną, drażnią mnie, nie słuchają, no i jak na złość zaczynają wypadać. W takim wypadku jedyne, co może pomóc, to

nożyczki. Najlepiej jednak pamiętam dramatyczne momenty, kiedy uciełam włosy za krótko i zalała mnie dojmująca rozpacz.

Włosy są zarazem procesem rośnięcia i rzeczowym dowodem momentu. Jak można pogodzić, że oba fenomeny są prawdziwe i że się nie wykluczają?

Korzenie

W bibliotekach są oczywiście przede wszystkim książki. Siedzi się nad nimi w czytelniach. Gdy się ma dość, wówczas wędruje się korytarzami po kawę. To zwykle zajmuje trochę czasu i przyjemnie rozprasza uwagę, uprzednio skoncentrowaną na stronach otwartego tomu, na nagim tekście rozkraczonym na biurku. Na korytarzach z kolei jest pełno roślin. Jeśli się je dostrzeże, potrafią poprawić humor. Przypuszczam, że spora część czytających jest tak zaabsorbowana tekstami, iż ich nie dostrzega. Więzi ich pornopapierologia. A rośliny są naprawdę fenomenalne, tak wielkie i dorodne, że głowa mała. W pierwszym odruchu chce się je oczywiście ukraść. Zabrać do domu, bo są tak cudowne. Przed przestępstwem ratuje jednak logika. Wiadomo, że dwumetrowej dieffenbachii z systemem korzeniowym wrośniętym w dwudziestokilową olbrzymią donicę zabrać nigdzie, nawet na spacer, się nie da. W Bibliotece Jagiellońskiej jest tych kwiatów tak dużo i są tak spektakularne, że zapierają dech w piersiach. Właściwie patrząc na nie, można pomyśleć, że gmach biblioteki to tak naprawdę ich dom, do którego zapraszają w gości odwiedzających pod pretekstem pożyczenia im książek. Gustują w inteligentach. Patrzą, co kto wypożycza. Spotkanie światów wypada intrygująco, jak zwykle. Wszyscy wiedzą, że najważniejsze są książki. Z tym że od nadmiaru tekstu można mieć mdłości. Tekst sam w sobie zaczyna się po jakimś czasie męczyć, zdycha, jest nazbyt dookreślony, nieżyciowy, nie ma w czym zapuścić korzeni. Na dobitkę jest paskudnym dowodem na to, jak człowiek lubi się wymądrzać, wierzyć, że ma coś do powiedzenia. Wszystkie teksty przebrzmiały i umarły. W niektórych działach biblioteki, przypuszczam,

leżą już same trupy, których nikt nie czyta. Roślinom to nie przeszkadza. Fikusy wyciągają ramiona w geście leniwego przebudzenia. Robią to tak subtelnie, że absolutnie nikt nic nie widzi. Powoli, tak jak się robi ruchy w *tai chi* lub *qigong*. Niektóre okazy, ustawione zaraz przy recepcji na dole, są tak majestatyczne, że kręci się w głowie. Przyrzekam, że sięgają trzech metrów. Musiały rosnąć tyle, ile wynosi zsumowany okres pracy trzech bibliotekarek. Wiadomo, że w bibliotece nikt nie pracuje na chwilę. Zwykle to etat na całe życie. Możliwe, że rośliny najlepiej się czują z książkami, czytają ze zrozumieniem teatr wypożyczania z metaperspektywy. Może struktura ich tkanek jest jak wzory z układających się linii tekstów i dlatego właśnie rosną tak dorodnie w bliskości lektur.

Swego czasu podniecała mnie teoria pól morfogenetycznych, którą, przyznam, jedynie liznęłam. Zresztą wydaje się, że jest właśnie najbardziej stworzona do lizania, trąci kuglarskim wizjonerstwem. Nie poważa jej zresztą większość uczonych, podobnie jak ustawień Hellingera, których psychoterapeuci najczęściej nie biorą na serio. Nie chcę przez to bynajmniej zdetronizować lizania.

Może na subtelnym poziomie, w jakiś dziwny sposób, rośliny czytają? Rozpościerają się ciałołodygami po gmachach bibliotek, skanują półki z książkami. W tym celu, jeśli trzeba, przenikają przez ściany. Są skarbem instytucji, która sama w sobie jest martwa, zbudowana z grubych murów. Jest też gruboskórna, chłodna, wyniosła, betonowa, twarda jak kamień, nie do ruszenia, niewzruszona i sztywna. Jej trwałość potwierdza czas, jest gwarantem jakości. Większości ludzi wydaje się, że instytucje są dla nich, a tak naprawdę może być odwrotnie. One zasysają sobie kadrę i czerpią z niej soki, rozdają stołki, niczym scenografię ustawiają podia. Instytucje zderzają w sobie tkanki wrażliwe i twarde, jak rośliny *versus* książki, ludzie *versus* mury i zasady, kodeksy, rygory, umowy i regulaminy. Instytucje to

też trochę mogiły, miejsca pamięci. Tyle życia zostawionego za biurkami kolejnych działów, spędzonego na patrzeniu w ekran, rysowaniu bazgrołów podczas rozmów telefonicznych oraz zostawianiu obwódek z kawy od kubka na biurku – ścieranych w popłochu.

Pracowałam tylko w jednej solidnej, wielkiej instytucji. W biurze, które dzieliłam z trzema kobietami, rosło ogromne awokado, na wprost mnie, oddzielone rzędem dwóch biurek. Było dzieckiem jednej z koleżanek wyhodowanym z pestki. W wolnych chwilach przyglądałam mu się, czasem je rysowałam. Aby uczynić naszą pracę bardziej magiczną, koleżanka kierowniczka wprowadziła rytuał porannego czytania dziennych horoskopów z astrologicznej stronki internetowej. Było przy tym dużo uciechy, w której niestety nie mogłam się odnaleźć. Trochę na takiej samej zasadzie, na jakiej ostatnia śmieję się z kawałów. Zawsze i tak udawanym śmiechem, kiedy jestem pewna, że to koniec dowcipu, bo wszyscy już się trzęsą ze śmiechu. Bardzo mnie z tego powodu peszy, gdy ktoś chce mi opowiedzieć kawał, szczególnie gdy widzę jego dobre intencje i pewność, że żart jest szalenie zabawny. Spora ambiwalencja, która jest pierwszą znaną mi zasadą rzeczywistości, towarzyszy mi także w podejściu do spraw metafizycznych. Horoskopy, medytacje, kryształy i kadzidła potrafię jednocześnie lekceważyć i czcić. W biurze instytucji kompletnie nie dawałam im wiary, a rozpoczynanie dnia od horoskopu wydawało mi się dość smutną, groteskową próbą zacieśnienia siostrzanych więzi, które w warunkach instytucjonalnych i tak są niemożliwe do nawiązania. Gdy ktoś opowiada mi o magii kamieni oraz sile pozytywnego myślenia i niepodważalnej mocy podświadomości, wydaje mi się zagubionym Włóczykijem, który dopiero co wyszedł z *Muminków*. Ale kiedy bardzo się boję lub mam poważne kłopoty ze zdrowiem, na przykład kaszel męczy mnie od kilku tygodni albo stawy kolanowe uparcie odmawiają kroku,

wówczas zalegam na wersalce i przepuszczam przez siebie złote bioprądy. Rozpuszczam ciało do samego szkieletu i kiedy już mam tylko kości, na zmianę wsysam złotą energię słońca przez głowę, a potem od stóp przeciągam przez siebie aksamitną, ciemną, zimną falę rzeki. Nauczyła mnie tego pewna terapeutka chirurgii fantomowej. Miała zjawiskowe oczy i charyzmę, nie można było nie brać jej aż nadto serio. Dzięki złotemu szkieletowi nieraz udało mi się przetrwać trudne chwile. Po prostu na zmianę naświetlałam się i chłodziłam. Innym razem upodobałam sobie medytację zwaną skanowaniem, której nauczyła mnie znajoma zajmująca się energetyczną pracą z ciałem, bliską metodzie Feldenkraisa, ale jeszcze bardziej unikatową. Kiedy leżałam w szpitalu zakaźnym z dziwną i rzadką bakterią, która wymusiła na NFZ wpakowanie mnie na tydzień do izolatki, często w ten sposób medytowałam. Izolatka ofiarowana mi przez oddział zakaźny była rarytasem w porównaniu z warunkami znanymi z psychiatryków. Dostałam jednoosobowy pokój z wielką łazienką, w której znajdowała się ogromna wanna. Fakt, był beznadziejnie urządzony i brzydki, ale poza tym czysty i ciepły. Codziennie donoszono mi świeże mydło i wszystko dokładnie szorowano. Centralne miejsce zajmowało tam oczywiście szpitalne łóżko. Udało mi się przemycić wówczas ze sobą aparat fotograficzny i ustawić go na parapecie jak na statywie. Mam na pamiątkę bardzo ładne akty – autoportrety. Zdarza mi się także modlić do Anioła Stróża. Kiedy sytuacja jest wyjątkowo beznadziejna i boję się bardzo, same pchają mi się na usta słowa tej dziecięcej modlitwy. Wszystkie inne udało mi się w miarę zapomnieć. Zresztą co jakiś czas idea Anioła Stróża mnie jednak uwodzi. Czy to nie miłe pomyśleć, że ładny i dobry, choć niewidzialny towarzysz, który ma wobec człowieka wyłącznie przychylne intencje i niezłomną wolę niesienia wsparcia, pojawi się zawsze, gdy tylko go zawołasz? No i że każdy takiego ma – tu panuje

bezwzględna równość. Z całym sceptycyzmem i nawet niesmakiem wobec katolicyzmu ten przejaw religijnej narracji rozczula. Na Seminarium Feministycznym słyszałam ostatnio opowieść o artystce Lisie Bufano, która za młodu tańczyła go-go i chciała powiększyć sobie piersi. Poddała się operacji, podczas której zaraziła się sepsą, na skutek czego straciła cztery kończyny. Zajęła się performowaniem z nogami od stołu – zamiast swoich. Po kilku latach popełniła samobójstwo. Nie mogę zrozumieć, gdzie był wówczas jej Anioł Stróż ani dlaczego ogłuchł tak kompletnie.

Lubię myśleć, że rośliny czują. Idea ta może wydać się lekko magiczna, ale podobno ma naukowe podstawy. Wie o tym chłopak, który uwielbia je hodować. Załatwiło mnie to, gdy go poznałam. Widok, jak chodzi rano w samych majtach z wielką konewką i podlewa jeden za drugim kwiat w pokoju wyglądającym jak dżungla, głęboko mnie poruszył. Próbowałam intelektualnie prześwietlić sytuację. Momentami sądziłam, że chłopak jako osoba zmęczona ciągłymi przeprowadzkami i niestabilnymi relacjami poprzez hodowanie kwiatów symbolicznie zapuszcza korzenie. Sama lubiłam hodować rośliny, choć miałam na to mało energii, bo również ciągle się przeprowadzałam. Dodatkowe dźwiganie donic odpadało. W związku z tym za najlepsze uznałam posiadanie jednej róży. Miałam do niej rękę. A gdy się „zepsuła”, uznawałam, że to w gruncie rzeczy dobrze, iż wzięła na siebie mroczne aspekty naszego wspólnego losu i poświęciła się jako ofiara przebłagalna, żeby swoją śmiercią odkupić mojego pecha, zginąć za mnie. Róże doniczkowe nie są drogie. To bardzo popularne kwiaty, które zwykle jako sztandarowe rośliny upchane są na półce w Biedronce. Matka z kolei najchętniej hodowała kaktusy. Wychodziły jej piękne wilczomlecze, grudniki, ale też takie podobne do opuncji i takie jak kolczaste maczugi Herkulesa. Kiedy byłam na nią zła, myślałam, że tylko do tego się nadaje: do hodowania wielkich kutasów kaktusich.

W domu były też książki. Kilka regałów. W małym mieszkaniu wydawało się, że jest tam cała miejska biblioteka. Uwielbiałam je. Ich obecność koiła. Były piękne. Otwieranie kolejnych stron stanowiło ratunek. Moja ukochana książka nazywała się *Magia ciała*. To coś na kształt albumu, gdzie każdej części ciała przyporządkowane są różnorodne zdjęcia i opisy. Jest tam sporo artystycznych fotografii, w tym kilka ujęć Marilyn Monroe – chyba trzy – w sekcjach *Piersi*, *Biodra* i *Pośladki*. Z ulubioną koleżanką godzinami studiowałyśmy w dzieciństwie rozdział pod tytułem *Genitalia*.

Złożona patologia

– Od czego ona tak kaszle?

– Ale ona kaszle!

– No, czemu ona znowu kaszle?

Na różne sposoby dopytuje i komentuje od kilku dni, po rosyjsku, mama chłopaka. Wyjątkowo wszystko rozumiem, mimo że nie znam tego języka. Złoszczę się, bo zamiast dostać troskliwe wsparcie, na które przecież jako osoba chora zasługuję, czuję, że stanowię problem. Dla mnie samej kaszel i uczucie przyduszenia flegmą, która panoszy się w klatce piersiowej i od trzech tygodni nie chce ustąpić, jest problematyczne. Wiem jednak, że dziwienie się temu, każdego dnia od nowa, niewiele pomaga. Byłam u kilku lekarzy, którzy wykluczali to, co najgorsze, i zapewniali, że to nic wielkiego. Wykluczali chorobę w momencie, gdy po osłuchaniu pleców i klatki niczego niepokojącego nie wykryli. Skrupulatnie notowali obserwacje w kartotece medycznej, uśmiechali się i kazali mi iść do domu. Ewentualnie zalecali nakupienie drogich syropów, które wyklikali na recepcie. Wykupiłam je i zażyłam wszystkie, dokładnie tak jak mi kazano. Mimo to wciąż czuję się jak naczynie z gorącym krochmalem, który bulgocze z przodu, trochę pod szyją, zaraz nad moimi cyckami. Kaszel głośno wydobywa małe porcje seledynowej mazi na zewnątrz, wtedy wyskakują ze mnie zielone glutki.

W końcu wybrałam się do poważnej uzdrowicielki, lekarki chińskiej medycyny. Od kiedy lata temu wyciągnęła mnie z mocno niepokojącego sztywnienia kolan, darzę ją ogromnym szacunkiem. Zawsze się przy niej trochę spinam. Jest elegancka i surowa, już niemłoda. Jej długie siwe włosy majestatycznie okalają dostojną twarz. Wygląda jak prawdziwa wiedźma –

ta, która wie. Po zbadaniu mi pulsu tuż powyżej nadgarstków zrobiła się jeszcze bardziej poważna niż zwykle. Podczas badania bardzo się bałam, zamykałam oczy i starałam się zaktywizować odmęty podświadomości oraz mądrość ciała do współpracy. Lekarka stanowczo zawyrokowała, że leczenie potrwa, bo zharmonizowanie będzie wymagało czasu. Zdiagnozowała „przyblokowany" pęcherzyk żółciowy. Na samym końcu dodała:

– Jest to złożona patologia.

Jej słowa uznałam za fascynujące ze względu na walory literackie, ale równocześnie się od nich wzdrygnęłam. Dostałam zestaw ziół przygotowany przez lekarkę w iście imponujący sposób. Zanim podała mi pudełeczko z lekarstwami, niczym wytrawny mag, chodziła kilka minut nad stołem z buteleczkami pełnymi różnych ziół, lustrowała je uważnym wzrokiem, wyciągała kolejne i sporządzała mieszankę. Patrzyłam tylko kątem oka, bo nie śmiałam otwarcie przyglądać się jej szamańskim sztuczkom. Byłoby w tym coś ze świętokradztwa. Dostałam drogie, bardzo smaczne korzenne zioła o słodkawym aromacie, od których od razu robiło się spokojnie na duchu. Już podczas picia pierwszej szklanki poczułam, jak składniki mikstury wchodzą głęboko w komórki ciała oraz jak cały organizm przysysa się ustami do kubka, żeby zachłannie wsączyć w siebie zioła, niczym niemowlak mleko matki. Do końca dnia miałam jeszcze lekkie bóle w różnych miejscach, bo nie pamiętałam, gdzie u człowieka mieści się pęcherzyk żółciowy, w którym lekarka wykryła główną patologię. Wieczorem sprawdziłam w internecie. Zaraz po tym ból zlokalizował się w konkretnym miejscu, z prawej strony, tuż pod żebrem.

Pomimo kaszlu i blokady, którą flegma nałożyła na moją klatkę piersiową, starałam się nie odwoływać spotkań ani nie odkładać obowiązków. Jednym z nich była wizyta w ZUS-ie w celu złożenia do sądu

pracy odwołania od decyzji, w której odebrano mi prawo do renty z powodu przewlekłej choroby psychicznej. Chociaż zwykle wizyty w ZUS-ie lubię średnio, tym razem wyjątkowo mi się podobało. Był luźny, przedświąteczny dzień. Przyszło niedużo petentów, a panie urzędniczki ewidentnie przeczuwały nadejście długiego weekendu. Wyluzowały się bardziej niż zwykle, miały lepiej wyczesane grzywki, a jedna włożyła w uszy nawet złote kolczyki – dokładnie takie, jakie zwyczajowo dostają komunijne dziewczynki. W przeciwieństwie do mnie nie sprzedała swojej pary w lombardzie jako nastolatka, żeby mieć na narkotyki. Ale na pewno nie wyglądała w nich dobrze. Takie kolczyki jednak najbardziej nadają się na handel. Szczególnie upodobałam sobie Lukrecję Bułkę. Panie w ZUS-ie mają przy okienkach małe plastikowe stojaczki, w które włożone są karteczki z ich imieniem i nazwiskiem. Można się nimi zachwycać – wcale nie anonimowo. Coś podobnego, ale z samego papieru, stawiają sobie na ławeczkach pierwszaki podczas inicjującego tygodnia w szkole, żeby ciocia od edukacji wczesnoszkolnej się nie pogubiła w imionach słoneczek. Lukrecja „ZUS” Bułka miała równą czarną grzywkę uciętą od linijki dokładnie na wysokości brwi, bardzo gęstą, która ostro oddzielała się od reszty włosów. Te niczym mięsiste uszy wyżła opadały na okrągłe różowe policzki i spływały jeszcze niżej, do linii brody. Chwilę czekałam przed okienkiem innej urzędniczki – bardzo pięknej, o długich, gęstych, prostych włosach w kolorze platynowego chłodnego blondu. Świetnie się prezentowała, pandemiczna maska dodawała jej tajemniczości. Miała wspaniałe, smukłe ramiona. Długo oglądałam, jak spod nienagannie odprasowanej koszuli-uniformu przebija jej dobrze dobrany biustonosz typu *medium push-up*. Na szyi, pod wyprasowanym kołnierzykiem, przewiązała jedwabny zielonkawy krawat. Idealnie komponował się kolorem z napisem „ZUS” widniejącym na kieszeni śnieżnobiałej koszuli. Fantazjowałam, że

to zaszyfrowany komunikat dotyczący fetyszy i preferencji seksualnych pięknej urzędniczki. Chciałam podejść bliżej, żeby przyjrzeć się jej dłoniom i oczom, ale niestety mój numerek wyświetlił się przy innym okienku.

– „Ce sto” proszę podejść do stanowiska numer trzynaście – zawyrokował głos robota dbającego o porządek na sali.

Wniosek złożyłam u raczej przeciętnie wyglądającej pani, która władczo, taktykami znanymi tylko urzędniczkom, wymusiła na mnie ukrócenie ewentualnych pytań. Kiedy odeszłam od okienka, moje miejsce zajął młodziutki chłopak z głową wygoloną do połowy. Drugie pół było w różowych odstających włosach uformowanych na kształt główki od grzyba. Z podziwem obserwowałam, jak nie daje się zbić z tropu i uparcie siedzi przy okienku, a na wszystkie suche i chłodne słowa urzędniczki odpowiada, jakby deklamował miłosny poemat – czule, długo i namiętnie, ale też trochę flegmatycznie i naiwnie, maniakalnie, fanatycznie i nieustępliwie. Nie mogłam zrozumieć, czy to przemyślana taktyka, którą świadomie stosuje, by sprawnie załatwić formalności w celu otrzymania renty, czy zbieg okoliczności: zabawna scenka jak w filmie, w którym reżyser groteskowo obsadził role i bawi się dialogami. Ewidentnie zbiło to z tropu urzędniczkę, która zaczęła wszystko tłumaczyć jak mała, grzeczna, trochę wystraszona dziewczynka. Sama w tym czasie kompulsywnie układałam dokumenty w segregatorze. Wiele razy sprawdzałam, czy papiery trafiły do właściwych folijek. Po krótkiej i formalnej rozmowie z urzędniczką nie mogłam uwierzyć, że włożyłam je tam, gdzie trzeba, choć zawsze to przecież robię. Podczas wizyty w ZUS-ie musiałam cały czas ukrywać kaszel, który szczególnie tego nie lubi. Zawsze się wtedy nasila i sprawia jeszcze większe kłopoty. Choroba izoluje. Nawet zwykły kaszel jest nie do zrozumienia dla osoby, która nie kaszle. Trudno liczyć na empatię kogoś, dla kogo to jedynie nieprzyjemne dźwięki. Chora zostaje ze

swoją patologią, która jest niewytłumaczalna i przez to lokuje ją zarówno wśród ludzi, jak i na bezludnej wyspie.

Matki należy ze sobą spotykać, dlatego w programie była wspólna wizyta z chłopakiem i jego mamą u moich rodziców. Kiedy przyjechaliśmy, mojej nie było, bo wybrała się do kościoła. Wróciła po kilku godzinach. Zdążyliśmy już wypić barszcz, który nam zostawiła, i się o niego pokłócić. W relacjach polsko-ukraińskich barszcz to temat kontrowersyjny. Polacy myślą, że robią najlepszy, tak samo jak Ukraińcy, chociaż mają różne przepisy. To wymaga wielu dalszych ustaleń, żeby osiągnąć porozumienie. Potem rzuciłam się na wegański pasztet, który stał na parapecie w kuchni. Wówczas moja matka oznajmiła, że ten wypiek jest niezwykle czasochłonny, a przepis na niego – skomplikowany. Dodała, że pasztetem musi podzielić się z ciotką i babką. Dla nas przygotowane były na drugie danie ruskie pierogi z Biedronki. To te, które jadam zwykle co drugi dzień i są jednym z ulubionych, nieuniknionych elementów mojej rzeczywistości, podobnie jak oddychanie w zimie krakowskim powietrzem siwym od smogu. Postanowiłam lubić zarówno pierogi, jak i smog, aby nie wdawać się w niepotrzebne kłótnie z rzeczywistością.

Matka była spięta i zła, bo nienawidzi gości. Kiedy do domu przyjeżdża rodzina, gdyż nikt inny nie ma wstępu, wówczas oficjalnie dźwiga krzyż. Nie ucieka od tego całkiem, bo wie dobrze, jak oczyszczające jest cierpienie. Słucha o tym dużo w Radiu Maryja. Ale tego krzyża związanego z gośćmi szczególnie nie lubi. Chyba przeraża ją myśl, że ktoś mógłby wspólnie z nią coś ugotować lub umyć garnki i w ten sposób zburzyłby jej kuchenny *ordnung*. W domu wszystko musi być dokładnie tak, jak chce. Nie wolno przestawiać naczyń i szklanek ani nawet zostawiać na stole dodatkowych ciastek. Matka toleruje jedynie czerwone wino. Uważa, że służy jej na trawienie i krew. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby jej

przeszkadzało. Oczywiście nie może go pić za dużo, bo wówczas ma od razu migreny. Kiedy przywozimy wino, choćby było najtańszą butelką wygrzebaną na promocji w Biedronce lub na specjalnej przecenie z samego tyłu półki w Aldi, zawsze po wypiciu pierwszego łyka mówi:

– Ach, jakie pyszne.

Po dwóch lampkach całkiem zmienia jej się humor i wówczas zaczyna śpiewać po francusku piosenki Édith Piaf. Od dziecka wszyscy wmawiali mi, że nie potrafię śpiewać i nie mam słuchu muzycznego, co przez długie lata było moim wielkim zmartwieniem. Pamiętam, że wytłumaczenie mi tego było szczególnie ważne dla kuzynek, z którymi w dzieciństwie się bawiłam. Dlatego teraz nigdy nie wiem, czy matka śpiewa czysto, czy fałszuje. Słyszę, jak rozmawia z psem:

– Olusia ci da twoje jedzenie.

Nie wiem, kim jest Olusia. Ojciec szeptem informuje mnie, żeby nie zużywać za dużo ciepłej wody, a zaraz potem nakazuje mi zgasić światło w przedpokoju. Tym razem jest bez wątpienia święto, bo przy stole ustawił lampę i można coś zobaczyć. Zwyczajowo siedzimy w mroku, bo ojciec, od kiedy pamiętam, obsesyjnie pilnuje, by nie marnować prądu. Zawsze na mnie krzyczał, gdy jako dziecko wychodziłam z pokoju, zostawiając zapalone światło. Czasem nie chciał przestać krzyczeć z tego powodu w ogóle. Ojciec rzadko ze mną rozmawia, kiedy przyjeżdżam, ale zawsze pyta, czy był korek na drodze. Lata temu, gdy przyjeżdżałam sama autobusem, pytał, ile jechało ze mną pasażerów.

Rodzice w ogóle nie zauważyli mojego kaszlu. Mimo że inwazyjnie dudnił i dominował nad źle zsynchronizowaną, dwujęzyczną – polsko-rosyjską – ścieżką dźwiękową. Wielokrotnie opowiadałam o ziołach, które dostałam od lekarki, oraz licznych wizytach u doktorów. Nikt mnie nie słyszał.

Ostatnio znowu rozmawiałam z terapeutą o matce, co od roku wraca w naszych spotkaniach jak refren. Już od dawna wiem, że powinnam rzucić tego terapeutę. Panikuje, kiedy mówię precyzyjnym i starannym językiem. Komentuje wówczas, że nie jesteśmy tu po to, by prowadzić intelektualne rozmowy. Przeraża go, kiedy opowiadam o książkach, które czytałam, i dopytuję, czy je zna. Robię to niewinnie, po to, by dookreślić temat rozmowy, ale on zawsze myśli, że to przeciwko niemu, i nie zna żadnych tytułów. Podoba mu się za to, że potrafię dużo mówić, nawet na okrągło, przez czterdzieści pięć minut i że sama rozwijam kolejne wątki. Wtedy może sobie posiedzieć z nogą założoną na nogę i od czasu do czasu rzucić okiem na zegarek, który wisi naprzeciw niego nad moją głową. Boi się moich ruchów dłońmi, szczególnie kiedy mam pomalowane na czarno paznokcie. Im lepiej jestem ubrana podczas sesji i im pewniejszym głosem mówię, tym on bardziej wbija się w fotel i zatapia w kraciastej marynarce. Często przypomina mi, że muszę zrozumieć, iż jestem zupełnie normalna – ani zjawiskowa, ani do dupy. Mówiłam mu o tym, że piszę o matce rzeczy, które są prawdziwe, lecz przecież wiem, że to nie cały jej obraz. Że znam dobre strony mojej matki. Tylko że one są dla mnie czymś na kształt filmowego trailera lub reklamy jakiegoś produktu. Doświadczam ich zwykle w szczątkowej formie, ale równocześnie przecież nie mogę ich całkiem zanegować.

Przygody z katem

Zaraz przed okresem zdarzają mi się ciężkie godziny wiszenia na krzyżu. Dobę przed krwawieniem ponoć zakręca się w kobiecym ciele jakaś ważna żyła doprowadzająca krew do macicy. Coś takiego słyszałam na wykładzie o menstruacji, który lata temu dał mi wiele do myślenia. Dla mnie te doznania są psychofizyczne. To momenty, kiedy tracę nad sobą kontrolę. Przejmuje mnie kat, który chce wymierzać sprawiedliwość wszystkim skąpiącym mi miłości, uwagi i szacunku. Bardzo często bywam jego pierwszą ofiarą. Z uciętą głową, którą właśnie sama sobie odrąbałam, biegnę, by dorwać resztę drani. Sikam krwią z „kikuta". Czerwone strugi i krople zostają na białych ścianach, pod nogami pojawia się kałuża krwi. Potem siadam bez głowy na swoim miejscu przy stole, gdzie przygotowane są igły, nici i naparstki. To prezent od babki – matki mojej matki, otrzymany jako wyprawka w dorosłość wraz z reklamówką małych, kwaśnych jabłek, które obierać trzeba przez kilka godzin. Oczy zostały w głowie, która leży pod stołem, więc trudno mi przewlec nitkę przez ucho w igle. Jednak próbuję, nie poddaję się, bo inaczej nie przyszyję sobie głowy. Chłopak akurat jest pod wpływem uroku rzuconego przez ciotkę i nie widzi, że mam urżnięty łeb. Kłóci się ze mną i musztruje, że nie potrafię igły nawlec. Zarzuca mi skrajny egoizm, że zajmuję się tylko własną głową, w której usta próbują coś jeszcze mu wytłumaczyć, ale już powoli sztywnieją. Czas nagli. Jeśli zaraz nie zacznę operować, stracę głowę na zawsze. Powoli drętwieją mi też ręce. Liczy się każda chwila. Wówczas przychodzi menstruacja i spuszcza soki podbrzuszem. Dzięki temu w moim ciele wyrównuje się ciśnienie. Krew, która spłynęła

z odciętego łba, dostaje siostrę w postaci broczącej waginy. To powinno osłabić organizm i skutkować szybką śmiercią z powodu wykrwawienia, a jednak nie, dzieje się odwrotnie. Ręce podrywają się, nić przechodzi przez ucho igielne, nasadzam na palec naparstek. Nie mogę podnieść odciętej głowy, żeby nie pogorszyć stanu, i tak już krytycznego, w którym znajduje się mózg. Osuwam się cielskiem na podłogę i staram ułożyć nogi, ręce i kadłub – wszystko, co mi pozostało – tak, by niczym puzzle dopasować urżnięty czerep do reszty ciała. Zaczynam szycie. Cerowanie zajmuje mi zwykle jakieś trzy dni, w tym czasie menstruuję.

Kat żąda krwi. Jeden odcięty łeb, i to własny, nie wykarmił żądzy mordu i sprawiedliwości. Śnią mu się rysunki zrobione z krwi ofiar – drogie japońskie papiery nasączone czerwienią, jak przebrzmiałe podpaski kobiet, które nie miały ich czasu zmienić w odpowiednim momencie. Bo poszły do biura i wciągnęły je mejle. Wszyscy dopraszali się odpowiedzi i podpinania dokumentów. Trzeba było się poświęcić, zacisnąć nogi i wyrzucić do nieświadomości bolesne parcie na pęcherz, a także głód i pragnienie. Naprędce podmienić w ubikacji podpaskę, zwinąć tę zużytą, ale wyjącą jeszcze świeżą krwią, rozstać się z nią bez cienia nostalgii i zostawić w zbiorowej mogile niezapłodnionych jaj, którą stanowią kiblowe małe kosze z Ikei. Na całej kuli ziemskiej tworzą szczelny system – siatkę naczyń żałobnych. Po zabiegu należy umyć ręce i nabrać na nie aromatu luksusowego mydła w płynie, w które zainwestowała instytucja, by pracowniczkom było tu jak w domu i by z większą motywacją odpisywały na mejle.

Kat morderca tropi ofiary poprzez krew. Wszyscy spokrewnieni zasługują na egzekucję w pierwszej kolejności. Matka, ojciec, ciotki, babki i dziadkowie kuszą go najbardziej. Ich zapach przyciąga. Zaraz w drugim rzędzie jest chłopak, który się nieopatrznie zapracował, zapatrzył na mejle

i krwawiącej poskąpił uwagi. Jest mu ona nie po drodze ze swoją ranną waginą. Gdy lata temu kat nie pozwalał mi zasnąć, musiałam zaciągnąć go na ustawienia. Udało się, bo był jakby pijany ze złości. Wsadziłam mu worek na łeb, przez co nic nie widział. Mamrotał tylko wściekły i pluł, ale w tej manii zgubił po drodze topór. Stał się bardzo żałosny. Nikt już nie wierzył, że naprawdę może wymierzać sprawiedliwość, a przede wszystkim, że wie, na czym ona polega.

Wszystko wszystkim wybaczyć

Żeby pisać o własnej matce, trzeba być po menstruacji. Najpierw się wykrwawić, spuścić martwe jajo w kiblu, owinąć w podpaskę i zutylizować. Nie da się tego robić, zanim spłynie. Kiedy jest obumarłe, ale jeszcze tkwi w podbrzuszu i wywiera druzgoczącą presję. Ten stan – obezwładniający – zbyt przypomina bezwzględną władzę, jaką ma matka. Żeby trzeźwo myśleć o matce, szczególnie swojej, trzeba czuć się w sobie akurat. To może zdarzać się rzadko lub nawet w ogóle.

Matka jest jak grzybnia. Absolutnie podstawowa, pierwotna, warunkująca wszystko. Jak atrament wpuszczony do wody. Ciecz nie ma szans utrzymać klarowności nawet po dodaniu maleńkiej kropli. Relacja z matką nie może być jedynie dobra. Matka jest bowiem gwarantką unicestwienia. Przez wydanie na świat kładzie nas śmierci na tacy. Swego czasu uwierzyłam, że z matką trzeba się pogodzić, że bez tego nigdy nie osiągnie się szczęścia ani sukcesu. Oraz że podobnie należy zrobić z babką i wszystkimi przedstawicielkami rodu. Zalecane jest także „branie od linii ojca”. By sięgnąć po utajone skarby strzeżone przez dziadów, dziadków i wszystkich dziadersów, już nieżywych, ale jeszcze energetycznie podrygujących w drzewie genealogicznym, trzeba wszystko wszystkim wybaczyć.

Aby to uczynić, zaciągnęłam się na ustawienia Hellingera. Był to okres, kiedy ciągle chodziłam na jakieś medytacje, kręgi kobiet, nauki wszelkich uważności i świadomej pracy z ciałem. Kręciłam się w środowisku, w którym nie było trudno o takie sprawy. Kobieta, do której jeździłam na ustawienia, miała w domu pełno kamieni szlachetnych, kadzideł, książek

o cudach i port lotniczy UFO. Nazywała się Madzia. Lądowaliśmy u niej w niedzielę. Czasem było nas dużo, czasem mniej, ale raczej wszyscy się zbiegaliśmy, nawet ci z najbardziej odległych planet. Przybysze tam spotykani nie byli sobie ani bliscy, ani obcy, a może właśnie zarazem bliscy i obcy. Czasem nasze harce trwały kilka dobrych godzin, zanim wspólnymi siłami obezwładniliśmy szkodniki podgryzające korzenie naszych drzew genealogicznych splątanych ze sobą głęboko, wiele metrów pod ziemią.

Wykresy z pradziadkami, ich siostrami, synami, córkami i wszystkimi dalekimi wujami rysowałam już od dziecka. Karmiłam się opowieściami o młynie i różnych tajemniczych przygodach pełnych wojennych strzelanek, egzekucji i kradzieży – z pasją przekazywanych mi przez babcię, gdy byłam dzieckiem. Przyjeżdżała do nas, by namiętnie opowiadać przerażające, a zarazem fascynujące historie o dalekich członkach rodziny i ich sąsiadach. Każde dziesięć minut jej opowieści nadawałoby się na scenariusz pierwszorzędnego skandynawskiego kryminału. Podczas mówienia babka przestawiała wszystkie serwetki, które matka ustawiła na stołach i półkach. Są dwa sposoby układania serwetek. Matka kładła je zawsze równo z brzegami mebli, natomiast babka przekładała tak, by rogi stołów były odsłonięte, a po bokach zwisały kraje serwet. Matka ojca robiła to z uporem maniaczki, czym doprowadzała moją matkę do szału. Serwety stanowiły jeden z licznych symboli konfliktu, który czaił się zawsze w pobliżu. Konflikt jest ponoć wytatuowany na mojej linii życia. Taką diagnozę postawiła kiedyś niebieskowłosa czytelniczka kosmogramów, spotkana naprędce w jednym z moich przejściowych domów, pełnych przypadkowych ludzi. Zdiagnozowała nieprawdopodobną liczbę nakładających się na siebie konfliktów, o których mówią gwiazdy, gdy ktoś je prosi, by wypowiedziały się na mój temat. Potem zostawiła mnie

przerażoną jak szczeniaka zapakowanego w foliowy wór wrzucony do rowu. Poszła dalej, by czytać z gwiazd.

Wszyscy obcy, którzy przybyli do salonu Madzi, by potańczyć z duchami przodków w niedzielne popołudnie, natychmiast stawali się dla siebie bliskimi, pozostając jednocześnie obcymi. Madzia podchodziła do sprawy profesjonalnie i z sercem. Oferowała różne smaczne przekąski i herbaty. Bardzo dbała o to, żebyśmy mieli zawsze pod ręką miskę chipsów, by w razie czego solą rozpuszczoną na języku odstraszyć duchy krewniaków. Pilnowała, żebyśmy w odpowiednim momencie chodzili myć ręce albo pluć, żeby nie zadomowiły się na nas złe energie. Uważała na swojego pięknego psa, żeby siedział zamknięty w pokoju, bo jak wszystkie zwierzęta był szczególnie narażony na działanie sił ezoterycznych. Jego szczekanie i ujadanie zza drzwi stanowiło dla nas barometr wskazujący poziom natężenia duchów w powietrzu.

Moje ustawienia były zawsze jednymi z najbardziej przejmujących i rewolucyjnych. Miały siłę prowokowania wszystkich innych gości – żywych i umarłych. W przeciwieństwie do reszty towarzystwa pierwszej kategorii nie chodziło mi o wybadanie najlepszej okazji do wstawienia plomby czy brania kredytu. Pragnęłam, żeby cholerne *mzimu*, które już zbyt długo blokowało powodzenie w miłości i szczęście, w końcu zlazło mi z drogi. Usunięcie go wymagało oczyszczenia relacji z najbliższymi członkami rodziny – tymi jeszcze żyjącymi i tymi już nie. Wielokrotnie przychodziłam do Madzi i wstawiałam w środek zbiorowiska energetycznych zamienników moich kolejnych kochanków. Błagałam, żeby w końcu któryś chciał stanąć obok, wziąć za rękę i zostać na miejscu – przy mnie. Za każdym razem jednak ich reprezentanci oddalali się w najdalszy kąt pokoju, odwracali plecami albo siadali na kolanach komuś innemu.

Muszę w skrócie wyjaśnić, na czym rzecz polega. Bert Hellinger, który wymyślił tę parapsychologiczną, przez co niezwykle kuszącą, metodę pracy, zwaną ustawieniami, był swego czasu na misjach w Afryce. Tam przyglądał się funkcjonowaniu plemienia Zulusów. Szczególnie interesowały go relacje rodzinne oraz – czule tam pielęgnowane – więzy z duchami przodków. Na tej podstawie wymyślił, że pojawiając się na świecie, dziedziczymy nie tylko geny, ale i pole energetyczne. Ciążą nad nami i wikłają nas nierozwiązane konflikty przodków. Traumy dziadków i babek czatują w aurze i jeśli chcą, wsączają w nią jad. Tajemne siły pchają nas, by odtwarzać i przyciągać sytuacje, które już się odbyły w naszych rodzinach nawet kilka pokoleń wstecz, jednak nie doczekały się metafizycznego rozwikłania. Więc jesteśmy wszyscy jak pająki w sieciach. Z tą różnicą, że sieci tych wcale nie upletliśmy. Wizje Berta Hellingera były niezwykle utopijne. W najwznioślejszych momentach marzył o zabliźnieniu traum spowodowanych przez Stalina i Hitlera oraz o jednoczeniu skłóconych narodów, których pola energetyczne dalej toczyły ze sobą dawno już zakończone w rzeczywistości wojny. Mnie fascynował znacznie skromniej zakrojony projekt skoncentrowany na ukojeniu własnych bolączek, takich jak choroba, ubóstwo, samotność i wielokrotnie połamane serce. Niemcy podobno nie lubią metody Hellingera. Uznają go za szarlatana. Polacy – różnie. Poważni psychoterapeuci raczej lekceważą ustawienia i uważają je za potencjalnie szkodliwe, mogące wywołać zaburzenia, a nawet choroby umysłowe. Inni wyznają, że zdarzają się nieliczni cudotwórcy, którzy mogą pracować tą metodą, ale muszą wcześniej zaliczyć wiele kursów, co sprawia, że ich usługi są niezwykle drogie. Madzia była inna. Podobało mi się, że postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Prowadziła ustawienia we własnej kuchni łączonej z salonem, w niedzielę po południu, za niezbyt wygórowaną opłatą stu

złotych od łebka. Jej ezoteryczny anarchizm uznawałam za godny zainteresowania.

Aby wziąć udział w ustawieniach, trzeba mieć problem. Zwykle nie jest to trudne. Złakniony duchowego oczyszczenia uczestnik wybiera, w porozumieniu z prowadzącą, kilka osób, które również mają problemy. Wybrani reprezentują członków rodziny, ale kto jest kim, wie tylko osoba, której ustawienie aktualnie się odbywa. To za jej krewnych podstawieni są zebrani goście niczym filmowi statyści. Zwykle po krótkiej chwili reprezentanci zaczynają rozrabiać. Mogą robić, co tylko chcą. Trochę jak ludzie wpuszczeni na Facebooka, choć tu zamiast ładowania lajków i postów przytulają poduszki na kanapie, tańczą i zaczepiają się nawzajem. Zawsze, kiedy reprezentowałam osobę w czyimś ustawieniu, chciało mi się rozrabiać najbardziej. Angażowałam z łatwością uwagę wspólników, choć niektórzy woleli się ode mnie odsuwać. Stanowiło to bezcenny materiał badawczy dla Madzi, która bardzo chciała zdobyć przewagę nad grupą i móc dyrygować zebranymi gośćmi niczym kończynami marionetki. Nie pamiętam dokładnie wszystkiego, co działo się podczas ustawień, dlatego nie mogę tego opisać. To bardzo korzystne, bo nie chciałabym zdradzić istotnych tajemnic, za które potem przyszłoby mi słono zapłacić perypetiami mojego energetycznego pola. Możliwe, że Madzia nałożyła na mnie jakieś zaklęcie, bym miała dziury w pamięci i milczała. Coś na kształt blokady rodzicielskiej w smartfonie, dzięki której dzieci nie mogą oglądać całego brzydkiego internetu, tylko jego wybrane, ładne wycinki, takie jak *Świnka Peppa*. Dla swojego dobra nie pamiętam dokładnie scenariusza ustawień. Czasem grupa wpadała w zbiorowy śmiech lub płacz. Bywało też, że ktoś miał ochotę rzygać, pluć albo nie mógł opanować histerycznego szlochu, co było niezbitym dowodem, że pokolenie lub kilka pokoleń wcześniej zdarzyła się zdrada, morderstwo, utajona aborcja albo inne

mroczne i mrożące krew w żyłach historie. W końcu zwykle Madzi udawało się dostrzec problem. Wówczas brała go jakby w niewidoczne fantomowe obcęgi i wyciągała z pola. Zapalała więcej kadzideł, przestawiała grupę i spotykała uczestników z najbliższymi krewnymi wcielonymi w swoich reprezentantów. Nawoływała do przebaczania i godzenia się z losem. Czasem Madzia wykorzystywała jakiś kuchenny przedmiot, który miał symbolizować winę albo traumę. Pamiętam, że za pierwszym razem gdy przebaczałam matce, dostałam do rąk ogromny kamienny moździerz. Pierwszą rzeczą, którą poczułam, było dzikie pragnienie walenia nim wszystkich po głowach. Na szczęście Madzia nie mogła na to pozwolić. Udało się jej przekonać mnie i moje zbuntowane pole energetyczne, że najlepszym rozwiązaniem będzie energiczne kładzenie moździerza na podłogę lub przekazywanie do rąk innych osób. Za każdym razem gdy miałam to zrobić i myślałam o członkach swojej rodziny, musiałam poskromić pragnienie walenia moździerzem, gdzie popadnie, i wyrywania go w walce. Na szczęście udało mi się wielokrotnie oddać go „do źródła” razem z lękiem, bólem, traumą, rozczarowaniem, zawiedzeniem, poczuciem zdrady i odrzucenia.

Chujnia z biurwą w trumnie

> *Poezja to strumień krwi – pisała Sylvia Plath dziesięć dni przed odebraniem sobie życia. – Nie sposób go zatrzymać.*
>
> Margaret Atwood*

Zupełnie sobie nie radzę z udźwignięciem świadomości, że mój kalendarz wypełniony jest godzinami oficjalnej pracy. Ciągle towarzyszy mi złość, czasem bardziej, czasem mniej uświadomiona, związana z poczuciem, że oddaję godziny życia i energię na głupoty tylko po to, by zarobić liche grosze. W pracach, które wykonywałam – a które wolę określać mianem robót – zwykle zlecano mi zadania upierdliwe i nieprzyjemne, takie jak na przykład wycinanie ptaszków z papieru w hurtowych ilościach. Nie można takich zadań odmówić bez odmawiania ich razem z pracą, to znaczy z umową gwarantującą opłacenie czynszu, zapewnienie sobie jedzenia z Biedronki i opieki zdrowotnej. Trzeba wejść w proces, w liczne procesy, z zadaniami błahymi, nudnymi i męczącymi, a do tego takimi, jakich efekt uważam za żałosny. Wszystkie rzeczy, które wytwarzam taśmowo w biurze, jak kółeczka z papieru czy ptaszki, służą do utrwalania systemu edukacji, którego nienawidzę. Jest to możliwe dzięki grantom od Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ono dobrze zna potrzeby Polaków. Niby ambitny program, ale tylko trochę, niby docenianie wielokulturowości, a jednak ksenofobiczne papierowe godła z orzełkami. Kiedy je wycinam, marzę, by upierdolić im nożyczkami skrzydełka, ale nie mogę. Moja biurowa szefowa kocha ptaki, zwierzęta, dzieci – szczególnie

te chore – oraz osoby upośledzone. Pragnie im wszystkim zapewnić dobrą listopadową zabawę z symbolami narodowymi. Podobnie jak mnie, fascynuje ją czerwień. Wielbi wszystkie odcienie, jakie miała na przestrzeni wieków polska flaga. A ja kocham warianty czerwieni, które przybiera krew na podpaskach: biskupi, amarantowy, cynober, karmazyn, makowy, szkarłat, rubin, burgund i bordowy – taki jaki mają skrzepy świadczące o zaburzeniach hormonalnych. Oglądam zachłannie próbnik kolorystyczny, który przygotowała. W tym samym czasie wycinarką do brzeżków zaokrąglam jego kartki, żeby uczestnicy warsztatów nie zrobili sobie zadrapania albo ranki rogiem próbnika. Szefowa w ramach solidarności ze swoimi warsztatowymi ulubieńcami, tymi z niepełnosprawnościami, przypomina ciągle, że jest leworęczna i ma wielką wadę wzroku, przez co musi z bliska przyglądać się ekranowi komputera. Mnie widzi jako osobę idealną do taśmowej, ale autorskiej produkcji wycinanek z papieru. Zanim zleciła mi liczne godziny cięcia, zapytała, czy lubię takie zadania. Odpowiedziałam, że nie, ani trochę, że to świetne na terapię zajęciową. Zmiękła ciut, bo zaproponowała mi słuchanie muzyki podczas wykonywania robót. Zbyt szybko przypomniałam sobie moc ukochanych albumów. Łapczywa na sztukę, natychmiast zapewniłam, że jak tak, to super.

A jednak chujnia. Najgorsze jest, że nie da się tak po prostu odciąć wrażeń i myśli razem z brzegami kartek, by po prostu zająć się papierowymi ptaszkami z Nickiem Cave’em śpiewającym *The Mercy Seat* na uszach. Kiedy mam przed sobą stos kolorowych kartek z bloku technicznego z ciasno, jak najciaśniej, upchanymi ptaszkami, sytuacja jest prosta – ja albo one. Jedyną dozwoloną formą kontaktu jest uważne wycinanie nożyczkami. Nie mogę zbliżyć się inaczej – podpalić, opluć, poszarpać zębami czy potargać na małe kawałki. Zostają mi nożyczki

i kontenerowanie złości, którą wypuścić mogę jedynie linią cięcia, ale bez naruszenia papierowych korpusików ptaszków. Włączam na słuchawkach następny krążek. Tym razem *Never Mind the Bollocks, Here's the Sex Pistols* – mój ulubiony album do wykonywania prac biurowych. Rozpędzam się z nożyczkami do szaleństwa, jakbym wrzuciła kilka tabletek pseudoefedryny. Jakby była to kwestia życia i śmierci. Jakbym była młodą Mariną Abramović, która dopiero co przyjechała z Jugosławii do Amsterdamu i z bałkańskim konfliktem we krwi performuje dla przebranych w artworldowskie ciuszki Holendrów i innych zagranicznych gości. Moimi widzkami są jedynie dwie koleżanki z biura, w dodatku zajęte swoimi zadaniami. Wykonują je w pełnym skupieniu wypisanym na twarzach, z wielkim poświęceniem, dla dobra polskiej kultury.

Akcja kończy się wyrżnięciem sobie nożyczkami dziury w prawym kciuku. Jestem ranna. Przede mną leży sterta papierowych ptaszków. To efekt kilku godzin pracy. Nie mogę zrozumieć sytuacji. Co robię źle, że w wieku ponad trzydziestu lat, po studiach doktoranckich, ląduję w pracy na śmieciowej umowie z kolorowymi ptaszkami i szefową, która była pierwszą harcerką Rzeczypospolitej – w dodatku chwali się tym, licząc na aplauz. Kiedy byłam na obozach harcerskich, wolne chwile spędzałam w nadmorskich lasach na wąchaniu butaprenu. Nie przyniosło to profitów w dłuższej perspektywie, ale możliwe, że było niezbędnym odreagowaniem wszystkich tych chorych koncepcji związanych z podnoszeniem i opuszczaniem flagi, śpiewaniem hymnów i przebieraniem się w uniformy z szarymi miniówkami i podciągniętymi nad kostkę skarpetami. Zdecydowanie wolę nylonowe pończochy seksworkerek, nawet jeśli nie jest to moralnie prosty wybór.

Staram się uspokajać. Mam przecież swoje metody. W razie czego mogę iść do łazienki, myć ręce ciepłą wodą, płukać usta i wypluwać

strumienie, żeby pozbyć się złej energii. Jako alibi zawsze mogę użyć rzygania albo biegunki, co przecież zdarza się każdemu od czasu do czasu. Jestem pewna, że gdybym była za długo w toalecie, szefowa zaczęłaby pukać do drzwi. Przed wyjściem z łazienki patrzę sobie w oczy w lustrze. Tym razem postanawiam odpuścić przeklinanie, że jedno oko jest większe od drugiego. Przyglądam się sobie z czułością i uwagą. W końcu widzę coś żywego. Zawieszam się na chwilę w lustrzanym odbiciu, żeby zebrać siły do powrotu na ring. Dzwonek rozlega się od razu, kiedy wchodzę do biura. To przypisany do mnie telefon, więc przedstawiam się grzecznie jako reprezentantka instytucji. Może to jednak zabawa w ciuciubabkę? Lądуję w tych wszystkich robotach po to, by wytropić siebie. Muszę nasłuchiwać i przypatrywać się, jak przybieram kolejne role: przedszkolanki czy pani z biura. Mój wewnętrzny *peeping Tom* ma już tego *show* po dziurki w nosie, jest znudzony i zniesmaczony. Siadam na obrotowym krześle i grzecznie kładę prawą dłoń na myszce, a oczy wlepiam w ekran z mejlami, tabelkami i wzorami ptaszków. Stanowisko pracy jest zresztą tak skonstruowane, że inaczej się nie da. Przede mną leży stos kolorowych wyciętych szabloników. To jeszcze nie koniec. Każdy ptaszek musi mieć na pleckach dwucentymetrowe przecięcie wykonane nożem do papieru pod odpowiednim kątem. Dopiero wtedy nadaje się do umacniania świątecznych tradycji. Wchodzę w nowy etap robót, który bardziej mi się podoba, bo wyobrażam sobie, że zarzynam te ptaszydła do rosołu. Do cięcia polecono mi używać podkładki zaaranżowanej z drewnianej kuchennej deski do krojenia. Dzięki temu łatwiej mi się fantazjuje o rosole.

W biurze najlepiej czuję się, kiedy jest awaria. Na przykład, kiedy brakuje prądu, zacina się internet albo drukarka odmawia współpracy. To mi się podoba! Gdy widzę smutek koleżanek, które są zblokowane, wzbudza to we mnie czułość. Cierpią, bo nie mogą wykonywać swoich

zadań. Co teraz? O rany! Trochę im współczuję, bo rzeczywiście widać po nich dyskomfort, bardziej jednak się cieszę, że będą mogły sobie zrobić kawę albo popatrzyć przez okno. Jak wynika z mojego doświadczenia – awarie w biurach są zawsze krótkotrwałe. Najpierw wydaje się, że prąd nigdy nie wróci. A potem jest nagły zwrot akcji, jak w greckiej tragedii. Wpadają panowie techniczni, którzy lubią sprawiać wrażenie, że problem jest nierozwiązywalny i że koleżanki nigdy nie będą mogły sobie dokończyć upragnionych mejli i tabelek. Tak naprawdę to świadczy o tym, że już dobrze wiedzą, co jest grane i jak to zrobić, żeby ustrojstwo zadziałało, a koleżanki bardzo dziękowały i robiły *wow!* Wówczas supermani wychodzą z biura szybko, by lecieć dalej ratować świat.

Kobiety idealnie nadają się do biura. Gdybym była kapitalizmem, postąpiłabym dokładnie tak samo jak on. Wstawiłabym wszystkie w miarę równe babki do biura. W ten sposób zakosiłabym im całą energię, zaplątując je w sieć okrutnych pierdół i drobiazgów, z którymi trzeba się mozolić bez końca, przez osiem godzin dziennie, pięć razy w tygodniu – z piętnastominutową przerwą na lunch. Bo kobiety są cudowne. Mają piękne cycki, zjawiskowe pupy i nieskończony asortyment innych fascynujących części ciała. Gdyby nie kapitalizm, to robiłyby z nimi, co chcą. Kobiety spokojnie starzeją się w biurach, tyłkami wygrzewają ikeowskie fotele, smukłymi dłońmi obmacują myszki, język i usta służą im do służbowych rozmów, a oczy wraz z długimi rzęsami rzucają namiętne spojrzenia monitorom. Reszta kobiet, która akurat nie pracuje w biurach, nadaje się do filmów o kobietach, które kręcone są specjalnie dla pań biurowych. Te „wolne” prezentują tam namiętne, zjawiskowe, charyzmatyczne heroiny. Biurowe, potocznie zwane biurwami – czasem same przez siebie – oglądają te filmy i nie potrafią zrozumieć, co się nie zgadza. Dlaczego one nie są tak ponętne? Problem próbują rozwiązać

zakupami w drogeriach internetowych, robionymi naprędce w krótkich przerwach, zaraz po zalaniu kawy, ale przed kolejnym mejlem. Przez to mają jeszcze więcej roboty, bo po szychcie lecą odebrać szminki z Inposta. Nie mają czasu sprawdzić, czy dobrze dobrały kolor. Zwykle robią to źle i następnego dnia w pracy pojawiają się śmiesznie umazane cynobrem, karminem, burgundem albo czerwienią biskupią. Biura zamieniają piękne cycki, długie palce, zgrabne nadgarstki i łydki w skamienieliny i artefakty, z których seks i zmysłowość uchodzą z każdą przepracowaną sekundą. Trudno jest być *sexy* biurwą. Biura są brzydkie, nudne, martwe, sflaczałe, flegmatyczne, zakrzepłe, zastygłe i aseksualne w najgorszy możliwy sposób. Aseksualność bywa kusząca, jeżeli jest wygenerowana kosztem intelektualnych orgii. Ale aseksualność i umysłowa bezbarwność to kompletne dno. Cała energia i kreatywność kobiet w biurach upchnięte są w wykresy, mejle, tabele, formalne telefony i godziny pracy etatowej. W biurach ludzie się odbarwiają, są odzierani z charakteru. W biurze nie ma nawet sensu pić kawy ani oddychać. Żeby robić jedno albo drugie, potrzebna jest przestrzeń, miejsce, gdzie można wpuścić zmysły. Biuro jest pod tym względem jak próżniowy pojemnik typu VacSy marki Zepter – wysysa życie do zera. Powiedzmy sobie szczerze – biuro to trumna. Czy myślałaś kiedyś, po co są w biurze kwiatki? Dlaczego te wszystkie matki i niematki przynoszą odszczepki i bratki? Czemu tak bardzo potrzebują uparcie rozsadzać i rozszczepiać swoje domowe monstery? Podświadomość to ogromna siła, która nakazuje im te działania. Nikt nie chce za młodu umierać, zasychać, zastygać w formalinie, nikt nie ma na to wewnętrznej zgody! Kwiatki są w biurze jak maszty. Przypominają o cyrkulacji sił witalnych, o życiu, o energii, o czerpaniu ze słońca i wody, o cyklach wzrostu, o ziemi, o korzeniach, o dzikości, o radości, o sile, o miłości,

o wolności. Są jak kotwice dramatycznie mocujące statek pełen topielców. Po kilku latach pracy z pań biurowych zostają same Laury Palmer.

Zwykle po tygodniu przepracowanym w biurze pojawiają się mi rozbudowane wizje erotyczne, których akcja rozgrywa się na blacie mojego biurka, tam gdzie leżały ptaszki. Szybko fantazje te skręcają w stronę ostrej pornografii, czasem udział w nich biorą moje biurowe koleżanki. Wyjątkowo wplatam w marzenia także wątki sadomasochistyczne. Kiedy w wyobraźni kopuluję między monitorem a telefonem, nożem do papieru i wycinarką do kółek, znaczę orientalnymi wzorami plecy szefowej. Po weekendzie pełnym wizji nawet mam ochotę w poniedziałek rano iść do pracy. W kolejnym tygodniu dochodzę do wniosku, że dużo uczciwsze wobec życia, bardziej humanitarne i w dodatku bez negowania praw człowieka jest bycie seksworkerką niż biurwą. Przeglądam oferty internetowych sex-shopów z pięknymi uszami królika, skórzanymi kajdanami, lejcami, uprzężami, chomątami i czym tam jeszcze. Ostatni etap jest zawsze taki sam: myślę już tylko o tym, jak zachorować, stracić prawą dłoń, mowę czy wzrok, żeby nie móc pracować. Ostatecznie wiem, że szybko zadana sobie śmierć byłaby wyrazem większego szacunku do samej siebie niż zgoda na lata konania w biurze.

---

* Margaret Atwood przywołuje słowa Sylvii Plath z *Kindness* ze zbioru *The Collected Poems*, Harper and Row, 1963, w swej książce *O pisaniu*, tłum. Agnieszka Pokojska, Karakter, 2021, s. 150.

Zgaduj-zgadula, gdzie złota kula?

Game over. Żarty się skończyły. Moje jajo umarło. Jest pełnia. Środek cyklu był przedwczoraj, dwa tygodnie od krwawienia. Czuję, jak zarżnięto mój potencjał, odessano mi energię, podpięto ssawki do sutków, a do krocza przyłożono pijawki – wielkie, czarne i tłuste, takie jak te, które polowały na nas, kiedy jako dzieci z kuzynkami chodziłyśmy po rzece. Żrą moją energię i krew, moje ciepło, zasysają płynące przeze mnie życie. Wampiry, demony, zombi biurowe! Najgorsze osprzętowanie podłączyli mi do mózgu. Zabierają i kontrolują każdą myśl. Telefony, mejle, formularze, elektroniczne kalendarze, papiery formalne, tabelki w Excelu, drukarka, faktury przelewowe, faktury proforma – nie mam już przestrzeni, żeby coś sobie wyobrażać czy czuć. Gospodarnie zajęli moją uwagę, rozczłonkowali na funkcjonalne komponenty. Zżarli mnie, nie zostawiając śladu w dokumentach, jebani kanibale. Nie godzę się. Chcę odwetu. Chcę się odpiąć od wszystkich niewidzialnych rurek, zeszczać i zrzygać na biurko – równocześnie. Wykrwawić się. Uwalić własną krwią wszystkie ważne dokumenty i śliczne papierowe ptaszki, zalać dziurki w gniazdkach elektrycznych. Stukot butów szefowej powoduje mdłości. Raz, dwa, raz, dwa. Czekam na trzy. Na cztery rozpierdolę biuro. Po prostu cały ten grajdołek wezmę i rozjebię. Zrzucę książki z półek, kopnę w drukarkę tak, że już nigdy nie zapiszczy, odetnę kable telefonów nożem do papieru, wybiję żarówki. Bardzo dobrze wiem, jak się robi takie akcje. Już tak próbowałam zrobić z mieszkaniem. Trzy razy, za każdym razem przed psychozą. Nikt sobie z tym nie poradził, wezwano funkcjonariuszy – podobno dla mojego dobra. Odwieźli mnie do szpitala. A we mnie się po

prostu zebrało, chciałam zadośćuczynienia: za biedę, za brak miłości, uwagi, czułości, za negowanie tego, kim jestem – jak widzę i co widzę. A widzę wyraźnie i dużo, na wylot widzę czasem. Te wszystkie fałszywe uśmiechy, tępe lub nieprawdziwe komunikaty, półśrodki, pseudokompromisy, wypieranie się uczuć i życia, zaprzęganie w głupie roboty, manie wyższości, próby dominacji, kalekie konstruowanie tożsamości, klęczenie na kolanach, otwieranie paszczy i wyciąganie jęzorów po opłatki. Hańba! Oszustwo! Ściema!

Złość niewiele da, może zalać człowieka wzburzoną falą łatwopalnej substancji i eksplodować. Lekceważyć jej nie można, bo wówczas robi dokładnie to samo, tylko głęboko w środku, tak że się o tym nie wie. Czasem wchodzi podstępnie w ciało. Ty uczysz się odbierać telefony z zamówieniami i pisać mejle z danymi do faktury, a w tobie złość już montuje i rzeźbi w odwecie instalacje destrukcji. Wgryza się w tkanki, powoli, ale mocno i zdecydowanie, zatruwa, atakuje. Niewyrażona złość jest bardzo rakotwórcza. Jak płytki PCV. Nie pomogą żadne antyoksydanty. Nawet pity codziennie sok z buraka nic nie da. Zdolność balansowania pomiędzy kontenerowaniem a wyrażaniem złości to wielka umiejętność. Warto się jej świadomie uczyć. Robić próby, przymiarki, ćwiczenia. Może nawet w ramach kursu, który by do tego przyuczał, warto podejmować kolejne złe prace.

Wybijanie przeciwnikowi oręża z rąk należy przeprowadzić nie w sposób dosłowny, ale poprzez odwrócenie uwagi – skierowanie się lekko w bok, a nie wprost do atakującego. Zejście z pola, jeśli jest możliwe, najczęściej sprawia, że energia wroga do niego wraca. Odbija się o błyszczące powierzchnie napotkane po drodze: metalowe lampy, biurowe nożyczki, zszywacze, donice, szyby, słuchawki telefonów, ekrany, lub o ścianę i strzela mu prosto w twarz oszołamiającym fleszem. Wewnętrzna

zgoda na unik jest bezcenna. Dzięki niej zaoszczędzić można dużo energii. To jednak coś, co przychodzi z czasem i z umocnioną świadomością tego, kim się jest i czemu się służy. W moim przypadku odpowiedź jest prosta. Służę Sztuce. To jedyna Pani, której panowanie uznaję. W jej Królestwie jestem gotowa dbać o najdrobniejsze detale, ale także, jeżeli trzeba, stawiać płoty, rąbać drwa i orać pługiem. Uczę się, jak dysocjować się od zdarzeń i sytuacji, które angażowałyby moją energię, by zachować ją dla spraw istotnych. W biurze doświadczam dysonansu. Najpierw próbuję wojować, potem zbroić się w odgromniki od demonów, takie jak: seksowne buty, pomalowane paznokcie, misiowe swetry, czerwone bluzki i w ogóle różne dodatki w kolorze krwistej czerwieni. Ale demony kapitalizmu już dawno się zaszczepiły. Są odporne na moje egzorcyzmy. Kiedy to nie pomaga, próbuję złapać drugi koniec kija: zrobić z siebie flegmatyczną, nieogarniętą niewiastę. Strugam głupią. Taką, co nic nie rozumie, a już na pewno nie zna się na podtekstach. Podteksty są chlebem powszednim szefowej. Nie bardzo umie mówić wprost, więc mówi jedno, a chce drugiego. Zwykle brzmi to jak niewinne pytanie lub propozycja, ale jest rozkazem albo oddelegowaniem do zadań żmudnych, nudnych i otumaniających. Zawsze wiem, kiedy ktoś manipuluje mną w ten sposób. W moich oczach nie rozgrzesza go nawet robienie tego podświadomie. Mam wtedy ochotę od razu mu powiedzieć, co właśnie do mnie mówi, a czego oficjalnie wyrazić się boi albo wie, że mu nie wypada. To jeszcze odruch z repertuaru szybkich bójek. Porusza we mnie gen rozrabiaczki, wiejskiej chuliganki. Gdy się powstrzymam i przypomnę sobie, że ostatecznie, od czasu do czasu, biuro jest świetnym miejscem dla moich badań literackich, otwiera się nowa przestrzeń. Kiełkuje możliwość wykonania uniku. Najlepsze jest kompletne znikanie. Przeobrażanie się w plazmę, w leniwą chmurkę rozpostartą nad groźnym czarnym fotelem biurowym, unoszącą się przed

monitorem jaśniejącym toksycznym światłem. Niestety, nie mogę w tym stanie trwać za długo.

Tak czy siak, wykańcza mnie energetyczne pole biura. Na dłuższą metę nie pomaga zmienianie stanów skupienia – ani rozpuszczanie się, ani wyparowywanie, ani krzepnięcie, ani nawet sublimacja. Odczuwam coś na kształt gorączki, choć czoło nie jest rozpalone. Termometr też raczej nic by nie wykazał. Odgłos klikania w klawiaturę rozchodzący się spod palców koleżanek męczy mnie. Światło wysusza oczy i skórę. Od siedzenia w jednej pozycji i świecącego ekranu mam mdłości i suchość w ustach. Kręci mi się w głowie. Słabnę. Kiedy nad tym rozmyślam, marszczę czoło. Utrwalam w ten sposób doświadczenia męki wypisane na własnej skórze. Nie chcę, by moja piękna twarz tu się marnowała. Od czasu do czasu namiętnie kocham ją, uczuciem dzikim, fanatycznym. Widzę w niej wtedy ukochane aktorki. Nie chcę pozwolić, żeby działa się im krzywda. Czasem przeglądam Google, wpisując w wyszukiwarkę nazwiska ulubionych gwiazd kina lub piosenkarek. Analizuję, jak zmieniają się im rysy twarzy pod wpływem lat. Bywa, że przeobrażają się całe formy, jakby ktoś rozpierał rzeźby od środka. Porównuję twarze stare z młodymi. Kontempluję zjawiskowe przemiany Jeanne Moreau, Catherine Deneuve i Marianne Faithfull. Patrząc na ich zdjęcia z młodości, można bawić się w zagadkę: „Zgaduj-zgadula – gdzie złota kula?”. Który rys, jaka część twarzy weźmie na siebie wizualny ciężar destrukcji wywołanej przez czas? Gdzie się podziały lekko wysunięte, przez co bezkreśnie seksowne, usta Jeanne Moreau? Co się stało z podbródkiem i szyją Marianne Faithfull? Dlaczego najpiękniejsze, najszlachetniejsze rysy Catherine Deneuve rozpuściły się w formalną kałużę przypominającą lody waniliowe, które spadły na chodnik? A przecież żadna z tych pań nawet nie pracowała w biurze…

Obowiązek codziennego wychodzenia do pracy i stawiania się w niej jest opresyjny i terroryzuje jednostkę. Trenuje ją do norm społecznych, do obycia z resztą towarzystwa. Tym samym odbiera przejawy indywidualności. Zagarnia prywatność, w której można by się spokojnie masturbować lub pisać wiersze, a w zamian przymusza do miałkich publicznych performace'ów wykonywanych w złych kostiumach i obrzydliwej scenografii. Performerzy zostali zagonieni tu wbrew woli, na siłę. Jeszcze się nie obudzili, wyglądają trochę jak zombi. Śnią swój codzienny nudny, niechlujny sen, trochę się na to zgadzając. Z psem także trzeba wychodzić codziennie, nawet kilka razy, ale to inna sytuacja. Można w niej być anonimową. Robić to w dresie, a nawet w piżamie wciśniętej pod kurtkę. Albo z głową owiniętą w cztery szale. W biurze trzeba być każdego dnia sobą. Od samego świtu wszystkie mejle należy podpisywać własnym imieniem i nazwiskiem, a chodząc wśród ludzi, mieć przypiętą plakietkę, która człowieka identyfikuje. Jest się przyciśniętym do swojej oficjalnej tożsamości, która posiadać powinna takie atuty jak przeciętny poziom inteligencji i społeczny konformizm. Wcale nie chcę każdego dnia rano oficjalnie, ostrą szpilką, przypinać sobie na piersi własnego imienia i nazwiska wypisanego obok logo instytucji w smutnym kolorze *blue*. Nie chcę być dostępna z imienia i nazwiska dla każdego przez tak wiele regularnych godzin w tygodniu, nie chcę być panią Aleksandrą! Ani Olą! Oznaką poważnego kryzysu jest wiercenie się na krześle biurowym. Próbuję dokonać anarchistycznego aktu rewolucji. Ściągam buty, wkładam stopy pod tyłek. Rozpaczliwie chcę zburzyć zastany ład dozwolonych pozycji ciała kokoszeniem się na fotelu. Pragnę usiąść jak niegrzeczne, niesforne dziecko, które ma prawo do takich ruchów, jakich chce. Buty na zmianę ściągam i wkładam. Przechadzam się na bosaka po biurze. Chcę, żeby koleżankom się pomyliło, żeby już nie mogły rozróżnić, czy są jeszcze

w biurze, czy już na jodze. Większość biurew jeździ na jogę dwa razy w tygodniu. Często zaraz po pracy, do której już rano pakują sobie ciasno zwiniętą, małą, modną karimatę, rekwizyt współczesnych joginek, oraz termos pełen ziołowej herbaty z miodem i imbirem.

Kiedy jadę rowerem do biura, z ledwo otwartymi oczami, staram się skoncentrować, żeby nie wpaść pod tramwaj. Na światłach trąbią na mnie samochody, bo coś robię źle. Podglądam inne rowerzystki zasuwające do robót. Dzięki temu rozjaśnia mi się, jak to jest z tym ruchem tramwajów i samochodów. Ale może jednak najlepiej byłoby wpaść pod jakiś pojazd? Wówczas nigdy nie byłoby już więcej żadnego biura, a poza tym pewnie chętnie opublikowano by moje zapiski. *Mięcho* Anety Żukowskiej, po jej tragicznej chorobie i śmierci, od razu trafiło na półki. To świetna książka, dobrze, że się nie zmarnowała. Bardzo szkoda autorki. Dojeżdżam do pracy. Za jedyne szlachetne zajęcie pozwalające zachować twarz uważam spowalnianie akcji biurowych i instytucjonalnych działań. Mogę się tym zajmować, dopóki mam umowę. Szefowa pracuje jak nakręcona, jakby chciała być pierwszą świętą instytucji. Jest wrogiem. Nie moim, ale całej klasy pracującej. Klasy uciemiężonych przez biurka, fotele i monitory. Przypiętych na czterdzieści godzin w tygodniu do stanowiska, do roboty, która za marne grosze spija z nich krew. Zostawia się im jeszcze czterdzieści osiem godzin weekendu na pocieszenie, żeby mogli sobie pospać, pojeść i popić wódki, a także wysikać psa, zrobić manicure i odkurzyć. Przeczytać w tym czasie ze skupieniem mogą co najwyżej blurb na okładce. Bycie zaangażowaną i ambitną pracownicą na etacie w instytucji to przestępstwo, nadużycie.

„Nie szukamy nikogo oprócz ludzi. Nie potrzeba nam innych światów. Potrzeba nam luster” – wyje wielki baner z cytatem Lema, który widzę z okna każdego dnia, kiedy zjadam naprędce tosta zrobionego przed

wyjściem z domu. Kto to wywiesił? No, chyba sama ulica albo stare kamienice, które się zorientowały, że ludzie są cenni i interesujący, a przede wszystkim, że są tacy, dopóki są żywi. Chełpią się tym odkryciem co niemiara, wykorzystując co lepsze cytaty z truposzów. Żywi są bowiem mało przekonujący – ciągle srają i pierdzą. Dopiero jak ktoś umrze, to staje się pożądany. W muzeach jest pełno skrzyni drewnianych, zabitych szczelnie gwoździami, zamkniętych na kłódki i opisanych równo przyciętymi karteczkami z drukarek. Szczególnie istotne są ślady przeszłości. To bardzo wartościowe, żeby wiedzieć, jak ludzie kiedyś żyli. Przeszłość jest szlachetna, już była, została obezwładniona przez czas. Jako taka nikomu nie zagraża, a poza tym jest giętka. Śmiało można ją modelować do woli, zgodnie z trendami. Skrojoną w atrakcyjny na dany sezon fason wstawiać można w podręczniki do historii, podstawy programowe i rozszerzenia edukacyjne. Wybierać z niej bohaterów, by rzeźbić ich w marmurach, odlewać w brązie, a potem upychać w miasta stołeczne i wojewódzkie. W powiatowe daje się głównie Jana Pawła II od kremówek i szajki pedofili. Dzieła sztuki i artyści też stają się cenni dopiero wówczas, gdy są w muzeach. Zyskują powagę i szlachetność. Są opakowani, opieczętowani i zatwierdzeni przez grona opiniotwórczych kreatur. Ludzie mają niesłychaną tendencję do odbierania życiu wartości i obezwładniania wszystkich jego dobrych przejawów. Rozmyślam o tym znad biurka w pracy, kiedy nielegalnie pozwalam sobie nie pracować, tylko kultywować wewnętrzne światło. Czuję, jak unoszą mi się kąciki ust. Uśmiecham się. Od środka czuję pulsowanie krwi w policzkach. To bardzo przyjemne. Ogarnia mnie miękkość i ciepło, zalewa hipnotyczne, wzmożone doświadczenie bytu. Wody we mnie poruszają się w rytm morskich fal, które kołyszą się teraz intensywnie prowadzone pełnią

księżyca. W dzień go nie widać, ale też czuwa. Dopiero wieczorem i nocą złotą kulę zobaczyć można na niebie.

Wszystko gra

Kiedy słyszę pytanie: „Co słychać?” lub „Co u ciebie?”, rzadko przychodzi mi do głowy, że mogłabym szybko i krótko odpowiedzieć: „Wszystko okej”. Zwykle, trochę skwaszona, mówię wtedy o problemach natury duchowej lub filozoficznej. Czuję się wezwana, jak do tablicy. Byłoby prościej, gdybym uznała od razu, że odpowiedź głęboka i prawdziwa nikomu nie jest potrzebna, że nie muszę jej udzielać. Tak się nie zdarza. Wplatam usłyszane pytanie do wewnętrznego monologu, który nieustannie dźwięczy w głowie i całościowo mnie angażuje. Właśnie dlatego tak przeszkadzają mi prace biurowe lub inne zadania wymagające ode mnie porzucenia wewnętrznego głosu. On uspokaja się i brzmi harmonijnie jedynie wówczas, kiedy uważnie go słucham i poświęcam mu uwagę – rysuję, opisuję lub w inny sposób dokumentuję przekaz. Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłyby to być tak zwane głosy. Liczba mnoga wprowadza w konsternację. Nie słyszę ich tak naprawdę. Tylko myślę je, czasem w formach wizualnych, czasem multimedialnych, dźwiękowych czy interdyscyplinarnych. Ale to są moje myśli. Czasem orientuję się, że są paskudne i chcą się zemścić za różne zdarzenia dnia powszedniego. Ale na pytanie, co u mnie, wystarczyłoby przecież powiedzieć, że wszystko gra. Byłoby to z pożytkiem także dla pytającego, który zwykle wcale nie uświadamia sobie, że zadał pytanie. Ta wiedza zresztą do niczego mu nie jest potrzebna. Dopiero kiedy dostaje zbyt długą i trochę jednak skomplikowaną odpowiedź, orientuje się, ale i dezorientuje jednocześnie.

Podróż pod ziemią

Pierwszy ekshibicjonista, którego pamiętam, zdarzył mi się w metrze w Pradze. Byliśmy na wakacjach z rodzicami. Zwiedzaliśmy miasto. Ojciec je dobrze znał. Chciał nam pokazać różne, czasem daleko od siebie położone, dzielnice. Wymagało to podróżowania metrem, co należało do moich ulubionych zajęć. Już same ruchome schody, prowadzące w dół, wprawiały mnie w świetny nastrój. Lubiłam jeździć nimi tam i z powrotem. Albo chodzić pod prąd – szczególnie to! Metro było takie inne od wsi, że aż mnie hipnotyzowało. Litanie po czesku przed każdym otwarciem i zamknięciem drzwi działały jak mantry. Było to przeżycie rangi duchowej. Ta fenomenalna prędkość, którą do dziś miłuję, już bardziej świadomie. Teraz wiem, że w metafizyczny sposób przyciąga mnie szybkość, której doświadcza się od środka. Słychać ją wewnątrz ciała i na zewnątrz. W swoisty sposób jednoczy osobę z przestrzenią. Wplata w tkankę kosmosu, umacnia i utrwala relaksujące poczucie połączenia i zatopienia w rzeczywistości. Uchyla rąbek perspektywy, zgodnie z którą jest się zawsze częścią czegoś większego – umysłu, systemu, procesu. Nic nie uspokaja mnie tak jak podróż pod ziemią. To czysty trans, do którego dołącza świadomość, że przy takim pędzie każda pomyłka może skończyć się błyskawiczną śmiercią. Tak szybką, że nie zdąży się jej zauważyć. Mała dziewczynka, którą byłam w latach dziewięćdziesiątych w praskim metrze, miała na sobie ulubioną ciemnoróżową sukienkę z Myszką Miki. Pamiętam, ale też wiem, bo widziałam na zdjęciach. Myszka Miki była dla mnie wtedy ważna. Z jej pluszową wersją uwielbiałam sypiać. Dziewczynka miała ciasno zaplecionego przez matkę francuza, z którego wypadały jej włosy.

Myślała przez to, że jest strasznie brzydka. Ale tak naprawdę była śliczną dziewczynką.

Metrem podróżowało sporo ludzi w pięknych ubraniach, takich jakich na wsi nigdy nie widziała. To między tymi kolorami i kształtami nagle pokazał się otwarty dżinsowy rozporek, a z niego wystawał zwisający, za duży nos. Albo coś jak pień drzewka bonsai w cielistym kolorze. Albo kikut, taki jak z rzeźb Sarah Lucas. Ustawił się dość blisko twarzy dziewczynki, naprzeciw. Chociaż nie chciała go widzieć, to jakoś ciągle był. Potem nie bardzo rozumiała, kto i dlaczego w ten sposób wpycha nos w sos. Nie pamiętała, czy powiedziała rodzicom. Nie była też pewna, czy tego nie wymyśliła. Masz ci los, pierwsza kremówka. Podarek zaserwowany przez życie. Drugą podano mi równie podstępnie. Byliśmy z wizytą u kolegi taty. Były świetne sałatki, kieliszki z winem, chyba nawet zapiekane nogi kurczaka. Mama wystroiła się. Wyglądała, jakby wyszła z gazety „Burda”. Miała zrobioną nową ondulację, promieniała. Mnie oddelegowano do pokoju dziecięcego. Tam czekało dwóch braciszków – młodszy i starszy ode mnie. Ten drugi posadził mnie na kolanach i pokazywał grę komputerową. Równocześnie cały czas masował mnie czule po udach. Nic nie rozumiałam. Działy się naraz dwa światy – dotyku i obrazu. Nic ich nie scalało oprócz mnie, która stałam się dla nich żywą łączniczką. Wydawało mi się, że powinnam być wdzięczna starszemu koledze, że objaśnia mi świat. Może i mogłabym z tej sytuacji wybrnąć, wydostać się, ale nie chciałam, żeby komuś zrobiło się przykro. Grzecznie więc próbowałam się rozkoszować dotykiem, choć niestety, nie potrafiłam, za co się obwiniałam. Nie wiedziałam znowu, czy mi się to wszystko wydaje, bo jestem z natury zła i skłonna do sprośnych myśli, czy dzieje się naprawdę. Czułam podskórnie, że to ważna lekcja życia, bo jeszcze nieraz znajdę się w podobnej sytuacji. Myślałam, że właściwie powinnam być

wdzięczna losowi za to, że zesłał mi starszego kolegę, i za pieszczotliwe inicjacje. W tym czasie młodszy brat uparcie bawił się klockami lego.

Kolejną kremówkę, którą pamiętam, zaserwował mi w Podgórzu zbłąkany klient kawiarni, w której pracowałam. Błagał o ciepły napój. Wyglądał na biedaka albo świra. Było zimno, więc bez większego zastanowienia przygotowałam mu herbatę. Usiadł kilka metrów przede mną w linii prostej. Siedział długo i spokojnie, a ja robiłam w tym czasie porządki w fakturach. Chciałam być miła. Próbowałam z nim rozmawiać, ale był skryty. Jego inność wzbudzała empatię i poczucie solidarności. Cieszyłam się, że może posiedzieć w cieple. W końcu dojrzałam wysuniętego wacka i zrozumiałam, że gra sobie na fujarze. Głośno na niego nakrzyczałam i wyrzuciłam go. Chyba się bardzo przestraszył, bo szybko uciekał. Kupiłam tego dnia gaz łzawiący, a za radą znajomych opowiedziałam wszystko przez telefon funkcjonariuszom policji.

Więcej kremówek nie pamiętam, za wszystkie bardzo żałuję i postanawiam więcej się nie opychać. Mam wrażenie, że mogło być ich jeszcze trochę, tylko sprzedawano mi je jako tiramisu, wuzetki, królewicze lub bardzo małe białe bezy, które od razu rozpuszczają się w ustach i znikają. Przypominam sobie skrywaną legendę o rodzinnym pedofilu. Wydaje mi się, że takie historie zdarzają się dość często. Pedofil w rodzinie to prawie postać archetypowa. Nie jestem pewna, czy to historia prawdziwa, czy sfabrykowana, taki jej urok. Nie może mi się zmieścić w głowie, dlatego myślę, że jej w ogóle nie ma. To pewnie rozwiązanie uniwersalne. Spotykane, jak przypuszczam, szczególnie często na wsiach i w niezbyt zamożnych rodzinach. Czasem wydaje mi się, że skoro już jestem taka równo popieprzona, to może po prostu ktoś mi wsadził fiuta między nogi, kiedy byłam dzieckiem, ale tego nie pamiętam. Łatwo wyobrażam sobie, kto mógłby to być. Wcale nie typuję jednej osoby, lecz

cały szereg potencjalnych oprawców. Wiem, że pewnie najciekawiej byłoby, gdyby była to osoba, której zupełnie się nie spodziewam. Nic nie pamiętam. Postanowiłam sobie na siłę nie przypominać. Pocieszam się myślą, że kiedyś, jak będę gotowa, pokażą mi się wszystkie obrazy-wspomnienia, do których zwykle nie mam dostępu. Staną jasno przed oczami, objawią mi się. Dzięki temu połączę w końcu elementy układanki, którą jestem. Zrozumiem, których fragmentów brakuje i dlaczego. Wspomnienia, swoją drogą, bywają podstępne. Potrafią zostać wyparte daleko, do ciemnych i cichych zakamarków umysłu lokujących się gdzieś w krainie nieświadomości. Intensywnie tam pracują, zwykle na szkodę wypierającego. A jednak wyparcie czemuś służy, przed czymś broni, coś ocala. Choć przynosi szkody, to jednak także korzyści. Psychologiczne funkcjonowanie, doświadczane na własnym przykładzie, wydaje mi się często chaotyczne, bezsensowne, nieprzewidywalne, niezrozumiałe i po prostu niemiłe czy niewygodne, wręcz uwierające. Jednak możliwe, że „w tym szaleństwie jest metoda”. Może nawet to, że się człowiek zamienia w wariata, wcale nie metaforycznego, ale takiego wymagającego od ludzi zamykania go w pomieszczeniach bez klamek, z kratami w oknach, wiązania pasami, szpikowania lekami, a w przypadkach szczególnych i zapodawania elektrowstrząsów, z jakiegoś powodu jest dla psychicznego ekosystemu jednostki przydatne, ekonomiczne? Jeśli to jest opcja lepsza – jaka byłaby ta gorsza? Swego czasu modne było odszukiwanie wypartych wspomnień. Okazało się jednak, że dość łatwo zamiast wypartych odkryć można sfingowane. Jednych od drugich nie sposób odróżnić. Te wymyślone na pierwszy rzut oka wydają się obiecywać katartyczny, uwalniający potencjał. Może być jednak tak, że jednostka tak bardzo go zapragnęła, iż wszystko sobie ubzdurała. W związku z tym powstały fałszywe fakty, namnożyło się jeszcze więcej pokręconych historii i straumatyzowanych

ludzi. Jeśli zaś chodzi o, naprędce przywołane, elektrowstrząsy, warto wspomnieć, że są one dalej stosowane w leczeniu chorób psychicznych. Z mojego, kompulsywnie i pokrótce przeprowadzonego, wywiadu z psychiatrą wynika, że szczególnie rekomenduje się je kobietom w ciąży. Dzięki temu efekty uboczne leków psychotropowych nie mogą zaszkodzić płodom. Tak to wygląda w Polsce. Nie wiem, jak jest gdzie indziej. Jeśli chodzi o wariatki i dzieci, zgodnie z tym, co mówi mój lekarz, zaleca się chorym pacjentkom posiadanie potomstwa. Wprawdzie ciąża, a szczególnie okres po urodzeniu dziecka, kiedy kobieta doświadcza hormonalnych zmian, niesie ze sobą istotne ryzyko nawrotu psychozy, ale patrząc na sprawę z szerszej psychospołecznej perspektywy, dzieci nawet wariatkom oferują sens istnienia. Tak mówi mój lekarz. Na szczęście nie wierzę mu, a mnie samej nigdy nie przyszło to do głowy.

Kiedy byłam trzynastolatką, chciałam mieć lat czternaście. Czułam przewagę, może nawet dominację nad dwunastolatkami, a wszystkich starszych oszukiwałam, że mam lat piętnaście. Sama dla siebie doliczałam zwyczajowo dziewięć miesięcy, które spędziłam w brzuchu matki, tak jak robią to Chińczycy, gdy określają wiek. Mniej więcej wtedy poznałam najlepszą przyjaciółkę. Na początku znajomości dużo się całowałyśmy w ramach ćwiczeń. Było jeszcze kilka dziewczyn, z którymi to robiłyśmy po tanim winie gdzieś w amfiteatrze podczas Tygodnia Kultury Beskidzkiej. Później przechwalałyśmy się, kto się z kim siorbał. Zdarzało się także, że całowałam się z dwudziestoletnimi kolegami, ale oni wiedzieli, że to może im zaszkodzić, dlatego woleli te, które na pewno miały skończone lat szesnaście. Pamiętam, że zawsze wtedy ktoś mnie widział w parku albo w knajpie – jacyś podglądacze. Pocztą pantoflową donosili rodzicom. Ci nie chcieli zdradzać szpiegów. Mama brała plotki, zresztą prawdziwe, bardzo na serio, a ojciec może jeszcze bardziej. Niepokoił się,

że zaszkodzą rodzinnej reputacji. W takich sytuacjach rodzice mnie przesłuchiwali. Sadzali przy stole w kuchni na środkowym krześle, między sobą. Ojciec siedział po lewej, blisko radia, a matka po prawej, blisko zlewozmywaka. Odpowiadając podczas takiego wywiadu, najczęściej starałam się cytować fragmenty przetłumaczonych na polski wierszy Jima Morrisona albo piosenek Janis Joplin. Zwykle w konsekwencji moich niecnych występków, za karę, nie mogłam wychodzić. Miałam wiekuisty szlaban. Byłam pewna, że na zawsze utknę w ciasnym mieszkaniu. Siadałam więc obok kaloryfera w małym pokoju, przytulałam się do jego gorących żeber z całych sił, żeby mnie parzyły i zostawiały podłużne linie na skórze. Wyłam całymi dniami. Fantazjowałam o podcinaniu sobie żył. Z czasem nauczyłam się, że w takich sytuacjach pomagają tabletki z domowej apteczki. Były w niej różne preparaty, właściwie na wszystko. Należało połknąć jak najwięcej naraz i zasnąć, zwykle na długo. Kiedy się wybudzałam i znowu mogłam wychodzić z domu, robiłam sobie bardzo mocny makijaż, zbiegałam z górki i wskakiwałam do autobusu numer siedem, który wiózł mnie do miasteczka. Tam organizowaliśmy się z resztą dziecięcej drużyny i pielgrzymowaliśmy na cypel. Wcześniej kupowaliśmy jabcoki i butapren, a w Żabce wypraszaliśmy foliowe woreczki. Żeby dojść na miejsce, trzeba było przejść rzekę na bosaka. Nie lubiłam tego robić. Bałam się zimnej wody i podstępnych, ostrych kamieni na dnie, ale najlepsza przyjaciółka brała mnie za rękę. Kiedy już dotarliśmy, trzeba było stróżować, czy nie chodzą pały. Spotkanie z nimi mogłoby się skończyć tragedią.

Nie martwiłam się, że odjeżdżanie na kleju może mi zaszkodzić. Efekt buchania był wstrząsającą psychodeliczną przygodą, której doświadczałam jak odkrycia skarbu lub jakby powierzono mi sekret nieśmiertelności. Jakbym odnalazła kamień filozoficzny. Czasem prawie mdlałam. Trwało to

krótko i nie dawało się przetłumaczyć na słowa. Strasznie śmierdziało. Wielu twarzy z towarzystwa na cyplu już nie ma. Wcale nie żartuję, nie przesadzam ani nie zmyślam.

Głód

– Cztery? Cztery to chyba za dużo dla pani! – stwierdza pan w moim ulubionym barze mlecznym, tym z mnóstwem kwiatów i z papugami.

– Ej, zjem cztery, no nie? – zwracam się szeptem do chłopaka.

– Nie, no co ty, one są takie wielkie – odpowiada i pokazuje owal stworzony z połączenia dwóch dłoni, a ma duże dłonie i wyjątkowo długie palce.

Zamawiam trzy placki ziemniaczane, ale pozostaję podejrzliwa wobec sytuacji. Oczywiście zjadam je szybko, bez żadnych gulaszów czy pieczarek, ze śmietaną i solą. Łapczywie. Zjadłabym jeszcze trzy bez najmniejszego problemu. Może nawet jeszcze jeden potem, na deser. Wstydzę się łakomstwa i nie zamawiam dodatkowej porcji. Zawsze, kiedy jemy coś na mieście, chcę zamawiać placki ziemniaczane. Wszystko inne jest dla mnie drugorzędne. Chłopak próbuje mi pomóc. Często przypomina, że jadłam placki wczoraj, więc dziś powinnam zjeść coś innego, żeby mieć dostęp do szerszego wachlarza smaków, spróbować czegoś nowego. Słucham go, ale czuję smutek, może lęk, wewnętrzną sprzeczność. Jakbym przeczuwała, że placki są bardziej istotne, niż się wydają. Potrzebne bardziej niż kotlet de volaille czy inne potrawy. Tęsknię za plackami. Jakiś czas temu, gdy jeszcze rozmawiałam z matką, bo czasem urywamy kontakt – wtedy matka utrwala swoją łączność z Bogiem i się modli – poprosiłam ją, żeby zrobili z ojcem placki ziemniaczane, jak ich odwiedzę. Odpowiedziała, że nie ma ziemniaków. Ojciec potwierdził, nawet specjalnie oddzwonił. Wydawało mi się to absurdalne. Jak to, nie ma ziemniaków? Ojciec wytłumaczył, że teraz są za stare czy za młode, nie pamiętam. Kilka

dni potem znajomi częstowali mnie plackami domowej roboty. Były wspaniałe. Zezłościłam się na rodziców za te placki.

Ojciec opowiadał, że jak byli mali, on i rodzeństwo, kiedy dziadek pił, to czasem długo nie jedli. Babka ze złości nic im wtedy nie dawała. A potem dziadek wracał i smażył placki. Mojego ojca zwykle nie było, jak byłam dzieckiem, bo musiał zarabiać za granicą, ale kiedy wracał, robił placki. Siedzieliśmy w małej kuchni i smażyliśmy je bez końca. Najpierw tarcie, przy którym czasem do gara wpełza krew z utartego palucha. Potem otwieranie okien, żeby dom nie śmierdział olejem, bo mama tego nie lubi. Nigdy nie czułam, żeby placki śmierdziały! A potem złote, błyszczące, owalne placuszki. Wcześniej przygotowane mleko w szklankach, żeby miało dobrą temperaturę do popijania. Zjadałam sześć, ale chciałam więcej. Mogłam wepchać jeszcze dwa. Ojciec mógł nawet dwanaście, a matka tylko dwa. Jeśli miałabym przywołać jakieś dobre wspomnienie z relacji z ojcem, to ta scena byłaby pierwsza. Scena karmienia, zaspokajania głodu porzuconych dzieci – uleczanie traumy dziedziczonej od pokoleń.

Studnia

Wracam do domu. Długo myję ręce ciepłą wodą. Mam wrażenie, że to pomaga. Terapeutycznie usuwa brud, nie tylko ten fizyczny, ale także mentalny – niewidoczny, zgromadzony podczas przymusowych kontaktów z ludźmi i wykonywania głupiej roboty. Otula ciepłem, koi. Natychmiast chcę wskoczyć cała pod prysznic, bo czuję, że życie mnie sobą utytłało. Lepiej byłoby do wanny, lecz wanny nie ma. Mieszkanie jest strasznie brudne. Obiecuję sobie, że nie będę się na tym skupiać, ale nie potrafię. Nie mogę znaleźć dla siebie kąta. Gdziekolwiek chcę się schować, czyha na mnie bałagan, a nawet lepki brud – zaschnięty na naczyniach piętrzących się w zlewie, pokrywający białymi plamkami narzutę na łóżku. Piach przyniesiony przez psa w pościeli i całe mnóstwo rzeczy. Pełno niepotrzebnych, niechcianych, zachomikowanych gratów. Często takich, jakie ktoś wyrzucił, a myśmy znaleźli, myśląc, że to skarb. Fantazjuję o tym, co i kiedy wyrzucę. Wyniosę niepostrzeżenie z mieszkania i wpakuję w kosz na dole kamienicy. Zawsze trochę to rozluźnia i uwalnia. Nie wolno mi tego robić. Chłopak wie, że to nieekologicznie, że rzeczy lepiej przekazać innym. Na przykład na Facebooku jest grupa Uwaga, śmieciarka jedzie – tam można. Należy umieścić zdjęcie przedmiotu do oddania i czekać na chętnych. Boję się trochę tych śmieciarek. Bywa, że wszystko z nich chcę zgarnąć, a jak już mam nadmiar dóbr, czuję się zagubiona, zalana niepotrzebnym gównem, brudnym i nabrzmiałym od wątpliwych wibracji obcych ludzi. Dominuje mnie sterta niechlujnej materii, uszkodzonej, wybrakowanej. Kubki bez ucha, płaszcze bez guzików, za duże, za małe, w źle dobranych kolorach. Obwiniam się za to, że je

przygarnęłam, a teraz niekonsekwentnie chcę się pozbyć. Nie tylko ich, ale także kolorowych tapet, nadmiaru rzeczy stojących na widoku i rozpraszających uwagę. A jeszcze gratów z szuflad – zalegającej, martwej, skotłowanej materii. Stare baterie, milion kabli, żarówki, elektronika, małe woreczki foliowe, gumki recepturki, wizytówki, sznurówki, pasty do butów, tabletki, opakowania po filmach analogowych, ubrudzone broszury z krakowskich wystaw i zalane kawą teksty kuratorskie.

W tym otoczeniu nie słyszę swoich myśli, nie zaznaję spokoju, nie potrafię się skoncentrować. Chciałabym zostać w samych białych ścianach. W *white cube*, gdzie życie byłoby w końcu rozpatrywane jako sztuka – całościowe, święte! Może tylko z komputerem, kilkoma książkami. Sama, bez nikogo. Bez źle zestawionych kolorów, upiornych, gruboskórnych faktur i rozpraszających dźwięków. Miałam ćwiczyć się w bałaganiarstwie, w akceptowaniu tego, co mi się nie podoba, a jednak musi towarzyszyć. Idzie kiepsko. Szczególnie kiedy moja komórka jajowa, już martwa, leży od tygodnia w podbrzuszu na dnie. Uwiera i kłuje duszę. Czeka na krew, która ją wyrzuci, wyniesie falą na brzeg, na granicę, na zewnątrz ciała.

Przed ostatnim nawrotem szaleństwa pozbyłam się wielu rzeczy, choć miałam ich raczej niedużo w dopiero co wynajętym pokoju. Wrzuciłam do kosza zestaw kamieni półszlachetnych – turmaliny, selenit, kwarc różowy, kryształy, fluoryt i jeszcze kilka ciekawych okazów, których nazw nie pamiętam. A przecież wcześniej tak je kochałam, opiekowałam się nimi. Dbałam o nie, myłam, czyściłam, ustawiałam do słońca. Nawet mroziłam, by pielęgnować ich energię. Z niektórymi kamieniami tak trzeba robić, na przykład z hematytem. Sypiałam z nimi. Był to czas, kiedy spotykałam ciągle mniej lub bardziej nietrafionych kochanków. Nie było nikogo, z kim mogłabym zasypiać, przytulać się, znać nawzajem swój zapach i głos, czuć rano ciepło złączonych ciał. Brakowało ukochanej osoby, którą można by

z czułością oglądać, kiedy rano sen zabawnie wykrzywia jej rysy. Wówczas, leżąc w łóżku, kładłam sobie kamienie na twarz i w okolice serca. Bywało, że wsuwałam w waginę, żeby było im ciepło, żebyśmy wymieniali się płynami i wibracjami. Kochałam moje kamienie. Raz wzięłam całą torbę kamieni na warsztat performance do Chorwacji. Bałam się sama jechać tak daleko, więc je spakowałam. Robiłam nam razem dużo zdjęć. A potem kamienie zaczęły mnie trochę drażnić. Upychałam je w kwiatki, w ziemię – zakopywałam w donicach. Aż w końcu wyrzuciłam na śmietnik. Podobnie zrobiłam z pendrive'ami i z uzbieraną od ludzi kolekcją zdjęć rentgenowskich, które miały mi służyć do celów artystycznych. Gromadziłam je, bo czułam intensywnie, że jest coś przejmującego w spojrzeniu oferowanym przez aparat rentgenowski. Jego przenikanie do kości, przeszywanie na wylot i zapisywanie tego, co zobaczył w czarno-granatowych półprzezroczystych obrazach na grubych foliach, fascynowało mnie. Były to fragmenty ciał poszczególnych ludzi, ale też po prostu zbiór kości – nic więcej.

Kilka tygodni przed obłędem odwiedziła mnie Julita, joginka. Przestrzegła, że te obrazy są trudne i bolesne, że mając je obok, dźwigam brzemię za duże, większe niż moje. Jakbym otaczała się traumą innych ludzi na własne życzenie. A ja odwrotnie – wierzyłam, że potrafię tę ciemność oswoić. Łaknęłam konfrontacji z nią… Miesiąc przed jej wizytą, kiedy przeprowadzałam się z akademika do nowego pokoju w pięknym mieszkaniu na Krakowskiej, wydarzyło się coś znaczącego. Miałam ze sobą bardzo starą walizę z rysunkami. To była pierwsza rzecz zgarnięta z ulicy w Krakowie. Na wsi ludzie nawet nie śnili o takich walizach. Wyciągałam z niej szpargały. Układałam rysunki, kiedy nagle wypadł spomiędzy nich rudy dread. Sparaliżowało mnie. Wystraszyłam się. Nie rozumiałam, dlaczego czkawką odbija się coś, co już dawno było strawione. Zupełnie się

tego nie spodziewałam. Nie podejrzewałam w ogóle, że jeszcze gdzieś mogą być zachowane dready. Myślałam, że pozostały już tylko w snach. Musiałam lata temu schować go w walizie na pamiątkę. Bez cienia wątpliwości w kwestii tego, co zrobić ze znaleziskiem, zasypałam dreada szklanką soli, żeby drzemiące w nim licho spacyfikować. Następnie pozbyłam się go. Chyba w koszu w akademiku. Przeczuwałam, że dread prorokuje najgorsze, które nieubłaganie nadchodzi.

Czas w akademiku nie należał do łatwych. Po latach wynajmowania jednoosobowego pokoju musiałam mieszkać ze współlokatorką. Nawet jako dziecko nigdy z nikim nie dzieliłam pokoju, więc było to trudne. Chciałam medytować na poduszce o różnych porach dnia, a ona pragnęła wielu zupełnie innych, kolidujących z tym rzeczy. O szóstej rano wstawała do pracy w korpo. Budziła mnie. Pchałam w uszy stopery, jęczałam, przeciągając się na łóżku rano, żeby ją odstraszyć, żeby była cicho. Niewiele to dawało. Nie mogłam pogodzić się z tym, że nie wolno mi się masturbować, kiedy chcę. Uważałam to za istotne prawo człowieka, które wymaga zwykle dostępu do samotnej przestrzeni lub ewentualnie dodatkowo współudziału zaangażowanego partnera, którym moja koleżanka nie była. Przyzwolenie na masturbację – uznanie jej w końcu za coś raczej świętego niż wstydliwego – łączyło się ze złożoną wewnętrzną przemianą. Z intelektualnym zbliżeniem do wątków feministycznych, do bardziej świadomego i oficjalnego dzielenia poglądów lewackich, sięgnięcia do anarchistycznych korzeni, ale i klimatów New Age. Dużo wówczas czytałam o czakrach, o energii seksualnej, o tym, że seks i kreatywność to w zasadzie jedno i to samo. Interesowałam się tantrą i pracą z ciałem. Onanizm uważałam za praktykę duchową. Czasem posiłkowałam się nią podczas malowania obrazów, które jeszcze wtedy zdarzało mi się popełniać. Dotykanie siebie i doświadczanie orgazmu

pozwalało mi się kontaktować z substancjonalnością farby. Ta, w pewnym momencie, zaczęła dla mnie symbolizować to, co nieświadome, niekontrolowane, libidinalne, pierwotne i dzikie. Wtedy przestałam móc malować. Zrozumiałam, że ten proces przerasta mnie, że jedyną wizją malarstwa, która byłaby dla mnie dostępna, jest pracowanie z wielkimi płótnami i kilogramami farby, angażujące nie tylko gest, ale całe ciało, może nawet głos – krzyk. Konsystencja farby zaczęła wyzwalać we mnie złość, jej nieskończone pokłady. Farba mnie demolowała i ja także tylko do tego mogłam jej używać. Szkoda mi trochę tej farby. Marzy mi się. Ale nie mogłabym żyć z farbą w dzielonym na pół pokoju w akademiku czy w innym ciasnym wynajętym pokoju. Nie mogłabym zostawiać obrazów, by wybiegać do pracy, bez porządnego wyszorowania ciała. Zajmowałoby to za dużo czasu, szczególnie w przypadku farby olejnej. Wszystkie inne farby są drugiego rzędu. Farba, szczególnie czerwona, wzbudzała we mnie potrzebę dotykania i odciskania się. Rozbierałam się do naga i nakładałam na siebie grube kluchy świeżo wyciśniętego z tubki akrylu. Rozsmarowywałam je na sobie jak krem na torcie. Zrobiłam kilka odbitek własnego ciała na grubym papierze. Nie wywarły na nikim wielkiego wrażenia. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Takie rzeczy zwykle interesują małą grupę ludzi. Zawsze są jakby trochę za proste, zbyt mało wyrafinowane, zbyt szczere.

Cieszyłam się, że mieszkam w akademiku, a szczególnie że jestem na studiach doktoranckich, które zapewniały stypendium, a później może i dostęp do dobrej pracy, cokolwiek miałoby to znaczyć. Pewnie etat na uczelni, z młodymi ludźmi, którzy jeszcze wierzą, że w życiu chodzi o sprawy istotne, warte zaangażowania. Nie znają świata. Nie wiedzą, że ważne są towary i usługi, które można nabyć lub sprzedać, a już najważniejsze są korporacje i SUV-y. Do akademika wprowadziłam się po

dwumiesięcznej przerwie od Krakowa, kiedy próbowałam mieszkać z rodzicami na wsi. Nie udało się. Mimo bliskości lasu i planu przeobrażenia się w kapłankę natury pomysł spalił na panewce. Zrobiłam kilka zdjęć muchomorów i innych zjawiskowych grzybów oraz kości rozrzuconych w lesie. Nie byle jakich, ale wielkich kości szczękowych z zębami. Dobrze pamiętam. Strumyk w lesie wyrzuca je zawsze wiosną. Leżą do końca zimy. Nigdy się nie kończą. Wydobywają się spod ziemi każdego roku. Olbrzymie kości.

W domu nie było dla mnie miejsca. Nie był to mój dom. Rodzice zawsze go tylko budowali. Jak powstał i można było w nim zamieszkać, rezydowałam już w kolejnych, wynajmowanych, krakowskich pokojach. Matka do dziś nie wbija gwoździ w ściany, żeby dom na zawsze pozostał nowy. Wszystkie obrazy – głównie świętych, a także kilka moich kolorowych, nietrafionych studenckich bohomazów – stoją na meblach. Jedynie górną krawędzią opierają się o ścianę albo są włożone za dębową balustradę schodów. W domu trzeba ciągle gasić światło i nie wolno się kąpać. Woda dochodzi ze studni, która jest w lesie obok strumyka, tam gdzie wyrzucane są kości zwierząt. W każdej chwili może jej zabraknąć. No i też nie ma za dużo ciepłej. A szkoda.

Przed najgorszym zaczęłam chodzić na basen. Sama, dziarsko, tak jak chodziłam do siłowni, żeby nie myśleć o rozstaniu z mężem. Konsekwentnie, z uporem maniaczki. Miałam w głowie ścisk, dużo się działo i jeszcze przypadło mi w udziale piekielne zakochanie, które dolało oliwy do ognia. Nie umiałam pływać, ale też się nie topiłam, przynajmniej nie od razu. Ile bym lekcji brała, zawsze się to tak kończyło. Palenie w czaszce było tak intensywne, że aby je ugasić, stojąc nad basenem, postanowiłam wskoczyć. Po prostu, bez zastanowienia. Nie miałam nic do stracenia, mogłam się najwyżej utopić lub skompromitować w oczach

innych pływających – tarmoszona i wyławiana przez ratownika. Mogłam też, rzucona na głęboką wodę, zacząć pływać. Nie szło mi, ale tym razem płynęłam. Zawsze przy brzegu, jednak odpowiedzialnie. Po przepłynięciu długości basenu byłam wykończona, lecz płynęłam jeszcze dwie. Woda mnie koiła. Czułam, jak w doświadczaniu rzeczywistości schodzę głębiej, jak odradza się we mnie mądrość komórkowa. Coś przeobrażało się w moich tkankach i w płynach, w mózgu, w rdzeniu. Tłumaczyłam sobie, że dokopuję się do wspomnienia, kiedy byłam płodem w brzuchu matki.

Niewyrażalne w słowach

– Proszę opisać, co działo się podczas psychozy – nalegają panie stażystki psychiatrii, przyjmując mnie na terapię dzienną po kryzysie. Mają gładko upięte włosy, dobrze dobrany kolor podkładu, świeże tipsy i błękitne uniformy.

– Nie jestem w stanie teraz tego klarownie przedstawić. To niewyrażalne w słowach, poza tym jestem zmęczona i wcale nie chcę tego zdradzać – odpowiadam.

Z karty wypisu dowiaduję się później, że tego dnia byłam napięta, w nastroju dysforycznym, niechętnie zgadzałam się na rozmowę, miałam spłycony afekt i zdradzałam okresowo niedokojarzony tok myślenia.

Wilkołak

To były długie dni. W najintensywniejszych momentach klęczałam na kolanach z czołem doklejonym do podłogi. Rzucałam monetami. Rysowałam otrzymane z ich układu heksagramy. Na przemian błagałam *I Ching* o wyjaśnienia i czytałam fragmenty *Cudu uważności* Thích Nhãt Hanha na głos. Klęcząc w skupieniu, kreśliłam koło czarnym długopisem na białej kartce – centralnie, w samym środku. Symbolizowało absolut, z którym czułam się zjednoczona. Owładnęły mną jeszcze dwa ezoteryczne symbole: róża i krzyż. Myślałam o nich bez przerwy. Obok mnie na dywanie znajdował się wielki czarny kleks. Przez ostatnie dni systematycznie starałam się go usunąć. Wielokrotnie przyciskałam wilgotną szmatę z płynem czyszczącym, by odsączyć plamę z dywanu. Ślad nie schodził. Kleks powstał z wylanego niechcący tuszu kreślarskiego. Tydzień przed „odjazdem” rozłożyłam na wielkim stole, który ustawiłam na środku pokoju, szare papiery, żeby stół się nie zabrudził. Na nich postawiłam kolorowe buteleczki tuszu, dopiero co zakupionego za stypendium doktoranckie. Były takie esencjonalne. Tego właśnie potrzebowałam: nasyconego koloru, intensywnej substancji, esencji. Żadnych bladości, rozwodnień, prześwitów, laserunków! Rozłożyłam kartki. Kreśliłam na nich sceny pełne kobiet. Miały ciężarne brzuchy, nabrzmiałe piersi, wielkie, rozwarte tyłki i solidne uda. Otwierały usta i zamykały oczy. Wyszły z albumu *Araki* wydanego przez Taschen i przeniosły się do mojej głowy, a następnie zmusiły mnie do portretowania się w intensywnych kolorach wypełniających czarne komiksowe linie rysunków. W przerwach od kobiet zamalowywałam listy miłosne do Wilkołaka spisane w pamiętniku.

Chciałam je unicestwić, uśmiercić, ukręcić im łeb, żeby nigdy już nie zostały przez nikogo odczytane. Byłam gotowa zadać śmierć miłości. Siedząc nad nimi, jadłam tylko gorzką czarną czekoladę, która zawierała prawie samo kakao, i jaglankę z włoskimi orzechami. Piłam intensywną zieloną herbatę o miętowym aromacie. Wreszcie miałam dom, pieniądze na to, czego chcę, i czas.

Rozmawiałam z Jakubem od filmów, który polecił mi przeprowadzkę do Warszawy. Podesłał ofertę pracy w recepcji Muzeum Sztuki Nowoczesnej, żebym nie została na lodzie w wielkim mieście. Początkowo przejęłam się tą możliwością, a potem poczułam, że to powołanie. Chciałam zostać recepcjonistką! W tym celu rozpoczęłam pisanie specjalnego CV. Przeszukiwałam komputer, by znaleźć pasujące zdjęcie. Takie, na jakim wyglądam zwyczajnie, raczej przeciętnie, żeby pasowało do stanowiska. Wydało mi się, że należy pozbyć się śladów obecnej siebie, więc zaczęłam kasować ważne pliki zapisane na komputerze: zdjęcia, filmy, dokumentacje działań performatywnych, teksty, opisy, szkice projektów. Chciałam wyczyścić się do zera. Zadzwoniłam do Bartiego i opowiedziałam mu o pomyśle na nową siebie. Bardzo się zmartwił i prosił, żebym przyszła do niego porozmawiać. Chciałam iść, ale bałam się wychodzić z mieszkania. Wydawało mi się, że ktoś na mnie poluje, najpewniej groźny seryjny morderca z żyletkami w kieszeni. Kilka dni wcześniej rozmawiałam z Bartim o Wilkołaku. Opowiadałam, jak doznałam szoku, kiedy siedząc z nim w kuchni, nagle spotkałam się z jego dziewczyną, która wcześniej wróciła do domu. Ta sytuacja tak bardzo mną wstrząsnęła, że na kilka godzin straciłam ze sobą kontakt. Najpierw próbowałam z dziewczyną rozmawiać. Odpaliła papierosa, założyła nogę na nogę i usiadła naprzeciw mnie. Obok niej siedział piękny rudy kot, który cały czas ziewał i pokazywał zęby. Włosy dziewczyny opadały na

bezwzględnie świdrujące mnie oczy. Dotychczas widziałam tylko blond farbę na stole kuchennym i łudziłam się, że jej właścicielka nie istnieje. Próbowałam rozmawiać, lecz byłam przerażona. On stał pomiędzy nami, również patrzył mi w oczy i kończył zdania wypowiadane przez dziewczynę. Patrzył czule, uśmiechał się. Wydawało mi się, że widzę w jego oczach miłość. Ale był z nią. To jej zdania były jego zdaniami. Dziewczyna spytała, kim jestem i co tu robię. Jakby uwierzyła przez chwilę, że naprawdę może istnieć wiele możliwości. Powiedziałam, że przyszłam zjeść eklera. To na pewno była fatalna odpowiedź. Nie mam pojęcia, dlaczego przeszła mi przez usta. Zaraz potem wyszłam na korytarz. Wsunęłam granatowe aksamitne buty za kolano, zatrzasnęłam za sobą drzwi, zbiegłam ze schodów i uciekłam. A potem mnie odcięło. Szłam na autopilocie po śniegu, w kierunku domu. Czułam, że nie mam żadnego wpływu na własne myśli i zachowanie. Byłam w kompletnym szoku. Znalazłam się w barze mlecznym. Zamówiłam byle co. Przełykanie sprawiało mi wielką trudność, wręcz ból. Kawałki łykowatego mięsa stawały w gardle. Nie czułam smaku. Tonęłam wśród klientów mlecznego baru.

Myślę, że wtedy go jeszcze kochałam i wierzyłam, że on mnie też. Zwykle, kiedy wychodził z mojego pokoju, płakałam. Opowiadałam wtedy nam obojgu bajki, że jest marynarzem, który wyjeżdża w daleki rejs, a ja jestem jego żoną. Zostaję sama, ale wiem, że wróci. Będę czekała. Dziękował mi, nie wiem za co, wkładał czapkę i biegł dalej. Nasze spotkania zawsze trwały bardzo krótko. Kiedy nie mogłam tego znieść, błagałam go, żeby się do mnie nie odzywał, żeby mnie zostawił. Mówiłam, że cierpię, że już dłużej tak nie potrafię, że chcę, żeby zniknął, skoro nie może być ze mną. Nie chciał słuchać. Uparcie dzwonił. Pytał, co słychać, co robię, gdzie jestem. Opowiadał, że świeci słońce albo że ptaki śpiewają.

Głos mu miękł i wtedy mnie hipnotyzował. Był w nas zwierzęcy magnetyzm manifestujący się, gdy tylko się widzieliśmy lub słyszeliśmy. We mnie także, kiedy po prostu o nim myślałam. Nie robiłam nic innego. Chciałam być z nim, mieć w brzuchu jego dziecko, wykarmić je i patrzeć, jak dorasta. Był we mnie wielki głód jego ciała, w każdej postaci. Wówczas, jeden jedyny raz, wydawało mi się, że nie ma na świecie większej alchemii niż spłodzenie dziecka.

Nigdy nie widziałam kształtu tak okrągłego jak źrenice kochanka. Nie było od nich czarniejszej czerni. Rozpoznawałam w nim coś swojego, własny genotyp. Coś, co musiało być moje, jak krew z krwi i kość z kości. Zęby, ich kształt, widoczny, kiedy się uśmiechał… Nazwałam go Wilkołakiem. Pisałam do niego miłosne listy na Whatsappie. W nocy, o drugiej, kiedy budziłam się rozpalona myślą o nim, wysyłałam zdjęcia z łóżka, czarno-białe. Odpisywał po dwóch, trzech dniach. Bywał w górach lub w pracy. Wysyłałam mu najpiękniejsze piosenki, takie jak *Somebody to Love* Jefferson Airplane. Nie chciałam tego. Nie chciałam zabierać mężczyzny drugiej kobiecie. To było wbrew mnie. Zgodziłam się tylko dlatego, iż czułam, że Wilkołak jest mój i ja jego, że jesteśmy sobie pisani. Zrobiłam to, bo wołał mnie krzyk naszego dziecka, które pragnęłam urodzić i wychować. Nic nie było w stanie zatrzymać tego instynktu, prawie nic…

Kiedy pierwszy raz poszliśmy na kawę, grała w Eszewerii piosenka Chrisa Isaaka *Wicked Game*. O miłości. Miałam wrażenie, że po równi nas to bawi i wzrusza, że rozpoznajemy ten zbieg okoliczności jako mrugnięcie oka kosmosu. Wilkołak długo nie wspominał, że ma dziewczynę. A był z nią od wielu, wielu lat. Nie mówił też, że z nią mieszka ani że ma z nią firmę. I auto, i koty. I że ona robi mu jaglankę, i zostawia dla niego część w garnku. Ani że ciągle jeżdżą do rodziny i w góry. Że mają pełno

wspólnych znajomych i że dodatkowo sporo z nich to także moi znajomi. Wysyłał mi zdjęcia swojego mieszkania, na którym wyglądało jak mieszkanie singla. W końcu, dzięki facebookowemu researchowi, zrozumiałam, że układ jest patowy. Zadzwoniłam do niego. Powiedziałam, żeby już nigdy, przenigdy nie przychodził do mnie na kawę. Był pod drzwiami piętnaście minut później. Wpuściłam go, ale chciałam zastrzelić. Włączyłam album *Biała flaga* Republiki. Zaczęliśmy turlać się na dywanie, tulić i całować. Album się skończył. Wilkołak musiał uciekać. Byłam otumaniona, od zakochania huczało mi w głowie. Zdecydowałam, że wybiorę się na długi spacer po nowe cienie do powiek Inglota. Potrzebowałam zająć czymś głowę. Chciałam być piękna. Myślałam o nim bez przerwy. Czułam, że jest obok, nawet jak go nie było. Ciągle pisałam wiadomości o miłości, o dziecku, o zdjęciach Arakiego. Musiałam go fascynować. Pewnie nie chciał mnie stracić. Spotykaliśmy się w wielu miejscach, bo akurat się przeprowadzałam. Turlanie po dywanie pożegnało okres na Limanowskiego. Potem zjednoczyły nas stare, drewniane schody w zabytkowej willi na Salwatorze, kiedy pilnowałam domu przyjaciół. Tych schodów już nie ma. Wyrzucono je po remoncie. Spotykaliśmy się też w akademiku. Wilkołak żartował, że chciałby poznać też współlokatorkę. Udawałam, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Patrzyliśmy na nasze nagie odbicie w lustrze. Wyglądaliśmy jak idealni kochankowie. Czekała więc na nas idealna tragedia. Karmiłam go serem camembert i poiłam zieloną herbatą. Robił mi zdjęcia moim aparatem. W końcu był też fotografem. Na jednym z nich wyglądałam zupełnie jak kociak. Nikt nigdy tak mnie nie ujął. Może dlatego, że kochał koty.

Pod koniec naszego *love story* spotykaliśmy się w nowo wynajętym pokoju w luksusowym mieszkaniu. Mieszkałam tam tylko półtora miesiąca. Po nawrocie i szpitalu współlokatorzy się przestraszyli. Chcieli mnie

wyrzucić. Właściciel postawił mi ultimatum, że mogę zostać, ale jeśli zwariuję jeszcze raz, będę musiała się wyprowadzić. To był kłopotliwy warunek. W nowym pokoju było najlepiej. Wysłuchaliśmy soundtracka z *Dziewiątych wrót*. Opowiadałam mu o *Dziecku Rosemary*. Śmialiśmy się z Wilkołaka. Kochaliśmy się. Właściwie nasze ciała same robiły to za nas. Wpatrywałam się w jego oczy. Przenikaliśmy się. Chciałam mu służyć. Czułam się jak gejsza, mniszka, kapłanka, która oddając się mężczyźnie, dopuszcza go do sakramentu. Musiał biec, dziękował, przytulał i uciekał. Zostawałam w dziwnej fazie poorgazmicznej. Takiej, o jakiej pisze Naomi Wolf. W fazie, gdzie kilka godzin po seksie czuje się mistyczną jedność z rzeczywistością. Pamiętam, poszłam wtedy na zakupy do Biedronki. Oprócz rzeczy spożywczych przyniosłam piękny kwiat – kwitnącą różową bromelię. Chciałam z niej uczynić nasze symboliczne dziecko.

To był potencjalnie dobry czas w moim życiu. Miałam studia i dobre stypendium. Dopiero co skończyłam trzydzieści lat. Wynajęłam piękny pokój w rewelacyjnej kamienicy na ulicy Krakowskiej. Miałam szafę pięknych ubrań w stylu francuskim – eleganckich, kobiecych. Starannie o nie dbałam. A także piękne buty, płaszcze i dobre perfumy. Urosły mi nawet włosy. Były znowu bardzo długie, ogniście rude. Wkrótce zaczęłam je systematycznie ciąć. Najpierw sama tępymi nożyczkami odrąbałam dziesięć centymetrów. Później poszłam poprawić do fryzjera, który odciął kolejnych dziesięć. Ciągle wyglądały dobrze. W internecie i na Facebooku przeglądałam zdjęcia ukochanego z dziewczyną. Myślałam, że jest kobietą idealną. Brałam pod lupę jej twarz. Bardzo jej zazdrościłam. Wilkołak sam był jakby oszalały. Mówił nieskładnie, nigdy za wiele. Był pogrążony w bólu z powodu choroby matki, o której zawsze mówił w samych superlatywach. Myślałam, że może od tego, bo przecież musi być bardzo wrażliwy, tak mu się wszystko miesza i nie mówi mi całej prawdy. Miałam

tylko jedno marzenie. Chciałam zasnąć obok Wilkołaka. Czułam, że jesteśmy zrośnięci, mamy jeden umysł, a rzeczywistość brutalnie nas rozrywa. Szczęście odnaleźć moglibyśmy tylko obok siebie, a wspólne noce by je utrwalały. Opowiadałam mu bajki o tym, jak wyjeżdżamy do śnieżnych landów, do zamku w Bawarii, gdzie zamieszkujemy sami, tylko we dwoje. On w prawym, ja w lewym skrzydle. Spotykamy się codziennie. W mojej wizji nosiliśmy oboje czarne eleganckie golfy i nic więcej. Mieliśmy odsłonięte nogi i genitalia. Byliśmy baśniowym królem i królową. Odpowiadał na to, że zabierze mnie autem do lasu. Nie wiedziałam, co mogłoby to znaczyć. Miał rzeczywiście ekstrasamochód. Padał śnieg. Nasypało. Poszliśmy na spacer po czerwonym winie, rzucaliśmy się śnieżkami na Plantach. Byłam szczęśliwa. Przytulaliśmy się i unosiłam się nad ziemią. Kiedy wino wyparowało, odprowadził mnie. Powiedział, że będziemy razem, dopóki sobie kogoś nie znajdę. Przeraził mnie. Płakałam długo. Zakochanie całkiem mną owładnęło. Doświadczałam rzeczywistości jako absolutu, przepełnionego sensem. Śmierć i niepowodzenia losu nie przerażały mnie. Nie robiły żadnego wrażenia. Utrzymywałam się w stanie pseudotranscendencji. Endorfiny otumaniły mnie. Byłam na kosmicznym haju. Towarzyszył mi nieustannie nastrój jak z kompozycji Laurie Anderson. Ale wiedziałam, że nie możemy być razem, że mogę pomówić z nim tylko, gdy wychodzi po papierosy albo po żwirek dla kota. Kochałam go i nienawidziłam naraz. Ta ambiwalencja odciskała na mnie piętno. Dźwigałam ją każdego dnia, aż w końcu zwyczajnie upadłam pod jej ciężarem…

Mars napada

Strasznie paliła mnie czaszka. Włosy w miejscu, gdzie wychodzą z głowy, dokuczały i piekły. Chyba miałam za dużo prądu we łbie. Kiedyś widziałam w jakimś poradniku medycyny ludowej czy alternatywnej, że schizofrenikom rekomenduje się trzymanie miedzianych rurek po to, by rozładować czy uziemić za duży ładunek elektryczny wyprodukowany przez skołowany mózg popaprańca. Zalewanie głowy strugami zimnej wody pomagało, ale tylko na chwilę.

W kabinie prysznicowej zrozumiałam, że kręcą o mnie film. Wpakowali mnie od razu do rozbieranej sceny. Nie było wyjścia. Pierwsza poważna rola. Światła ustawiono nade mną i z boku kabiny. Z każdej strony wjeżdżały kamery. Musiałam dobrze to zagrać. Myłam się, drapałam gąbką i myślałam. Przypominałam sobie ulubione aktorki. Zastanawiałam się, jak one by to odegrały. Wybrałam Scarlett Johansson i wyobraziłam sobie, że nią jestem. Weszłam w rolę. Zrozumiałam, że umieram na raka macicy i uzdrowić może mnie jedynie strumień ze słuchawki prysznicowej kierowany na łono. Byłam naga, uwięziona w kabinie. W dodatku kręcono o mnie film i chorowałam na śmiertelną chorobę. Wodę spod prysznica przesycały substancje chemiczne, które działały jak rentgen i tropiły guzy rozrzucone w ciele. Wyszłam z kabiny. Byłam naga, piękna i mokra. Oglądałam z czułością swój brzuch i to, jak subtelnie przechodzi we wzgórek łonowy pokryty wspaniałym futerkiem z kropelkami. Spojrzałam w lustro wiszące na końcu długiego korytarza wyścielonego czerwonym dywanem. Byłam sama w mieszkaniu. Studenci wyjechali na ferie. W lustrze zamiast swojego odbicia zobaczyłam jakby fotograficzny

negatyw. Obraz miał w dodatku charakter zdjęcia rentgenowskiego, bo cały szkielet był dobrze widoczny. Kości, zamiast białych, były czarne. Przypomniałam sobie, jak podczas ostatniego spotkania z daleką ciotką spod Warszawy dowiedziałam się, że jako dziecko miałam czarne zęby. Pomyślałam, że w końcu wszystko się łączy i wyraźnie widzę, kim naprawdę jestem. Nie tylko wiedziałam, że moje kości są czarne, wypełnione ciemnym szpikiem, ale także czułam tę czerń od środka. Zastanawiałam się, kto, do cholery, jest reżyserem tego całego psychothrillera, surrealistycznego kryminału. Miałam wrażenie, że nad scenariuszem czuwa artystyczna kooperatywa: Hitchcock, Lynch, von Trier i oczywiście Roman Polański. Wytarłam się dokładnie ręcznikiem. Weszłam do pokoju. Potrzebowałam odpocząć, jednak nie było jak. Wszystko wypełniał dźwięk pił motorowych, który nie ustawał przez najbliższych kilkanaście godzin. Warkot słychać było na zmianę z każdej strony, raz głośniej, raz ciut ciszej. Jakaś banda miejskich drwali dorwała się do władzy. Porwała ich dzika żądza wykarczowania wszystkiego, co rośnie, i zalania świata betonem. Dodatkowym problemem, przez który nie mogłam się wyluzować, było przeświadczenie, że w skrzyni łóżka – tam gdzie zwykle jest miejsce na pościel – złożone są trupy. Żeby odpocząć od tej strasznej świadomości, wybiegłam na zakupy do sklepu naprzeciwko, lecz ktoś mnie śledził. Parę kroków ode mnie co rusz przystawał dziwny pies, jakby buldog francuski, ale dużo większy. Na pewno cerber, tylko że jednogłowy. Kupiłam różowe winogrona, kiwi, gorzką luksusową czekoladę, sery camembert, mleko ryżowe i orzechy. Czułam się jak królewna, więc chciałam mieć królewskie *menu*. Niedługo potem zaczęły się te sprawy związane z wojnami gangów i innymi porachunkami. Wszyscy moi byli chłopacy i kochankowie rozpętali trzecią wojnę światową i urządzali coraz to bardziej wyrafinowane akcje, żeby mnie

odbić. Kamienica, w której mieszkałam, zamieniła się w coś na wzór pałacu królewskiego, twierdzy, gdzie byłam zakładniczką. Nie wolno było mi wychodzić. Trwało to przez kilka dni. Czekałam, kiedy oblężenie się skończy, ale było tylko gorzej i gorzej. Zaczęli atakować z powietrza. Ścigały mnie lasery. W kontakty powkładali podsłuchy i kamery. Znali każdy mój ruch. Ciągle słychać było dźwięk samolotów. Nie wolno było mi podchodzić do okna. Strasznie się bałam. Pisałam do znajomych zaszyfrowane esemesy, ale odpowiedzi przychodziły rzadko. Ze złości zdewastowałam karnisz w oknie. Potem wyszłam na korytarz i rozbiłam młotkiem żarówki. Chyba wrócili współlokatorzy i nie rozumieli, co się dzieje. Tłumaczyłam im, że jest wojna. Trochę się przestraszyli, a potem zajęli się swoimi sprawami. Gotowali ryż z sosem pomidorowym i rozwieszali pranie. Dostałam przekaz od tajnych służb, że współlokatorka Azjatka jest tak naprawdę moją przyrodnią siostrą. Obie jesteśmy córkami Żółtego Cesarza. Na znak solidarności wsunęłam stopy w jej piękne pantofle, haftowane w orientalne kwiatowe wzory. Oblężenie trwało i trwało. Dźwięki pił motorowych i samolotów myśliwskich nie pozwalały mi spać. Byłam coraz bardziej poirytowana i zmęczona. W końcu otworzyłam okno i zaczęłam głośno krzyczeć coś na temat pornografii. Nie pamiętam dlaczego. Możliwe, że wydawało mi się, iż następny film z moim udziałem będzie hardcorowym pornosem i znowu nikt nie spyta, czy mam ochotę w nim zagrać. Stojąc w otwartym kuchennym oknie, waliłam rękami w lodówkę, wybijając rytm do piosenek Kazika. Pod oknami stawali kolejni zwiadowcy. Przyglądałam się, w co tym razem ich ubrano. Tajniacy, konspiratorzy, łącznicy, podglądacze. Miałam dość. Znowu byłam sama w mieszkaniu. Zaczęłam na cały głos śpiewać piosenki The Beatles. „*All you need is love. All you need is love. All you need is love, love. Love is all you need*”. Darłam się wniebogłosy. Otworzyłam drzwi na korytarz.

Wszędzie schowani byli szpiedzy. Słyszałam śmiech zza drzwi sąsiadów. Już nie mogłam znieść tego wszystkiego. Wzięłam paszport, włożyłam płaszcz w panterkę i wyszłam przed kamienicę, by wytłumaczyć wszystkim po angielsku, że jestem tylko artystką performerką, a nie żadną głupią królewną czy aktoreczką. Niektórzy się zainteresowali i uśmiechali sympatycznie, jednak nikt nie przejął się mną za bardzo.

Kolejnej nocy wyszłam z mieszkania koło drugiej. Uświadomiłam sobie to, dopiero stojąc na środku Królewskiej na szynach tramwajowych. Zadzwoniłam do Wilkołaka, żeby przyjechał i mnie zabrał. Powiedział, że nie może. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jestem na środku ulicy i go budzę. Wróciłam do pokoju. Położyłam się. Niebawem rozległo się pukanie. Myślałam, że to rodzina przyszła, żeby mnie otruć, ale to byli panowie policjanci. Odetchnęłam z ulgą. Poprosiłam, żeby pomogli mi wyciągnąć trupa spod łóżka. Pomogli, ale trupa nie było… Namówili mnie na przejażdżkę policyjną suką. Poszłam z nimi ochoczo. Cieszyłam się, że w końcu jestem bezpieczna. Podczas jazdy zaczęli nadawać alfabetem Morse’a, więc odpowiadałam, szyfrując wiadomości. Wybijałam palcami rytm o wnętrze samochodu i w ten sposób kodowałam poszczególne litery i znaki. Funkcjonariusze nie mówili za dużo. Wydawali się trochę zdziwieni. Ze stresu byłam usztywniona i napięta. Dojechaliśmy na Wrocławską. Był środek nocy. Nie wiedziałam, gdzie jesteśmy. Wyszłam z suki. Włożyłam ciemne okulary. W ręce kurczowo ściskałam paszport, kartę bankomatową i dokument zaświadczający o przyjęciu schronienia w Sandze Uśmiech Buddy podczas odosobnienia medytacyjnego w Lipowej Dolinie.

Kiedy czekałam w szpitalnym korytarzu na przyjęcie, miałam wrażenie, że jestem w samolocie, który leci nad kulą ziemską, gdzie toczą się wszystkie możliwe wojny świata. Penetrowałam przestrzeń. Śmiało

przenosiłam się w czasie. Z lotu ptaka widziałam urwane głowy, skalpy i bure chmury w kształcie grzyba powstałe na skutek wybuchu napalmu. Przechodziłam przez kolejne poziomy piekła. Ktoś podał mi plastikowy kubek z zimną wodą. W końcu otworzyły się drzwi. Pielęgniarka, która mnie przyjmowała, należała do sekty. Widziałam to w jej oczach. Była cała obwieszona srebrną biżuterią wygrawerowaną w mikroskopijne ezoteryczne symbole świadczące o przynależności do tajnego grona. Powiedziałam, że nie będę z nią rozmawiać, dopóki ma na szyi zawieszony amulet w kształcie krzyża. Schowała go pod bluzkę. Chciałam współpracować. Wszystko zapowiadało się dobrze. Wyglądało na to, że nawet przy przyjęciu w psychiatryku można zachować twarz. Niestety, lepsza wersja zdarzeń szybko zamieniła się w gorszą. Do małej salki, gdzie mnie przepytywano, wszedł zaspany lekarz psychiatra, który akurat pełnił dyżur. Pewnie nie uśmiechała mu się nowa pacjentka w środku nocy. Był wielki i nieskończenie obleśny. Chciał mnie przeszukać. Złapał za cycki. To tak strasznie mnie wkurwiło, że zwinęłam się jak wąż i rzuciłam do walki z personelem. Czułam na piersiach lepki przemocowy dotyk wielkich, władczych łap doktorka. Zaczęłam się drzeć. Wlazłam pod łóżko. Wyciągnęły mnie i obezwładniły trzy pielęgniarki, dwóch salowych i gigantyczny lekarz. Ostrzyknięto mnie środkami uspokajającymi, zapięto w pasy i zostawiono w ciemnym pokoju. Słyszałam odgłosy chrapania kilku nieznajomych osób, z którymi dzieliłam salę. Czułam, jak pasy wbijają mi się w nadgarstki, ale wiedziałam, że już ulatuję w eter, osuwam się i zaraz zniknę. Kiedy się przebudziłam, stał obok mnie Wielki Wódz Bromden z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Zamienił się w czarnowłosą, starą i brzydką kobietę, która chciała mnie lizać, całować i obmacywać. Byłam unieruchomiona i nie mogłam jej powstrzymać. Znowu straciłam świadomość. Kiedy się obudziłam i mnie odpięli, wybiegłam na korytarz,

by głośno zaśpiewać i powitać nowy dzień na pokładzie: „Hej, hej, Mars napada. Dookoła ludzi gromada. Hej, hej, Mars atakuje, żadnej litości nie czuje. Hej, hej, napada Mars, płonie Ziemia, skąd Sawa i Wars…”.

Do góry białkami

Bardzo się zmartwiłam, kiedy zrozumiałam, że nie mam ze sobą szczoteczki i pasty do zębów. Wszystko inne byłoby do zniesienia, ale ten brak odbierał mi dostęp do podstawowego rytuału, który zapewniał spokój ducha. Zadzwoniłam do Telimeny. Obiecała, że będzie niebawem. Telimena to moja przybrana matka. Jest w podobnym wieku do prawdziwej. Ciągle daje mi prezenty i bardzo o mnie dba od wielu lat. Wykłada psychologię na uniwersytecie. Była tego samego dnia wieczorem. Przyniosła mi masę książek, piżamę, dresy, koszulki, torbę owoców, szczoteczkę i pastę do zębów. Napisałam esemesa do ciotki z informacją, gdzie się podziewam, ale chyba ją zaszyfrowałam, więc nie wiem, czy zrozumiała. Poza tym nie było jej w kraju. Bawiła wnuki na Wyspach. Zatelefonowałam do kuzynki businesswoman. Wpadła w odwiedziny ze świeżo upieczonym makowcem, bo akurat otwierała cukiernię. Zawsze miałyśmy różne zdania na tematy gospodarczo-polityczne, a mój ostatni pobyt w szpitalu kompletnie nas podzielił. Uznała to za antyspołeczną formę urlopowania. Dodatkowo zezłościła ją prośba o przyniesienie rzeczy z mojego mieszkania: kremów, bluzek, majtek. Dałam jej klucze. Przywiozła spakowaną torbę, ale nie mogła sobie poradzić z dwuznaczną moralnie sytuacją, jaką jest publiczne reprezentowanie interesów wariatki. No i do tego uzasadnianie tego przedstawicielstwa więzami krwi… To było dla niej zbyt wiele. Nie mogła odnaleźć majtek, dlatego przywiozła nowy zestaw prosto z H&M. Położyła go przede mną na stole w świetlicy szpitalnej razem z rachunkiem i wyszła z krzykiem. Moje wszystkie majtki były koronkowymi lub jedwabnymi stringami w ażury wykupionymi na wyprzedażach w najlepszych second

handach w mieście i przelanymi wrzątkiem. Miały w sobie dużo więcej życia niż ten banalny, sieciówkowy, pseudoprzyzwoity kapitał, którym zostałam obdarowana. Myślę, że ludziom biznesu i kapitalistom trudno jest wspierać interesy wariatów, którzy bądź co bądź z natury są jednak antysystemowi i na pewno rzadko zostają pracownikami miesiąca. Empatia dla nich i im podobnych, we wspomnianych kręgach, zarezerwowana jest na konkretny czas w roku, to znaczy na grudzień. Przejawia się udostępnianiem w mediach społecznościowych kampanii reklamowej Szlachetnej Paczki na prywatnym i firmowym profilu. Szkoda mi znajomości z kuzynką. Często wspólnie bawiłyśmy się jako dzieci: w dom, w sklep, w szkołę. Wyławiałyśmy z rzeki całe mnóstwo tajemniczych obiektów, za co prała nas jej matka. Już w Krakowie chętnie użyczałam kuzynce tabletek uspokajających, gdy ją roztelepał nadmiar biznesu lub afery miłosne. Czuję więc, że potraktowała mnie niesprawiedliwie. Oczywiście jestem na nią wściekła, podobnie jak na wszystkich, którzy nie rozumieją natury chorób psychicznych i używają słowa „wariat” jako obiegowej obelgi. Nie mogę tego darować. Czuję, że tu nawet nie chodzi o mnie, lecz o grupę, której los dzielę i którą w pewien sposób reprezentuję. Na szczęście majty z H&M okazały się lepsze, niż myślałam, i służą mi do dziś.

Najpierw kilka tygodni leży się w pokoju z czerwonymi diodami puszczającymi świecące oczka z białych ścian. To są kamery na sali obserwacyjnej. W pokoju nic nie ma oprócz gęsto ustawionych szpitalnych łóżek, obok których znajdują się stare, odrapane białe szafki. Polskie psychiatryki są bardzo retro. Chyba komuś musi na tym szczególnie zależeć, żeby było tak oldskulowo. Nie wolno odmalowywać ścian, wymieniać leciwych stolików, krzeseł ani żyrandoli, ściągać starych, odchodzących i pożółkłych tapet czy pękniętych kafelków, wieszać

czystych zasłon w prysznicach ani nawet przetykać odpływów i zatkanego kibla. Musi za tym stać jakiś fanatyczny scenograf powołany przez Ministerstwo Zdrowia. Ktoś taki jak Kuśmirowski, który przy wejściu do MOCAK-u stworzył artystyczny projekt zakonserwowanej portierni wyjętej z czasów PRL-u. Specjalnie dla polskich wariatów zarezerwowany mamy styl *vintage*, jak w najmodniejszych berlińskich knajpach, gdzie dealuje się kwasami. Pamiętam, że w pierwszym tygodniu rezydencji – jak zwykle, kiedy każe mi się spędzać noce w jednym pomieszczeniu z osobami, z którymi wcale nie chcę spać – bulwersowało mnie, że nie mam jak się onanizować, ale skrajem świadomości zaczynałam już pojmować, że właśnie przestałam być istotą charakteryzującą się libido. Jeszcze rozumiałam znaczenie słów „masturbacja” i „orgazm”, jednak już coraz mniej potrafiłam sobie wyobrazić, co pozytywnego mogłoby się z nimi łączyć lub jakie doświadczenia reprezentują. Haloperidol, zwany slangowo halopopierdolem – bywa, że nieoficjalnie nawet przez samych psychiatrów – istotnie mnie uszkadzał. Musieli podawać mi nawet tabletki znoszące najgorsze skutki uboczne, takie jak sztywność całego ciała, charakterystyczne przestępowanie z nogi na nogę, ślinotok, podwójne widzenie i maskowatość twarzy. Te środki – akineton i pridinol – to dokładnie te same leki, które podaje się chorym na parkinsona. Wjeżdżają w człowieka z animuszem i sprawiają, że czuje się po nich jak po wychyleniu szklanki szampana z bąbelkami i zjechaniu na sankach z górki albo jak po zejściu z karuzeli. Kiedy lekarz przepisywał mi je poza szpitalem na studiach, ustawiała się do mnie długa kolejka znajomych, którzy pragnęli zwiększyć sobie ilość dopaminy w układzie nerwowym. Dzieliłam się piksami ochoczo, ale po wrzuceniu ich kilka razy wszyscy wymiękali. Woleli wracać do swoich jointów i mefedronów. Zostawałam sama z pomarańczową fiolką dropsów, która przy potrząsaniu wydawała

dokładnie taki sam dźwięk jak pudełko tik-taków. Miałam ją zawsze w kieszeni na wypadek, gdyby na wykładzie dopadł mnie złośliwy zespół neuroleptyczny i wywróciłoby mi oczy do góry białkami. To była zwykle bardzo kłopotliwa sytuacja. Wtedy po omacku wybiegałam z sali wykładowej, by schować się w kiblu, na czuja wydobyć z fiolki dropsa, połknąć i popić wodą z kranu. A potem jeszcze zamknięta w toalecie, siedząc na sedesie, odczekiwałam, żeby weszły mi tabsy, źrenice wróciły na miejsce i mogły pełnić swoją funkcję. W szpitalu byłam załamana tym, że muszę zawiesić praktykę jogi i medytacji. Próbowałam kontynuować siedzenie w pozycji i ćwiczenia na sali między moimi nowymi koleżankami – pacjentkami i ich łóżkami. Przeszkadzałam im jednak strasznie, kiedy chodziły sięgać po ptasie mleczko i paluszki. Nie mogłam się skupić, a do tego wszyscy uznawali, że to, co robię, jest objawem chorobowym i personel podsypywał mi jeszcze więcej prochów. Poddałam się. Oficjalnie porzuciłam praktyki duchowe.

Z Wrocławskiej najgorzej wspominam jedzenie. Już wcześniej w szpitalach było niesmacznie, ale to, co podawali tutaj, wołało o pomstę do nieba. Zawsze to samo: rozgotowane ziemniaki *à la purée* polane szaroburym sosem, spod którego wystawał mały kawałek białego niby-mięsa. Obok kilka kulek groszku albo kupa z buraka. Na śniadanie chleb ledwo co uformowany z białej mąki, plaster salcesonu albo pasztetu, ewentualnie jedna czwarta kostki topionego sera. Wszystko miało taki sam smak, czyli styropianowo-plastikowy. Nie mogłam odróżnić, czy jedzenie jest takie okropne rzeczywiście, czy percepcję zakłócają leki lub choroba. Myślę jednak, że to stara sztuczka NFZ polegająca na tym, by oszczędzać na wariatach. No bo kto normalny uwierzy, że na obiad, piąty tydzień z rzędu, podają śluzowate imitacje prawdziwego pokarmu, zamiast ugotowane, to wydrukowane w 3D? Przecież to dehumanizacja! Szybko

zrozumiałam, że od tego stracę włosy i wylecą mi zęby, więc jak już mnie wpuszczali na teren szpitala, chodziłam na płatną stołówkę. Wydawałam tam systematycznie stypendium doktoranckie, przepłacając za kwaśne zupy oraz wielkie buły z masłem i serem. To ciągle było złe jedzenie, ale przynajmniej prawdziwe. Zanim uzyskałam ów przywilej, długo nie mogłam wychodzić na zewnątrz. Musiałam jeść psychiatryczną plazmę, ewentualnie przeplataną czekoladkami lub owockami przyniesionymi przez znajomych. Wówczas mogłam chodzić tylko na relaksację albo na zajęcia plastyczne. Wszystko to było żenujące, prowadzone przez panie terapeutki wyglądające jak niedoszłe zakonnice ze zmarnowanym życiem. Chciałam przemalować je plakatówkami na coś innego, ale to jedynie pogarszało moją sytuację. Mimo katastrofalnych warunków miałam szalone powodzenie. Na muzykoterapii, przy dźwiękach morskich fal puszczonych z taśmy magnetofonowej, zakochał się we mnie Janusz. Po tym jak oddział poszedł na zakupy do Biedronki, znalazłam na poduszce czerwone czekoladki w kształcie serca. Podrzucił mi je, kiedy nie było mnie w sali. Oczywiście, w psychiatrykach kobiety mieszkają osobno, a mężczyźni osobno i nie wolno im się zbliżać do swoich łóżek pod karą elektrowstrząsów w potylicę, więc akcja wymagała wprawy i sprytu. Kiedy zobaczyłam czekoladki, od razu poleciałam je oddać Januszowi, żeby nawet sobie takich jaj nie robił, bo to ja decyduję, kto mi daje czekoladki, do cholery. Odebrał słodkości, ale zaczął mi opowiadać o swoim domu na wsi, który dopiero co dla mnie zbudował. Pokazywał zdjęcia na smartfonie i przekonywał, że byłabym wspaniałą żoną, która dopełni obrazek. Nie powiem, żeby perspektywa uniknięcia opłat za czynsz w najbliższej przyszłości nie była kusząca. Zwłaszcza że w domu z obrazka mieszkał wspaniały kropkowany spaniel. Na szczęście potrzeba niezależności wygrała. Zniesmaczona Januszem, zadzwoniłam do Gabriela – starszego

mężczyzny, którego gdzieś poznałam i miałam na liście randkowej do odfajkowania. Nie chciałam mieć zaległości. Wytłumaczyłam mu, gdzie jestem, i powiedziałam, żeby przyjechał w Dzień Kobiet. Zjawił się rzeczywiście z początkiem marca, z imponująco wzwiedzioną różą. Był już starszawy, ale musiał być pięknym chłopcem, więc jak zwykle w takim wypadku trochę mnie to uwiodło. Randka trwała tylko czterdzieści pięć minut, no bo dłużej w szpitalu nie wolno. Gabriela spotkałam raz jeszcze po wyjściu. Przyjechał z Katowic. Mówił, że pisze książki i prowadzi audycje radiowe. Wydał mi się zupełnie obcy. Było mi wstyd, że go zaprosiłam, a równocześnie nie mogłam znieść tego poczucia, że miałabym podtrzymywać pozory miłego spotkania. Powiedziałam mu wprost, że w szpitalu byłam bardzo chora i nie wiedziałam, kim jest. Potem uciekłam.

Na oddziale nic nie dało się robić. Wszędzie była banda świrów, w której należało się rozpuszczać. Świry dzieliły się na klasy. Kobiety, którym zostało niewiele do wyjścia, grały w karty w jadalni. Miały ustawione na stolikach świeżo zalane, jeszcze parujące kawy Tchibo. Mieszały je łyżeczkami, wykonując zdecydowane ruchy nadgarstkami. W uszach dyndały im złote kolczyki, a dresy dopasowane były pod kolor T-shirtów. Miały równo pomalowane paznokcie. Na pewno nałożyły dwie warstwy i poczekały cierpliwie, aż wyschną. Pacjentki, które dopiero się pojawiły, łaziły w piżamach i ciągle coś jadły. Z dnia na dzień się od tego rozszerzały. W naszej sali Karina cały czas włączała radio RMF i puszczała filmy na laptopie, a do tego naraz czytała dziesięć książek. Była anorektyczką. Jadła tylko plasterki jabłka i wiórki marchewki. Dzieliła je na miniaturowe kawałeczki i posypywała grubą warstwą cynamonu i stewii. Była naprawdę szkielecikiem. Pani doktor uparła się na nią i najpierw zmuszała ją do jedzenia przy pomocy pilnujących Karinę pielęgniarek, a potem przyłączyła ją do kroplówki. Kroplówkę zawieszono na

metalowym stojaku na kółkach. Karina była niesłychanie dzielna i uparta, brała wieszak ze sobą i chodziła z nim po pokoju i po korytarzach, żeby wytracać dopiero co wpompowane w nią kalorie. Wieszak był podobnej wielkości jak ona. Kiedy szli razem przez korytarz, wyglądali jak bliźnięta złączone rureczkami kroplówki. Do Kariny ciągle wpadała rodzina. Przynosiła jej różne rzeczy: kolorowe magazyny, przed chwilą wyniesione z Empiku książki, płyty DVD, ciepłe swetry i skarpety. Do mnie też przyjeżdżali. Wiadomość o szpitalu w końcu dotarła do rodziców i zjawiali się co jakiś czas. Dostałam w prezencie od ojca zegarek. Sama o niego poprosiłam, bo czułam, że wypada, żeby coś mi dał w tej sytuacji. Matka wpadała ze swoją siostrą, która wróciła z Wysp i chętnie jeździła testować nowe audi ze wsi do Krakowa, zabierając ją ze sobą. Wpadała do szpitala obwieszona srebrną biżuterią, z piknikowym wiklinowym koszem wyładowanym świeżymi warzywami i niedawno ugotowanymi beztłuszczowymi zupami detoksykującymi w stylu brytyjskim. Pod pachą miała też moją matkę. Częstowała nas. Siadałyśmy tak we trzy na korytarzu z twardymi krzesłami pod pupami i degustowałyśmy kolejne specjały. Z inicjatywy ciotki robiłyśmy sobie też *selfie*. W międzyczasie wywalono mnie z mieszkania, bo szaleństwem przestraszyłam współlokatorów. Próbowano także pozbawić mnie stypendium doktoranckiego i usunąć ze studiów. W kompletnym amoku chorobowo-lekowym pisałam na smartfonie kolejne mejle, które mogłyby mi pomóc rozwiązać sprawy bytowe. Moją dzielną postawę udokumentowano nawet w szpitalnym wypisie. Na pierwszej przepustce rodzice zorganizowali wujka i chrzestną, którzy SUV-em zabrali mnie do mojego mieszkania. Miałam godzinę. W tym czasie musiałam spakować cały pokój. Wkładałam kolejne suknie, płaszcze, buty i perfumy do wielkiej torby Ikei. Żeby zrobić na chrzestnej

wrażenie, podsunęłam jej pod nos do powąchania ledwo co otwartą buteleczkę perfum Dolce & Gabbana The One.

Napisałam na Facebook wall: „Kochani znajomi, jestem niestety w szpitalu psychiatrycznym. Mam nadzieję, że niebawem do Was wrócę". Dostałam od nich dużo serduszek. Licznie przychodzili mnie odwiedzać. Buddyści przynieśli skrzynkę obłupionych włoskich orzechów, Julita joginka kilka razy donosiła biosłodycze, Suzie przyniosła górę gorzkich ekskluzywnych czekolad, wiadro migdałów, notatnik, kredki i cienkopisy, Agnieszka zrobiła mi ezoteryczny masaż i zostawiła słoik świeżej zupy z soczewicy. Były mąż wpadł z córką. Pojawiały się też koleżanki artystki, które znają chorobę, Asia kuratorka i Olga. Był też Sławek, a Barti dzwonił codziennie. Wilkołak nie zajrzał. Wpadł za to Kacper, malarz, którego poprosiłam o płyn do płukania jamy ustnej, oraz Gustaw. Przyszedł w ciemno z analogowym aparatem. Założył film i wypalił paczkę fajek. Zrobiliśmy sobie *freak show* z prawdziwego zdarzenia: z jedzeniem truskawek i sesją czarno-białych klatek. Kiedy wróciłam na oddział, panie pielęgniarki przytakiwały, że świetnie wyglądam, bo rzeczywiście na Gustawie chciałam zrobić wrażenie. Zaraz potem ich uwagę pochłonęła walka z anonimową pacjentką terrorystką, która obsmarowywała całą ubikację własnym gównem. Salowe z wiadrami, w niebieskich rękawiczkach i kropkowanych fartuchach, zbulwersowane, chwytały się za głowy.

Po przeleczeniu wystąpił u mnie wtórny brak krwawienia. Psychotropy wybiły kobiecość. Cykle zrobiły się smutne, bezowulacyjne, niewidoczne. Najpierw myślałam sobie, że super, bo zaoszczędzę na podpaskach, ale kiedy mijały kolejne miesiące, a w majtkach miałam ciągle sucho i nudnobiało, zaczęłam tęsknić. Skarżyłam się pani doktor na dziennym. Obiecała zrobić badanie prolaktyny. Rzeczywiście, była strasznie wysoka.

Na miesiączkę musiałam poczekać kilka miesięcy. Czułam się jak wykastrowana. Jakby zabrali mi moc, pozbawili sił witalnych. Jakby przywiązali mnie i podpalili stos.

Gorzki smak czarnej herbaty

Lekarka medycyny chińskiej przepisała zioła, po których mój PMS się rozładował. Przestałam być jak nabita lufa rewolweru. W celu ukojenia nerwów nauczyłam się myć podłogę dokładnie w taki sam sposób, jak robiła to moja matka: na kolanach, precyzyjnie, w milczeniu. Polubiłam gorzki smak czarnej herbaty albo przynajmniej dokopałam się do doświadczenia, że czasem można go lubić. Znienawidzone formularze w robocie zaczęłam wypełniać mechanicznie i postironicznie. Udało mi się zażartować i powiedzieć kierowniczce, że jeśli przyjdzie do biura w dzień swojego urlopu, naślę na nią Inspekcję Pracy, a o swoim ruchu powiadomię dyrekcję instytucji. Na monitor w biurze dałam zdjęcie Arakiego. Twarz przepięknej kobiety, Azjatki o skośnych oczach, żeby zakochiwać się w niej za każdym razem, zanim zdążę znienawidzić ekran. W kłótniach z chłopakiem pozwoliłam sobie na stan zawieszenia wściekłości, oddalenie. Zrozumiałam, że może mieć trochę inaczej niż ja, może nie chcieć uprawiać seksu zaraz po walce na słowa ani w tej samej chwili. Możemy też być smutni albo nie radzić sobie ze złością i może co jakiś czas powstać między nami próżnia. Luka wypełniona nieporozumieniem. Ona nie musi od razu rozerwać mnie na strzępy jak śledzia. Mogę nic nie chcieć od matki ani ojca. Mogę też nawet oficjalnie nie nazywać się artystką i nauczyć jakiegoś fachu, który pozwoli mi zarabiać pieniądze. Może będzie to projektowanie książek?

Górny szczebel

Siedzę w biurze. Jestem sama, bo wszyscy chorzy, a szefowa pracuje zdalnie, żeby się przypadkiem nie zarazić. Właśnie bohatersko doszczepiła się kolejną dawką antycovidową, by swym ciałem stawiać barierę wirusom polującym na kadrę instytucji. Powoli zaczynam się do niej przyzwyczajać. Może nawet trochę ją lubić. Grunt, że przestała nosić harcerskie buty i zrozumiała, że nie będę wycinać kwiatków z papieru. Siedzę i piszę sobie aplikację o stypendium literackie. W międzyczasie sprawdzam upierdliwe mejle i odbieram paskudne telefony. Jest dość miło. Nie zdążyłam zjeść śniadania, więc wyciągam chleb i awokado z plecaka, a z szafki biorę nożyk. Kładę wszystko obok klawiatury przed kompem. Rozglądam się, czy aby nikt nie śledzi mnie schowany gdzieś w kącie pokoju i nie wyrzuci z roboty za jedzenie w miejscu pracy. Bo nie wolno. Można tylko w pokoju socjalnym. Ale jestem przecież sama, znowu nic nie wybrudzę. A poza tym, jak pójdę, to nie będę odbierać telefonu, a teraz powinnam, bo za wcześnie na przerwę. Dzwoni. Mówię pięknie i grzecznie, jaka to instytucja, i wówczas słyszę przemiły, czarujący, niemal uwodzicielski głos pani dyrektor:

– Przyjdzie pani do mnie na rozmowę?

– Tak, tak, oczywiście, ma się rozumieć – odpowiadam i czuję, jak cierpną mi język i końcówki uszu. – O której? – pytam.

– Kiedy pani pasuje. – Dyrektorka zwraca mi swobodę i podmiotowość.

– O, to mogę już.

Wiem, że lepiej nawet nie prognozować, czego chce ode mnie górny szczebel, bo wpadnę w popłoch. Trzeba mieć to za sobą jak najszybciej.

Czyżby w biurze była kamera, którą przeoczyłam? Czy pani dyrektorka podpatrzyła, jak sobie kroję awokado i leję na nie cytrynkę na biurku? Swoją drogą, czerpałam z tego incydentu perwersyjną przyjemność dorwania się do zakazanego owocu i zrobienia czegoś bardzo brzydkiego w biurze – czyli zaspokojenia głodu. Wydrukowałam także z walącym z nerwów sercem kilka kartek *Zapisków*. Strasznie się tym cieszyłam i uknułam sobie w głowie, że całe biuro jest moje, stworzone specjalnie do realizowania moich wizji artystycznych, a dwie pracownice, które je ze mną dzielą, w tym szefową, oddelegowałam dziś do sauny i spa na urlop, żeby sobie odpoczęły.

Wsadzam czapę, kurtkę i rękawiczki, do kieszeni pakuję telefon. Coś jeszcze powinnam zabrać? Rewolwer? Ale nie mam. No to idę. Jestem zaproszona do osobnego pokoju, biura pani dyrektor. Na początku spadam z krzesła. A potem dostaję propozycję zwolnienia. Ma to być dobrodusznym skróceniem mojego biurowego cierpienia. Pani dyrektor dziękuję mi za wsparcie w kryzysie i mówi, że dobrze wie, iż ta praca nie spełnia moich ambicji. Informuję ją, że moja chęć wsparcia oprócz przyczyn ideowych miała także wątek pragmatyczny, jakim jest zarobkowanie, oraz że wolałabym zachować pierwotny termin zakończenia umowy, bo to także zapewnienie spraw socjalnych. Cała ta sytuacja już jest dla mnie przekroczeniem i manifestacją opresji systemowej oraz hierarchicznej natury życia. Moim zdaniem to przestępstwo, że to się w ogóle dzieje. A czy ja mogłabym przez telefon zaprosić panią dyrektor, żeby jej pokazać, jak tnę kilka godzin z rzędu kwiatuszki? No, raczej nie. Nie dochodzi do kłótni, ale ściskamy obie w dłoniach tomahawki. Dyplomatycznie dopytuję, czy jej słowa to rzeczywiście propozycja, czy może raczej sugestia. Upewnia mnie, że ta pierwsza. Dodaję, że wolność to dla mnie wartość nadrzędna oraz że w związku z tym dobrze wiem, jak się

rozwiązuje zawarte umowy. Nie musi się bać, że mnie zniewoli poprzez umowę pracowniczą, tak czy siak się nie dam. Wychodzę. Pani dyrektor chyba rozumie, że ma na pokładzie agentkę Mosadu, ale wie też, że byłoby niedobrze wyrzucać ją z umowy śmieciowej, za pracę, którą jednak wykonuje. Cholerna szefowa musiała się poskarżyć. Biedactwo. Niech szlag trafi jej kierowniczy dodatek do pensji.

Dyrektora informuje mnie także, że jeśli ktoś jest chory, to oczywiście nie przychodzi do pracy, ale że nie wyobraża sobie, że miałby udawać. To na zawsze zdyskwalifikowałoby go. Straciliby zaufanie do takiej osoby. Trzy godziny po całej tej zadymie z szanowną dyrektor zwala mnie z nóg gorączka i łamanie w kościach.

Trudno jest żyć poza systemem, w spokoju, jeśli nie ma się dużego zapasu gotówki, najlepiej takiego, żeby starczył na całe życie. Inaczej trzeba pracować. To zwykle jest podpisanie cyrografu na byczej skórze. Oddaje się cały swój czas i energię za pieniądze, które starczają na opłaty za mieszkanie i jedzenie. Jeśli ma się szczęście, jedzenie może być bardzo dobre. Może też starczyć na kosmetyki, książki i ubrania. W pracowniczym pakiecie mogą być usługi medyczne w prywatnych placówkach. To znaczy, że można mieć zadbane zęby i włosy, ale życia się nie ma. Trzeba się starzeć na stołku. Jest także możliwość brania urlopów macierzyńskich, ale to już jak się trochę gdzieś popracuje. W zasadzie to też jest forma roboty. Rodzi się i karmi nowego partycypanta w podatkach publicznych. Dzięki temu przez rok można nie pracować i dostawać osiemdziesiąt procent pensji. Tyle tylko że to taka sama robota. Albo i gorsza. Nie ma sensu zmieniać pracy codziennie albo co tydzień, bo jej szukanie jest męczące i stresujące, a kiedy się to robi i nie ma w tym czasie ubezpieczenia, wtedy życie jest ryzykowne. Jeszcze bardziej niż zwykle.

„Bravo Girl!”

Ulubiona koleżanka była ode mnie rok starsza i wyższa o głowę. Zawsze miała dłuższe włosy, które były bardzo gęste, zawiązane w gruby, imponujący warkocz. Wspaniale grała w siatkówkę, fikała przez kozły i robiła salta. Jej matka notorycznie zabierała mi ulubioną koleżankę na różne zajęcia dodatkowe. Bywało, że przybiegałam pod jej drzwi, pukałam i pukałam, ale nikt nie odpowiadał albo rozlegał się męski głos, który informował mnie, że nie ma jej w domu. Wtedy czułam się porzucona i smutna. Wracałam do siebie. Z ulubioną koleżanką miałyśmy najlepsze na świecie zabawy. Oprócz śledztwa menstruacyjnego szczególnie pasjonujący był Karlo. To także nie była na pewno typowa zabawa dla małych dziewczynek. Zamiast w lalki, dom, szkołę czy sklep bawiłyśmy się w przemocowy, toksyczny związek psychopaty z piękną, niewinną i delikatną kobietą – Skarlet. Pomysł pojawił się w mojej głowie po obejrzeniu serialu *Scarlett* emitowanego w polskiej telewizji w latach dziewięćdziesiątych. Musiałam mieć wówczas jakieś siedem lat. Inspiracją był patologiczny związek Scarlett z mężczyzną, który się nad nią znęcał, bił ją i zamykał. Tak to pamiętam, choć możliwe, że lekko odbiegam od serialowego scenariusza. Weszłyśmy na dobre w *role playing game*, zamiast w świecie wirtualnym, w rzeczywistym, mniej więcej z taką pasją i zachłannością, z jaką zwykle dzieci wgryzają się w tort śmietankowo-czekoladowy albo w porcję lodów z bitą śmietaną. Trochę jakbyśmy grały w filmie lub w teatrze, a trochę naprawdę. Odgrywanie scen ciągnęło się miesiącami, może nawet latami. Ulubiona koleżanka pukała do drzwi,

mama dawała jej ciasto lub częstowała obiadem, a potem zamykałyśmy się w moim malutkim pokoju i odjeżdżałyśmy.

Bezwarunkowo obowiązywała jedna zasada: to ja jestem Skarlet, a ona Karlo. Nie wolno było tego zmieniać. Karlo zaklęty w ciele ulubionej koleżanki więził mnie i znęcał się nade mną. Wszystko to robił z obłąkańczej miłości. Czasem na mnie napierał, podchodził za blisko, co wcześniej w didaskaliach nakazywałam mu robić. Czułam jego zapach. Nikt nie mógł być bliżej niż ja i Karlo. Mieliśmy relację totalną. Miłość, nienawiść, czułość i przemoc przeplatały się ze sobą, tworząc między nami coraz ciaśniejsze więzy. Niekiedy bawiłyśmy się na zewnątrz albo u ulubionej koleżanki. Zawsze czułyśmy, że robimy coś bardzo niepoprawnego i złego, więc ciągle sprawdzałyśmy, czy nikt nas nie widzi. Proces zabawy porywał nas i penetrował, przekształcał nasze tożsamości, jakby wchodziły w nas duchy zmarłych. Karlo wyjeżdżał i zostawiał mnie zamkniętą. Później wracał, z miłości tłukł mnie i szarpał za włosy. Czasem podawał jakieś zastrzyki. Traktował mnie jak swoją zabawkę, jak przedmiot. Dzięki temu wiedziałam, że mnie kocha. Niczego nie potrzebowałam bardziej niż być jego Skarlet. Filmowa Scarlett już wcześniej była moją obsesyjną fascynacją, kobietą doskonałą. Kiedy pierwszy raz zobaczyłam *Przeminęło z wiatrem*, doznałam wstrząsu. Vivien Leigh w roli niegrzecznej, temperamentnej i namiętnej młodej kobiety zawładnęła moim sercem. Na wakacjach z rodzicami, kiedy miałam sporo czasu na różne eksperymenty, wpięłam sobie w policzki klamerki na pranie, bo chciałam naśladować Scarlett, która dla uzyskania rumianych policzków szczypała się w nie, stojąc przed lustrem. Pomyślałam, że sprytniej będzie uzyskać ten sam efekt za pomocą jakiegoś osprzętowania. Kolejne dni chodziłam z siniakami na obu policzkach.

Pamiętam swoją cipkę z czasów, kiedy byłam małą dziewczynką. Przyglądałam się jej, leżąc w wannie. Czułam, że określenie „siusia” nie całkiem do niej pasuje. Wyglądała jak nacięcie na bułce śląskiej. Z najlepszą koleżanką jakimś cudem dowiedziałyśmy się, że kobiety menstruują. To była dopiero wiadomość. Krew stamtąd, która zacznie w przyszłości cieknąć z nas, ale nie wiadomo dokładnie, w którym momencie. Jak ze śmiercią, wszyscy wiemy, że kiedyś umrzemy, lecz kiedy? Menstruacja była pierwszym sakramentem. Oczywiście w szkole zaproszono mnie z całą klasą dziewczynek na wyjaśnienia tego fenomenu do higienistki. Sponsorowała to firma Always. W prezencie obsypano nas podpaskami na pierwszy raz. Nie mam pojęcia, co musieli sobie pomyśleć chłopcy, kiedy nagle zabrano z sali dziewczynki na jakiś tajemny instruktaż. Higienistka najpierw ważyła i mierzyła wszystkie osoby – mimo że miało to raczej luźny związek z pierwszą menstruacją. Może była to standardowa forma budowania relacji, dzięki którym łatwiej będzie rozmawiać na kolejne intymne tematy: dziewczynkę wstawić na wagę i przystawić do ściany z linijką, sformatować. To było szalenie przykre doświadczenie. Ile bym ważyła i mierzyła, zawsze wiedziałam, że jest źle. Czułam się upośledzona przez własną fizyczność. Od najmłodszych lat wiedziałam, że muszę ważyć jak najmniej, a mierzyć jak najwięcej. Po spisaniu parametrów przez higienistkę na kilka godzin pozostawałam w posttraumatycznym szoku i izolowałam się mimowolnie od świata. Nie rozumiałam ludzi i sytuacji, nie mogłam też rozwiązywać zadań z matematyki, w których zwykle byłam dobra i które sprawiały mi przyjemność. Z najlepszą koleżanką prowadziłyśmy kolejne wiejskie badania dotyczące comiesięcznych kobiecych krwawień. To były lata dziewięćdziesiąte, nikt nie miał komórek, a w domach dopiero co zakładali pierwsze telefony stacjonarne. Miałam limit pięciu połączeń na miesiąc, bo

to było wtedy dla nas strasznie drogie. Na szczęście we wsi przy strażnicy na dole ulicy stała budka telefoniczna – piękna, żółta. Można było wrzucać do niej drobne i łączyć się ze światem.

Paczki z podpaskami, które rozdała nam higienistka, wyposażone były także w ulotki z danymi kontaktowymi firm produkujących asortyment higieniczny. Znalazłyśmy numery telefonów. Poszłyśmy także do sklepu GS specjalnie, żeby spisać telefon z opakowania tamponów OB, bo o tamponach to już nam nikt nic nie powiedział. Trzeba było wszystko wyczytać sobie samej z „Bravo Girl!”. Więc okupywałyśmy budkę. Zawsze dzwoniła ulubiona koleżanka. Dla mnie to było zbyt stresujące. Za to przygotowywałam pytania: ile można mieć lat, żeby użyć pierwszego tamponu? Czy od tamponu można umrzeć? Co to jest błona dziewicza i czy można ją sobie zepsuć tamponem? Wymyślałam też bohaterki, w które wcieli się telefonicznie ulubiona koleżanka, mówiąc na przykład: „Już zaczęłam mieć okres i bardzo chciałabym uprawiać seks, ale nie wiem, czy mogę, jak mam tampon”. I tym podobne… Na poważne przeprowadzenie akcji, niestety, zawsze brakowało drobnych, bo żarłoczna budka wszystko połykała. Wiecznie była głodna. Mogłyśmy się w niej zamknąć jak w prysznicu, musiałyśmy jednak uważać na przezroczyste szyby. Wiedziałyśmy, że wyglądamy podejrzanie, a na wsi wszyscy wszystko wiedzą i widzą.

„Bravo Girl!” wytropiła ciotka. Raz nawet wydarła mi je z rąk i zarekwirowała, choć w moim domu powiedziane było, że mogę czytać wszystko, co chcę. Ojciec oficjalnie zniósł cenzurę. Jak zwykle poczułam się złą, małą dziewczynką, która deprawuje porządne, wielodzietne rodziny. Było mi bardzo przykro i się wstydziłam. A przecież to nie ja odpowiadałam za to, co piszą w „Bravo Girl!”. Ciotka myślała chyba, że to jakieś pornosy dla dzieci. Skąd coś takiego może w ogóle przyjść kobiecie

do głowy? Ona była zresztą dość dziwna. Lubiła nas co jakiś czas pobić i utrzymywać w poczuciu winy. Za to robiła świetne ciasta i gotowała ekstremalnie dobre obiady, i to każdego dnia.

Pierwszy raz u pani ginekolog pojawiłam się po tabletki antykoncepcyjne tuż po osiemnastce. Poszłyśmy we dwie z najlepszą przyjaciółką. Obie martwiłyśmy się, że nasze waginy są za bardzo wyrośnięte. Pani doktor miała gładko upięte, ulizane czarne włosy i starannie namalowane brwi w miejscu, gdzie powinny być prawdziwe. Ubrana była w biały fartuch. Miała bardzo długie, szpiczaste, pomalowane paznokcie. Na jej biurku stał talerz z drobno pociętymi, obranymi owocami: jabłko i brzoskwinia, a także słupeczki z marchewek. Byłam przygotowana, ubrana w spódnicę. Tak doradzano w „Bravo", żeby nie paradować z gołą pupą po gabinecie, bo to mogłoby być dodatkowo krępujące. Dopiero po trzydziestce udało mi się to olać i dzięki temu mogę chodzić do ginekologa w dżinsach. Zanim pani doktor zaprosiła mnie na fotel, który wyglądał jak klasyczne narzędzie tortur, kazała mi się podmyć w specjalnie do tego zaprojektowanej umywalce za zasłonką. Od tej pory zawsze, kiedy idę do ginekologa, myję się wcześniej pięć razy. A ostatni raz myję się dwie minuty przed wyjściem z domu. W Krakowie jednak nikt nigdy nie kazał mi się podmywać. Wręcz odwrotnie, kiedy przestraszona, drżącym głosem pytałam, gdzie mogę to zrobić, bardzo dziwnie na mnie patrzono. Udawano, że nie dosłyszano.

– Niech siądzie, niech rozłoży nogi.

Obróciłam się za siebie, żeby zobaczyć, do kogo mówi lekarka. Nikogo nie było. Zrozumiałam, że to komunikat do mnie. Tylko dlaczego w trzeciej osobie? Czy dzięki temu miałam udawać, że to nie moja naga wagina? Takie rozwiązanie wydawał się proponować ginekologiczny *savoir-vivre*. Lekarka wpakowała we mnie zimne i metalowe okropne narzędzie. Byłam

jeszcze dziewicą, więc zaatakowała mój tyłek. Wprawdzie wcześniej przeczytałam w „Bravo” o tym, co mnie czeka, ale tak czy owak, było strasznie. Miałam wrażenie, że pani ginekolog patrzy na mnie z obrzydzeniem i nienawiścią. Na szczęście szybko się mnie pozbyła. Nic nie odpowiedziała na pytanie, czy moja wagina jest za duża, pozostawiając mnie zalęknioną na zawsze. Wziernik jest metalowym instrumentem ginekologicznym. W internecie piszą, że jest łagodnie zaokrąglony, żeby nie uszkodzić narządów pacjentki, ale to ciągle zimny metalowy obiekt, który obca osoba wsuwa ci do cipki. Obowiązkowo, najlepiej przynajmniej raz w roku. Są podejrzenia, wysnuwane głównie przez feministki, że system medyczny trochę jednak nadmiernie wymusza systematyczność ginekologicznych oględzin po to, by kontrolować pacjentki. Bywa, że w niektórych krajach obowiązkowe badania świadomie projektowane są tak, by represjonować kobiety. Myślę, że jedynie poprzez rozerotyzowanie, co nie jest zawsze możliwe ani łatwe, można je oswoić. Więc jedyną opcją, by znosić obcych ludzi wsadzających ci metalowe szczudła w kwiat, jest podejście perwersyjne i szukanie orgazmicznych wymiarów tej poniżającej procedury. Można się trochę wtedy nawet podniecić, by uszczknąć z tego odrobinę frajdy, zabrać, co swoje, w ten sposób odwrócić kota ogonem i uznać tortury, których wymaga życie, a szczególnie życie w cywilizowanym społeczeństwie, za dopełnienie perwersyjnych marzeń z pogranicza BDSM.

Nienawidziłam, kiedy ulubiona koleżanka wygrywała ze mną w karty albo w warcaby. Bardzo się złościłam. Żeby sobie ulżyć, musiałam wyrzucać ją z domu. Zdarzało nam się czasem pobić. Zaczynało się niewinnie, na żarty, ale jak nas porządnie opętało, nie mogłyśmy się od siebie odkleić i kłębiłyśmy się, waląc wzajemnie czym popadnie. Byłam mniejsza i młodsza, dlatego musiałam sięgać po chwyty specjalne, takie jak

rozdzieranie rajtek lub szukanie leżących w pobliżu obiektów, którymi mogłabym się wesprzeć. Walki dopadały nas nagle. Kolegowałyśmy się zupełnie zwyczajnie, ale co jakiś czas siły ciemności rzucały nas nawzajem sobie do gardeł. Raz zdarzyło nam się to w polu ziemniaków, zakopałyśmy się w ziemi i wyszłyśmy z bójki całe zakurzone i podrapane. Innym razem napadło nas przy znajomej dziewczynce. Doprowadziłyśmy ją tym incydentem do stanu totalnej dezorientacji. Później demony wojny szpiegowały mnie i dręczyły jeszcze równie bezwzględnie w relacji z chłopcem, lecz stawiłam sobie za priorytet wykarmienie czortów własnym cyckiem i przebłaganie, by poszły gdzie pieprz rośnie.

Optymalna równowaga energetyczna

W życiu jakoś ciągle brakowało miejsca na sztukę. Albo upychano ją do galerii, gdzie od razu stawała się elitarna, przez co odstraszająca, albo zostawała w pracowniach wynajętych za ostatnie grosze, gdzie ambitni malarze po ASP próbowali wykręcić jakąś wizualną reprezentację, która zostałaby do nich doklejona jak wizytówka. Dzięki temu byliby rozpoznawalni i sprzedajni. Mnie na pracownię nie było stać. Ledwo płaciłam za kolejne wynajęte pokoje i taksówki, które zamawiałam, by organizować przeprowadzki. Wówczas postanowiłam rzucić całą sztukę w cholerę i zaczęłam tańczyć. Tańczyłam przez trzy lata na kolejnych lekcjach kontaktu-improwizacji, tańca współczesnego, dżemach i imprezach otwartych w szkole tańca. Spełniałam się w tym żywiole. Lubiłam patrzyć w lustra na sali tanecznej i podglądać własne ruchy oraz to, jak przemieszczam się wśród tańczących po wielkiej sali z uśmiechniętym krakowskim żyrandolem. Takim jaki na wsi może wisieć jedynie w kościele. Tańczyłam, dopóki nie uszkodziłam sobie stawów kolanowych i zaczęłam mieć problemy z chodzeniem. Jeszcze zanim to nastąpiło, zapragnęłam nauczyć się sztuk walki. Chciałam być w czymś naprawdę dobra, a los ciągle wydzierał mi taką możliwość z rąk. Mogłam trochę pomalować, trochę potańczyć i trochę porysować, ale niczego nie było mi dane zrobić do końca. Potrzebowałam opanować jakąś dyscyplinę, najlepiej dość nietypową, by poczuć, że mam pod kontrolą choćby mały wycinek rzeczywistości. Byłam pod wrażeniem tego, czego nasłuchałam się o wschodnich sztukach walki. Nie chodziło w nich o negatywny wymiar konfrontacji, ale odwrotnie – o zaprowadzenie harmonii, uporządkowanie

własnych energetycznych nadmiarów. Rozpoznanie w przeciwniku partnera i zbalansowanie sił. Pragnęłam duchowej przemiany i ładu w życiu. Ciągle mieliłam się w chaosie jak mięso w maszynce. Filozofia sztuk walki obiecywała, że można zobaczyć siebie i przeciwnika jako elementy wspólnego procesu, które wzajemnie na siebie wpływają w celu zaprowadzenia optymalnej równowagi energetycznej. Kiedy ktoś mnie atakuje, wiem, że robi to, bo włada nim siła, która go opętała. Działa nie tylko przeciw mnie, lecz także przeciw sobie samemu. Można mu pomóc, uziemiając energetyczną nadwyżkę.

Przepełniona takimi ideami, zapisałam się na intensywny kurs do szkoły Czerwonego Smoka. Po trzech zajęciach wyleczyłam się z pasji i musiałam bandażować całe ciało. Stoczyłam kilka istotnych pojedynków, wszystkie przegrałam. Cała moja energia została bez problemu uziemiona przez uczniów Smoka. Jeden odmówił walki ze mną, bo uznał, że mogę rozłożyć go na łopatki ze śmiechu. Zwrócił też uwagę na długie kolczyki, w których gotowałam się do boju, gdy staliśmy naprzeciw siebie. Nie wiem, co o tym myśleć. Kiedy po kontuzjach doszłam do siebie, uznałam, że pewnie bardziej pasuje do mnie *qigong* lub *tai chi*. Na pewno coś subtelniejszego, gdzie w kontakcie będę raczej ze swoją energią niż z realnym napastnikiem.

Poprzez język

Są ludzie, którzy muszą zajmować się wychowywaniem dzieci, opieką nad nimi, przekazywaniem życia i zasilaniem go energetycznie. Ale są też matki duchów. Te, które życia nie podają dalej, lecz jakby przejmują je zza siebie. Sięgają w tył, do przodkiń. Wsłuchują się w szepty dusz i wypatrują zaklętych symboli. Eksplorują wewnętrzne korytarze. Weryfikują, jak ich plany wpisują się w konstrukcje świata. Im nie wolno rodzić dzieci. Muszą pozostawać czujne… – myślę, ale dzwoni już przypisany do mnie cholerny biurowy telefon, który bezczelnie, zuchwale i prostacko wpycha mi się w codzienność i przerywa myśl. Pewnie wlazł w niego jakiś dokuczliwy demon. Udaje mi się uruchomić język i drobnej rangi procesy intelektualne, by umówić złaknioną kultury klientkę z dzieckiem na warsztaty rysunku, wklikać się w formularze, przeklikać do mejla i odesłać jej potwierdzenie udziału. Kobieta wylewnie mi dziękuje. Opowiada o swoim dziecku, które prawie nie ma ręki. Bardzo potrzebuje rysować, żeby jednak uświadomić sobie, że ją ma. Tłumaczy, że poprzez zapis na warsztaty uchronię ją przed tułaczką po szpitalach. Mówi, że „całą mnie ozłoci” w ramach podziękowania. Odkładam telefon i lecę się wysikać. W biurze często chodzę sikać, a żeby móc to robić skutecznie, piję na przemian bardzo dużo wody i herbaty. W ten sposób mogę często spacerować i zamykać się w kiblu, gdzie jestem sama ze sobą i nie czyha na mnie brzęczący telefon ani pikający mejl. Myjąc ręce, mimowolnie wyobrażam sobie, jak to by było, gdyby mnie ktoś ozłocił. To znaczy co zrobił? Obsmarował brokatem, takim jakiego się używa na warsztatach plastycznych? Przemalował sprejem złotego koloru? A może chciałby mi oddać złote kolczyki

i naszyjniki, żebym sobie wzięła i sprzedała. Dzięki temu nie musiałabym pracować. Miło by było. Czasem sobie wyobrażam, że okradam w parku staruszki ze złotych pierścionków. No dobra, z kolczyków też, chociaż to wymaga brutalniejszej interwencji w ciało, bo złodzieje nie mają zwykle czasu ściągać szlachetnych metali z uszu w sposób delikatny. Dzięki trzem takim incydentom mogłabym nie pracować przez miesiąc. Oczywiście to zależy, jakie złoto nosiłyby moje ofiary, stop brytyjski czy ruski. Krakowianki pewnie mają całkiem niezłą biżuterię. Na wsi nie byłoby się nawet za co zabierać.

Pozwalanie życiu na grabienie mnie z czasu i energii w tak gruboskórny sposób, jakim jest skazanie na nudną, mało płatną pracę etatową wykonywaną od bladego świtu, to zgoda na uwikłanie w relacje przemocowe. Rano chcę spać. Zawsze. Przynajmniej do dziesiątej. To nie jest widzimisię, lecz skutek uboczny kwetaplexu. Kiedy wstaję, chociaż nie wiem, jak bym chciała dobrze się ubrać i pomalować, by partycypować w społeczeństwie, jestem co najwyżej w stanie zdjąć piżamę i wcisnąć się w dżinsy, a czasem i to idzie mi opornie.

Kiedy napadają mnie mroczne myśli, których występowanie mój psychoterapeuta przypisuje stanowi wewnętrznej dekompensacji, wydaje mi się, że zgoda na życie i funkcjonowanie wśród ludzi, już sama w sobie, jest podpisaniem się pod dehumanizacją, przemocą i łamaniem praw człowieka. Podaję psychoterapeucie liczne przykłady potworności, by argumentować, że to świat jest zdekompensowany, a nie ja. Opieram się na klasycznych przykładach, jakimi są nierówność społeczna, bieda, segregacja czy konflikty polityczne, na skutek których cierpią niewinni. Nie przekonuję go. Twardo obstaje przy swoim – konformista.

Nie przypominam sobie, żebym ostatnio cokolwiek wymyśliła. Wszystkie te litery zasupłane w słowa, a później zdania, akapity i rozdziały

pojawiły się same. Bardziej niż je napisałam, weszłam w stan letargu, w którym dorwały się za pomocą moich rąk do klawiatury komputera. Jak dusze umarłych, które przekazują żywym komunikaty poprzez usta medium. Pisałam dokładnie to, co dyktowała mi intuicja. Śniłam, halucynowałam, miałam wizje. Takie same jak zazwyczaj, odciskające się na umyśle niczym atramentowe pieczątki na drukach pocztowych – z impetem, z hukiem, dosadnie, czasem nawet boleśnie. Długo dawałam sobie z tym spokój. Przez lata przyzwyczaiłam się do pojawiających się chmur myśli, które czasem znikały, innym razem formowały się łagodnie w kłębiaste baranki lub pojawiały nagle, napadały mnie i wysypywały z siebie kule gradowe lub pioruny kuliste. Miały naturę hipnagogów pojawiających się podczas zasypiania. Tym razem je spisałam. Gdybym przełożyła to na kiedy indziej, nic by z tego nie wyszło. Palce stukające o klawisze klawiatury niczym stemple dociskały treści. Inaczej bym zapomniała. Myśli i wspomnienia rozpuściłyby się w niebycie. Pomysł na zapiski pojawił się niczym oszołamiający istotny kapitał. Jakbym dostała spory przelew na wirtualne konto energetycznych zasobów kreatywności i była zmuszona konsekwentnie wydatkować przychód. A może to był sposób na ocalenie własnej integralności podsunięty przez podświadomość? Może poprzez opowiedzenie historii, w której choroba w końcu nie byłaby wyparta czy ukryta, chciałam odzyskać siebie? Od dziesiątego roku życia systematycznie prowadziłam dzienniki. Przerwałam, kiedy pierwszy raz zachorowałam, mając dziewiętnaście lat. Kiedy miałam dwadzieścia trzy, połowę zapisanych zeszytów cisnęłam w ogień, palący się w kominku dopiero co poznanego przyszłego męża. Chciałam, żeby opisane w nich cierpienie zostało zapomniane, oczyszczone. Nie potrzebowałam już o nim pamiętać. Miałam dobre perspektywy i nimi wolałam się zająć. Pragnęłam niczym Feniks odrodzić się z popiołów. Pisanie w dziennikach było zwykle

przyjemnym rytuałem, którym kończyłam dzień. Miałam wrażenie, że spisywanie myśli w istotny sposób je kotwiczy i sprawia, że nabierają wyrazu, lepiej się konstruują. Trochę też na nich płynęłam albo fruwałam jak na latającym dywanie. Zaczynałam od jednego wątku, by przenieść się w inny, który ledwo go dotykał, a jednak stanowił pomost, po jakim ślizgała się opowieść.

Pamiętam dobrze, kiedy zaczęłam przyglądać się narracjom. Byłam wtedy małą dziewczynką. Siedziałam przy kuchennym stole dziadków. Bardzo pięknym, wykonanym z grubego kawałka drewna przyciętego w możliwie najprostszą formę. Otaczały mnie ciotki i kuzyni. Matka chwaliła się moimi rudymi gęstymi włosami. Na to jej najmłodsza i najpiękniejsza siostra o kruczoczarnych włosach i figlarnych oczach jakby się przebudziła i skomentowała, że włosy wcale nie są takie grube, jak się matce wydaje. Zrobiło mi się bardzo przykro, jednak nie chciałam dać tego po sobie poznać. Zesztywniałam i zrobiłam się czerwona na twarzy. Trwałam tak zmieszana, smutna i zawstydzona, kiedy zorientowałam się, że rozmowa przy stole dotyczy już czegoś zupełnie innego. Nie mogłam, niestety, przypomnieć sobie, jak to się stało, że wszyscy zapomnieli o moich włosach. Mnie samej pamiętanie o nich jako o zdemaskowanej porażce przysłoniło świat. Zaczęłam uważnie wsłuchiwać się w rozmowę prowadzoną przez zebranych członków rodziny. Podawali sobie zdania, jakby rzucali do siebie piłką, którą każdy odbijał w innym kierunku. Punkt, od którego piłka zaczynała lot, i miejsce, gdzie znajdowała się na końcu – w rękach ostatniego gracza – były zupełnie gdzie indziej. Jeśli nikt nie pamiętał, czego dotyczyła rozmowa, zostawały tylko dwa zdania rozstrzelone w czasie, które wyszły z ust różnych osób. To wspomnienie tkwi we mnie mocno, choć przecież nie sądzę, żeby było niezwykłe. Mam wrażenie, że przeżywając tę sytuację, niechcący się w niej zatrzasnęłam, jak

mysz w pułapce. Była pełna najeżonych i kolczastych emocji, których obecność zawsze uwiera – przez co nieprzyjemnie intensyfikuje doświadczanie własnej obecności. Od dziecka nękały mnie kłopotliwe myśli. Pamiętam, że szczególnie długo nie mogłam poradzić sobie, i nadal sobie nie poradziłam, z niemożliwością pojęcia tego, jak to jest, że ja to ja, a nie ktoś inny. Jak to możliwe, że centrum świata, który postrzegam, i rzeczywistości, której doświadczam, ulokowane jest akurat we mnie, a dokładniej: w mojej głowie? Przecież jest nieskończona liczba innych możliwości, które byłyby zarówno sensowne, jak i całkiem pozbawione logiki. Nie wiem też, czy kiedy budzimy się rano, możemy być pewni, że wczoraj również byliśmy. A może wspomnienia dni minionych dokleiły się nam do marzeń sennych z ubiegłej nocy, ale nie są niczym więcej niż nimi?

Najpoważniejszy problem natury ontologicznej dopadł mnie, kiedy miałam jakieś czternaście lat. Wtedy mniej więcej zaczęłam palić trawę oraz zadawać sobie i wszystkim dookoła pytanie z pogranicza filozofii i matematyki: czym różni się wszystko i nic? Rysowałam oba te zbiory, żeby zrozumieć ich wzajemne relacje. Teraz, gdy to wspominam, nie czuję cienia podniecenia, lecz pamiętam, jak bardzo mnie ta myśl elektryzowała za młodu. Kiedy wyobrażałam sobie wszystko, wypełniało ono byt swoją treścią, więc brakowało już miejsca na nic. Podobnie było z nic – także dotyczyło całości. Tak więc wszystko wykluczało nic, razem nie mogły się pomieścić. A jednak w życiu ciągle operowało się obydwoma tymi słowami. Nic i wszystko były udomowione i wszędobylskie, ale nieprawdziwe! Może były tym samym, tylko że po dwóch różnych stronach – jak skarpetka przewleczona na lewo? Oczywiście wówczas ta metafora wydałaby mi się zbyt banalna. Większość znajomych, z którymi o tym rozmawiałam w Rock Clubie, nad kuflem nielegalnie wychylanego piwa, wyśmiewała mnie i machała ręką z politowaniem. Byli i tacy, zwykle

ci gustujący w psychodelikach różnej maści, którzy patrzyli mi głęboko w oczy. Ich źrenice pulsowały. Kiwali głowami z szacunkiem i ze zrozumieniem. W Beskidzie Żywieckim szczególnie popularne były grzybki psylocybinowe, które gęsto zarastały niegdysiejsze baranie pastwiska. Kto tylko ich zapragnął, mógł sam sobie nazbierać. Beniamin, szanowany starszy ćpun, nie tylko mnie wysłuchał, ale także zwierzył się ze swojej pokrewnej bolączki. Nieustannie frapował go problem kwadratury koła. Na szczęście miałam wtedy jeszcze inne, mniej poważne sprawy, które zajmowały myśli. Takie jak to, gdzie schować się z papierosem na przerwie w gimnazjum. Albo co sądzić o najlepszej przyjaciółce i ulubionej koleżance, które, by mnie otrzeźwić na jednej z domówek, gdzie od nadmiaru wódki straciłam przytomność, rozebrały mnie do naga i wrzuciły do wanny z lodowatą wodą.

Po studiach na akademii, gdzie latami zajmowałam się pracą z obrazem, słowa wydawały mi się miernym sposobem, za pomocą którego relacjonować można emocje, a same myśli nie jawiły się jako wystarczająco pociągające. W moim doświadczeniu klasycznym paradoksem był konflikt intelektu i emocji, niewygodny i uwierający. Rozszczepiał mnie na dwie, często sprzeczające się ze sobą, części. Sądziłam, że przedstawić go można tylko w zaklęty sposób – poprzez obraz, formę, dźwięk, lecz nie poprzez język. Ten rozpoznawałam jako przynależny do porządku naukowego, uniwersyteckiego i instytucjonalnego, zbyt oczywisty. Nie miał ciała. A to ciało wydawało mi się tym, co ukradła mi kultura. I to je chciałam dla siebie odzyskać. Jako dziewczynkę pozbawiono mnie radości z ruchu i używania głosu. Na lekcji muzyki dostałam pierwszą w życiu dwóję, a na wuefie myślałam tylko o włosach na nogach, które dyskwalifikują mnie z gier zespołowych. Już jako dziesięciolatka podglądałam koleżanki z klasy – te chudsze i wyższe.

Zazdrościłam im piękna, którego brak w sobie rozpoznawałam. Trudno mi było śpiewać przed innymi dziećmi. Trudno robić fikołki w wielkiej sali gimnastycznej przed tłumem innych dziewczynek, chłopaków i panem wuefistą. Do dziś prześladuje mnie koszmar, w którym wielokrotnie serwuję piłkę i za każdym razem wpada ona w siatkę, zamiast przedostać się na drugą połowę boiska. Na szczęście w liceum mieliśmy wuefistę podrywacza, który szczególnie mnie lubił. Dzięki temu mogłam się trochę wyluzować. Zrozumiałam, że świata w ogóle nie obchodzi to, jak robię fikołki, tylko zupełnie inne rzeczy, którymi mogę nauczyć się żonglować dla własnej korzyści. W języku było mi się łatwo zgubić. Swego czasu zawaliłam skrzynkę mejlową kochanka listami miłosnymi. To był znany malarz. Nie odpowiedział na żadną wiadomość. Byłam nadmiarowa w słowach, kiedy już się do nich dorwałam. Nic dziwnego, że spłoszyłam artystę. Miłosne niepowodzenie i porażka komunikacji mejlowej zraziły mnie na kilka lat do pisania. Potem przyszła fascynacja Wschodem. Chciałam tylko tańczyć, całować się i babrać w farbie. Wydaje mi się jednak, że unikanie posługiwania się tekstem jako pełnowartościowym medium artystycznym wynikało tak naprawdę z czegoś innego. Myślę, że długo bałam się powiedzieć pewne rzeczy wprost. Wstydziłam się opowiedzieć o chorobie i ją nazwać. Chciałam wyprzeć i ukryć przed światem historie o zamykaniu w szpitalach, wiązaniu pasami do łóżka, tyciu po lekach i otamowaniu myśli. Potrzebowałam to komunikować, ale wydawało mi się, że muszę na zawsze dźwigać brzemię tajemnicy. Liczyłam, że ten, kto ma zrozumieć moje zdjęcia i obrazy, zrobi to. Przed resztą uchroni mnie symbolika wizualnej reprezentacji, jej komunikacyjny potencjał, a zwłaszcza niejasność.

Aż w końcu doszło do mnie, że trzeba powiedzieć parę rzeczy wprost. Opisać dosłownie. Język ma moc performatywną. Pewne akty, takie jak na

przykład zawarcie małżeństwa, dokonują się poprzez wypowiedzenie słów. Zmieniają rzeczywistość. Podczas pracy nad tym tekstem czynność pisania nabrała dla mnie wymiaru przyjemnego zajęcia. Bywało, że klikanie w klawiaturę było trochę podobne do robienia na drutach czy haftowania, czym nigdy się nie zajmowałam. Mogłam sobie jednak wyobrazić, że to odstresowujące i przyjemne. Zaplątywanie sensów w kolejnych linijkach tekstu stało się dla mnie także właśnie taką zabawą. Gdybym brała to tylko na serio, spłoszyłabym się.

Zjazd

Dobrym ćwiczeniem jest opisywanie snów. Uczy formułowania słów bez zadęcia, uświadamia, jak łatwo skręcić w jego stronę, jak kusi koloryzowanie i dodawanie spajających silikonów w miejscach, gdzie konstrukcja jest chwiejna. Spisywanie snów jest ważną praktyką wewnętrznej uczciwości i pracy z pojawiającymi się sennymi obrazami. Te są z natury bardzo efemeryczne – są i nie ma ich naraz. Mają kształty i kolory, jednak szybko znikają, z godziny na godzinę. Poza tym sny lubią być opisywane, i to konsekwentnie. Z wdzięczności się rozrastają, są bardziej wyraźne i kolorowe. Można czasem się wzruszyć ich surrealistyczną logiką. Śnią mi się góry. Zielonkawe, pozwijane jak ogon kameleona, a przecież co mnie łączy z górami? Mój Beskid, w którego kotlinie dorastałam? No tak, oczywiście to nie byle jaki motyw, nieprzypadkowy. Ale dlaczego tej nocy? Przecież nigdy nie śniły mi się góry! Szukam, szukam, nie znajduję odpowiedzi. Pozwalam sobie zostać z niewiadomą. Wtedy nagle przed oczami pojawiają mi się zdjęcia z wycieczki, które wczoraj przeglądałam. Mojej własnej roboty, szybkie, reporterskie, niedokładne, „puszczone", z Tatrami. Znalazło się. Te łączenia kotwiczące sny w realności bywają dziwaczne. Innym razem we śnie okładam się pięściami z najlepszą przyjaciółką. Rany boskie, dlaczego, do tego to jeszcze nigdy nie doszło, choć ona często wpada mi w sny. Ostatni sen był przyjemny, dopóki nie pojawiła się jej sylwetka. Och, jaka przepiękna, w dostojnym płaszczu, takim jaki na pewno nosiłaby jej matka, cudowna pani Emmanuelle. Stoi przede mną, nie wiem dlaczego. Co symbolizuje? Po co przychodzi? Co mam dla niej? Piękna jest i mądra, i zdolna, i obrotna. Wszystko to wiem, z wszystkim się zgadzam, ale po co mi dreptać w snach, no po co? Przypominam sobie moją szefową? Czy

jedna wlazła w drugą? Przecież one się nie łączą! A jednak nadmierna bliskość drugiej kobiety wzbudza grozę i podziw, miłość i strach, żądzę dominacji, ale i potrzebę bycia zdominowaną, liżącą grzecznie jej stopy. Wszystko to miesza się ze sobą, tworząc wybuchowy koktajl. Innym razem śni mi się most, lecz bez mostu, samo rusztowanie. Praga, może most Karola, nie, nie ten. Piękne, kolorowe miasto. Idę, już idę, kiedy okazuje się, że trzymam się barierki, bo jedynie to z mostu zostało. Stoję na żeliwnej konstrukcji, pode mną jest straszna dziura, nic nie ma, ani miasta, ani mostu. Nie wiem, co jest, już tam wlazłam, nie widziałam, że nie ma po czym iść. Jak to możliwe? Szefowej by się to nigdy w głowie nie zmieściło. A jakoś wlazłam. Co teraz? No, nie wiem. Chyba trzeba się będzie wycofać, znaleźć inną drogę…

Rzecz, której, jak mi wiadomo, nijak nie da się kupić, to pamiętanie snów. Może pojawić się jedynie jako nagroda za opiekowanie się własną podświadomością.

Pobyt w ciele

Wysłałam mejla ze zgłoszeniem na *open call* związany z prezentacją projektów artystycznych na Seminarium Feministycznym w Warszawce. Seria z dziewczynami była gotowa. Czarno-białe zdjęcia płakały z braku lajków. Chciały się pokazywać. Musiałam im dopomóc. No bo kto był ich matką, kto? Kto miał im łzy ocierać? Kompletnie mnie zszokowało, kiedy zamiast negatywnej odpowiedzi wysłano mi zaproszenie. Tydzień siedziałam w czytelni Jagiellonki, myśląc o seksie i kobietach oraz o tym, jak najlepiej mówić o tej koniunkcji w kontekście mojego projektu.

Osiem sztuk na osiem miejsc. *Full*. Siedzę w pełnym przedziale. Ciała towarzyszy podróży emitują ciepło. Tę samą funkcję pełnią grzejniki PKP. Jest zaduch i upał, mimo że dopiero luty. Przedział zamienia się w szklarnię. Na czołach podróżnych występuje pot, pory skóry rozwierają się, twarze czerwone jak u Indian czy, jak się teraz mówi, rdzennych Amerykanów. Czekamy na odjazd. Idealny moment na zapiski. Jak się ich nie zrobi, to myśli się zmarnują, zdechną. Szkoda by było. Jeśli zdecyduję się, że na pewno warto je zapisać, zostaną połączone, tym samym zbawione, przez strukturę tekstu. Gwizd. Odjazd! Po chwili rozpędu wszystko milknie. Pomysły oddalają się, uciekają. Są zasysane przez głębię podświadomości, do której nie mam dostępu. Nie wiadomo, czy i kiedy je odda. Odpluje energicznie ich przypadkowe szczątki w najbardziej niespodziewanych momentach i sytuacjach. Chce mi się spać. Rozmowy dobiegające z korytarza brzmią nieprawdopodobnie znajomo, dokładnie jakby wycięli je z tanich seriali polskiej produkcji. Oglądałam takie w dzieciństwie. Dobrze pamiętam. Marzyłam o podróży jako

doświadczeniu duchowym o potencjale transgresyjnym względem własnej jaźni. Chciałam zjeść pejzaże za oknem, zahipnotyzować się stukotem maszyny. Przenieść w rejony doznań, w obszary bardzo odległe od smartfonowego piekła. Pragnęłam doświadczyć snu na jawie lub jawy we śnie. Umocnić poczucie bytu jako dziwnej zagadki, ale takiej, jaka wymyka się cierpieniu. Cierpienia jest zawsze za dużo. Dostarczają go bezustannie, na zmianę, ciało i umysł. Oczywiście stymulowane bodźcami z zewnątrz. Same by tego nie wymyśliły. Z korytarza dobiega intensywny zapach ryby. Zabawne, przed chwilą myślałam o tym, że jesteśmy upchani jak sardynki w puszce. To mocna, słona woń. Nawet całkiem przyjemna, świeża. Jakby ktoś dopiero co otwarł konserwę. Spoglądam na twarze towarzyszy podróży, aby zweryfikować na podstawie min, czy także czują ten intensywny zapach. Nikt nie chce jednoznacznie dać po sobie poznać, zdradzić się. Pozostajemy w chmurze tajemniczego, rybiego odoru. Z głośnika odzywa się męski głos, który przekazuje cenne informacje związane z podróżą i kończy zdaniem: „Życzymy udanego pobytu”.

Dojechałam. W końcu mam moją kawę w Warszawie. Sama. Z plecakiem, w którym ukrywają się największe skarby, jakie mogę sobie wyobrazić i jakie mam, czyli aparat fotograficzny, dobra książka, macBook, zeszyt i długopisy. W filiżance na wielkiej mlecznej pianie widnieje serduszko. Wzruszam się. Zrobił je przystojny, młody chłopak, warszawiak, taki na lajcie, taki akurat. Mimo sprzyjających okoliczności czuję się cholernie zmęczona i ogarnia mnie dziwna, przejmująca melancholia. Wracam z łazienki, gdzie właśnie pooglądałam worki pod oczami i konfrontowałam się z myślą, że one już będą, że to już tak zostanie. Dopiero co zrozumiałam to na temat zmarszczki koło ust, a tu jeszcze to. Wychodząc z toalety, wpadłam na przystojnego, ciemnowłosego mężczyznę

ze ślicznym, małym synkiem zajadającym wielką bezę. Młody chłopak stojący za barem znalazł w radiu stację z Bobem Dylanem.

Ciągle bardzo chcę się ze sobą pogodzić, zaakceptować się, żeby się już nie męczyć. Nieustannie mam na to za mało czasu i pieniędzy, a teraz kiedy już byłam sama ze sobą na kawie, tak jak najbardziej lubię, w przyjemnej, schowanej dzielnicy stolicy, nagle zalała mnie gęsta, ciemna fala melancholii i nie mogłam przestać myśleć o własnych zmarszczkach. Oraz o całym ciele, o tym, że ciągle marudzi i choruje na coś, a do tego wszystko to odbija się na twarzy i widać z daleka. Ciało oczekiwało niekończących się zasobów finansowych, żeby je opiekować, uzdrawiać i w nie inwestować. A ja nie miałam siły, by w ogóle startować po kapitał. Wypiłam kawę. Trudne momenty, najgorsze, to takie, kiedy cierpisz i nic nie możesz z tym zrobić. Nie da się wówczas nabrać dystansu, zaparzyć sobie herbaty i obśmiać sprawy. Nie można też nic ciekawego przeczytać ani obejrzeć. Pozostaje się przyklejonym do własnego bólu. Jak mucha, która wlazła w rozpuszczoną na słońcu landrynkę i jej przednie nogi się skleiły, lokując ją w tej pozycji bez możliwości odwrotu. Rusza wielkim, błyszczącym zielonkawym odwłokiem, kręci pozostałymi kończynami. Może jej się uda wyrwać, ale straci nogi. Przypominam sobie paradoks much. To, jak te bestie latają dziko po oknie, doprowadzając człowieka do takiej furii, że musi zatłuc je własnym klapkiem zdjętym ze stopy. I nie może na niczym się skupić, dopóki nie dorwie owada. A kiedy podczas piętnastej próby uda się ustrzelić demona, szczęśliwie nie demolując przy tym karnisza i nie tłukąc szyby, muszysko rozpada się na dwie części. I nie ma w sobie wcale krwi, tylko gęstą masę, jak adwokat albo jak waniliowe ptasie mleczko. To zadziwiające. Nikt by nie pomyślał, że bestia ma takie wnętrze. Zadzwoniłam w końcu do Bartiego, bo miałam dość ponurego klimatu własnych myśli.

– Dlaczego złapałam melancholię w Warszawie? Nic z tego nie rozumiem. Przecież miało być fajnie, jak na wakacjach.

– Bo widzisz wiele możliwości. Myślisz o tym, kim mogłabyś być, jakie mogłabyś mieć życie, gdzie mogłabyś pracować, mieszkać, jak wyglądać. To sprawia, że czujesz się niepewnie z tym, co masz. Zostajesz sama, smutna i bardzo malutka. Nikt cię nie rozumie. A przecież wiemy już, że masz wielki problem z zakorzenieniem, że go bardzo potrzebujesz, ale ciągle korzeni ci brak, nie wystarcza. I to nowe, to możliwe nie sprzyja ugruntowaniu. Podważa to, co masz.

Barti był szalenie mądrym i dobrym człowiekiem. Niewiarygodne, żeby być jak Barti. Takich ludzi prawie nie ma. Miałam cholerne szczęście, że mnie lubił, nawet bardzo lubił. Widział we mnie cały dramat ludzkości, utożsamioną esencję istnienia. Miał świetne oko. Sam dużo cierpiał i chorował. No i był bardzo inteligentny. Mogliśmy się komunikować szybciej i głębiej, niż zwykle udaje mi się z ludźmi.

– Wiesz, Barti, zaraz kupię ziemniaki i śmietanę i zrobimy sobie z koleżanką placki. To idealny pomysł, prawda?

Barti wiedział, że placki ziemniaczane to symbol miłości rodzinnej, jedyny, jaki mam.

– Tak, to świetny pomysł – przytaknął.

Skończyłam kawę, zamknęłam książkę, którą podczytywałam, i wróciłam do kibla, żeby ulżyć pęcherzowi z zapaleniem i pogapić się na wory pod oczami.

* * *

Wieczorem zjadłam stertę placków ziemniaczanych. Najlepszych, jakie można sobie wyobrazić. Alinka miała w rękach prawdziwy talent do placków. Wyszły złote i przepyszne. Zjadłam tyle, ile mogłam. Przestałam dopiero dwa placki po tym, jak z przepełnienia rozbolał mnie brzuch. Trochę rozmawiałyśmy. Jak to z Alinką – głównie o rzeczach praktycznych. Jeśli o czymś istotnym, to w odniesieniu do literatury. Ten układ był dobry. Można też było sobie czytać książki, gdy zmęczyłyśmy się sobą albo po prostu kiedy miałyśmy ochotę sięgnąć do lektur. Alinka to skarb, bo ludzi, z którymi można sobie poczytać, jest mało. Zwyczajnie wymarli. Przeterminowali się. Dużo prościej skrolować wspólnie telefon, ale mnie to nie nasyca. Klasyfikuję to raczej jako brudną robotę. Coś na kształt wyrzucania śmieci czy odkurzania albo zmiany pościeli. Tylko że uzależnia. Kiedy chciałam się położyć, Alinka musiała jeszcze popracować, co było kłopotliwe, bo jej komputer okropnie, bardzo głośno buczał, a ona stukała w jego klawiaturę przeraźliwie. Nie było szans na spanie w jednym pomieszczeniu z takim hałasem. Dość szybko to zrozumiałam. Zaczęłam spanikowana przewracać się na łóżku, przerażona wizją bezsenności. Od niespania wolę już koszmary, ba, nawet całą serię koszmarów, z których wybudzasz się w skrajnym lęku, pewna, że oblazł cię sam szatan. To wrażenie szybko mija, a bezsenność dręczy człowieka godzinami i nakazuje mu tkwić w ciele beznadziejnie rozpłaszczonym na łóżku. Dźwięki się wzmagają, a ty intensywniej czujesz miejsca, w których ciało przylega do materaca i swędzi. Zaczęłam rozmyślać o tabletkach uspokajających schowanych w kosmetyczce lub o spacerze, ale to przecież noc. Byłam w obcym mieście, w kompletnie nieznanej mi dzielnicy, do tego ziąb.

Spróbowałam negocjować z Alinką sen. To okazało się świetnym rozwiązaniem, bo rzeczywiście zrozumiała mój dyskomfort i obiecała szybciej skończyć pracę. Jeszcze przez chwilę lękałam się, że mnie oszuka

i będzie pracować do czwartej nad ranem, przez co kompletnie zatracę możliwość zaśnięcia i rozróżnienia dnia od nocy. Tę granicę potrzebuję mieć jasno ustaloną. Próbowałam pić ciepłą wodę i czytać. Pić mi się nie chciało, słów nie rozumiałam. Alinka skończyła i położyła się obok mnie na wielkim łóżku, skulona w sobie, schowana. Dokładnie tak jak jej mały piesek. Po piętnastu minutach zapytałam, czy mogę wynieść z pokoju tykający zegar, który teraz brzmiał dokładnie tak samo upiornie jak wcześniej stukot palców o klawiaturę. Alinka zgodziła się bez problemu. Zanurkowałam w toalecie po hydroksyzynę. Szybko łyknęłam i zapiłam kranówą. Położyłam się i próbowałam mentalnie popływać lub polatać, co zwykle człowiek niechcący robi przed snem. Tym razem się udało i kolejne problemy związane z doświadczaniem siebie i świata czekały na mnie dopiero rano.

Obudziłam się o dziesiątej bardzo szczęśliwa, że udało mi się w ogóle zasnąć. Musiałam się ogarnąć, bo Alinka uprzedziła, że będzie rano hydraulik. Pan Janusz wpadł z opowieścią i uszczelkami. Głównie mówił o rzuceniu picia i Tindera. Oraz o tym, jak trudno człowiekowi dobrze ustawionemu, z własnym mieszkaniem i dorosłymi córkami, które również mają własne mieszkania, znaleźć kogoś przyzwoitego do życia, kto nie myśli tylko o korzyściach. Opowieść oparta była na wątkach autobiograficznych. Alinka zaproponowała mu kawę, ale odmówił, komentując, że to trucizna. Był zabawnym króciutkim człowiekiem, który rozpaczliwie szukał kontaktu i cechował się mentalnym ekshibicjonizmem. Uszczelki przyniósł złe i za drogie, ale jakoś je wpasował na miejsce i wystawił Alince rachunek znacznie większy, niż przewidywałaby logika. Zostawił też masę śmieci. Trochę z nim rozmawiałam, bo czułam, że współobecność na małym metrażu właśnie tego ode mnie wymaga. Dawno też nie gawędziłam z nikim w ten sposób – a kiedyś dość często

preferowałem taki model: zapoznawczy i elastyczny – więc wciągnęłam się i opowiedziałam, co tam sobie robię w „branży sztuki”. Naciągnęłam parę spraw i powiedziałam, że po prostu pracuję na zlecenia i że wszystko jest dynamiczne. Janusz przez chwilę zajął się kranem, potem znów poopowiadał o Tinderze, a po krótkiej przerwie skomentował, że byłabym dobrym materiałem na żonę, i zaraz zapytał, czy zawsze jestem taka cicha. Zapewniłam go, że nie. Trochę smutno mi było, że wplątał mnie w taki męskocentryczny dyskurs, ale naprawdę nie dało się nic zrobić. Po prostu trzeba było w tej sytuacji być. I tyle.

Wszystkie zdarzenia potem były już znacznie smaczniejsze. Wkurwiały mnie tylko pryszcze na szyi, które w moim doświadczaniu zamieniły się w wulkany i kopce o kolorze krwi. Oraz afta na podniebieniu. Pojawiła się prawdopodobnie jako efekt uboczny tabletek na pęcherz. Przez dobrych piętnaście minut myślałam przez nią o umieraniu jako doświadczeniu uobecnionym.

Wystąpienie na seminarium poszło znakomicie. Jąkałam się i brakowało mi słów, jak na młodą – wiadomo, względnie młodą – dziewczynę z Krakowa przystało. Za to miałam przygotowane przepiękne fotografie, a treść wywodu również była doskonale przemyślana. W przygotowaniach pomógł mi Barti. Obmyśleliśmy wszystko w jego gabinecie profesorskim. To, co tam sobie wyhodujemy, zwykle jest naprawdę przejmująco dobrze skonstruowane i solidnie oprawione. Tym razem słowo siostry okazało się znaczyć dużo dobrego. Nikt nie krytykował mojego wystąpienia. A najważniejsza siostra krytyczka sztuki i kuratorka zadawała mi pytania o takim charakterze, by jeszcze uwypuklić i podnieść wartość mojego projektu. Nawet jeśli odpowiadałam nieudolnie i naiwnie, to pociągała mnie za język, dając niewidzialne dla innych sióstr sygnały, które naprowadzały mnie na trop, o czym tu jeszcze warto powiedzieć, aby wszystko

wybrzmiało jak najlepiej. Rozpędziłam się dzięki niej w mówieniu, nawet przez moment czułam, jak mój głos w przyjemny sposób wypełnia salę, odbija się od ścian i pięknych żyrandoli, wraca do mnie, wpada do gardła i napotyka na siebie. W ten sposób integruje mnie. Pod koniec dnia byłam już całkiem padnięta z zadowolenia. Nakupiłyśmy sobie z Alinką w Żabce zup i deseru Monte. Ten, niestety, rozwalił mi się w plecaku i zalał kabel od macBooka, ale niegroźnie. Zrozumiałam oczywiście, że to danina, której los żąda ode mnie za kilka naprawdę miłych chwil, i na kolanach uważnie wyczyściłam kabel i wnętrze plecaka, bez zbędnego szlochania. Tym razem sen przyszedł gładko, bez tabletek uspokajających czy wyjmowania baterii z zegara. Zasnęłam, patrząc, jak Alinka czyta książkę.

Rano miałyśmy już gotowy plan na dalsze przygody ze sztuką, które okazały się absolutnie wywrotowe dla mojej złaknionej bodźców percepcji i w końcu nakarmiły mnie do syta tak, że zastanawiałam się, czy wraz z biletem do Zachęty nie sprzedano mi kwacha i nie wsadzono go na język. Zdjęcia Teresy Gierzyńskiej wdarły się w moją świadomość i zaczęły tańczyć w czaszce, tłukąc ściany zbudowane z kompleksów, luster i generalnie wszystkiego tego, co wolno, a czego nie, oraz jak powinno się, jak nie i co wypada. Gesty, ruchy, ciało, malowane paznokcie, rajstopy, cipki i muszelki na skórze wlały mi się przez oczy i hultajsko, dudniąc udami o uda, zdominowały dotychczasowy ład. Efektem było wyzwalające doznanie życia i jego unikatowości oraz akceptacja i afirmacja tego, jakie ono jest. Razem ze zgodą na elementy bólu, brzydoty i niewygody. Jakby to właśnie one były sojowym sosem na tajskim makaronie – ciemnym, z Auchan, takim, jakiego całe życie się nie jadło ani nawet się o nim nie słyszało. Jakby były pieprzykiem u Marilyn Monroe. Kształty i kontrasty zestawień, spotkania czerni, bieli, ale też pasteli tak wstrząsająco zaszumiały mi w głowie, że zaczęłam doświadczać siebie od środka,

jakbym wylazła z ram własnego ciała, z granic, z tego, co zwykle widzę w lustrze czy na zdjęciu, i przewlekła się na zewnątrz, co dało piorunujący, wyzwalający, orgazmiczny efekt. Przypomniały mi się prace sióstr Wahl, szczególnie jednej z nich – portret ciał, ale jakby także portrety – afirmatywne przedstawienia – organów wewnętrznych w ich najbardziej atrakcyjnym wymiarze. Nie żadnym medycznym, lecz zmysłowym, wygrywającym arie barwnych odcieni, przemian, pulsowania, tchnienia, życia po prostu. Po raz pierwszy w ten sposób doświadczyłam nie tylko myśli o ciele, ale samego w nim pobytu. Jakby te wszystkie choroby – grypy, katary, jęczmienie, grzyby, trzaskanie w stawach, ucisk na pęcherz, afty i wypadanie włosów – chciały mi powiedzieć: „Jesteśmy tu! Patrz na nas i kochaj nas, doświadczaj! Nie bądź głupia, lustra cię mamią, mamią cię reprezentacje. To my jesteśmy z tobą w wymianie płynów, w hormonalnych rauszach. Przestań nas odpychać”. Do cholery, to tu tkwi paleta barw: odcienie moczu i wanilia śluzu z szyjki, cynober, karmazyn krwi i wszystkie brązy świata.

Już wracam. Znowu cieplutko. PKP podgrzewa swoich klientów upchanych gęsto, jeden obok drugiego. Nad głowami bieleje przerażająco jasne światło, żeby było dobrze widać smartfony, które przecież i tak świecą, więc bez sensu. Do tej pory pociągi kojarzyły mi się z przestrzenią, powietrzem i czekoladkową nudą. To znaczy czasem, kiedy można spokojnie jeść czekoladki – i jest go dość, żeby poczuć smak. Widocznie, niestety, i to już odeszło do lamusa. A na pewno tak jest na trasie Warszawa–Kraków. Wygrywa ekonomia. Cieszę się, że jestem nieduża. Dzięki temu mam przynajmniej gdzie dać nogi. Chce mi się pić i siku. Jeden kibel już zwiedziłam, ale był przepełniony siuśkami, których nie dało się spłukać. Niezależnie od tego, jak drogie byłyby bilety i ilu byłoby pasażerów, z kiblami w PKP zawsze będzie coś nie tak. Polski standard.

Trudno, jakoś sobie poradzę. Na razie podciągnęłam nogi i podkręciłam sobie PJ Harvey na uchu. W połowie trasy musiałam znowu siusiu. A nawet gorzej. W PKP to na pewno najgorzej. Znalazłam kibel w drugim skrzydle wagonu. Działał. Abjectowe treści z ulgą mnie opuściły. Spłukały się przezroczystą wodą i z dźwiękiem przyjemnego szumu zniknęły wessane niewidzialnym prądem. Zaraz potem umyłam ręce. Mydło i woda, wszystko na miejscu. Zerknęłam w lustro. Owszem, wory pod oczami robią się, ale wcale nie są takie bardzo brzydkie.

Usiadłam na swoim siedzeniu i włączyłam Polly Jean. Coś we mnie wezbrało, odśrodkowa siła, jakby śpiew i taniec, co roboczo nazwałabym duszą. Jakby w formie ciała, pod szarym swetrem i dżinsami pod kolor, odzywał się duch: mocny, wyrazisty, bardzo piękny i wolny, mimo że schowany w środku. Jego głos zawył tak dojmująco, że wypełnił cały wagon, wyślizgnął się jak plazma na korytarz, wlazł do kibli i na półki z bagażami. W końcu uwolnił jakąś wielką partię energii. Coś, co dusiło go i wyniszczało latami – chwilowo – odpadło. Wył dalej, wył wolny, skowyczał, synchronizując się z konduktorskim gwizdem.

PROJEKT OKŁADKI
Dorota Piechocińska

FOT. NA OKŁADCE
Aleksandra Młynarczyk-Gemza

FOT. AUTORKI
Grzegorz Gemza

REDAKCJA
Ida Świerkocka

OPIEKA REDAKCYJNA
Mateusz Burzyk
Ilona Klimek

KOREKTA
Barbara Gąsiorowska-Panek
Aleksandra Kiełczykowska

PROJEKT MAKIETY
Wojtek Janikowski

COPYRIGHT © by Aleksandra Młynarczyk-Gemza
COPYRIGHT © for this edition by SIW Znak sp. z o. o.

Cytat „Sowy nie są tym, czym się wydają” pochodzi z serialu *Miasteczko Twin Peaks*, reż. Mark Frost, David Lynch, 1990.

ISBN 978-83-240-6598-1

Przedsięwzięcie jest realizowane ze środków pochodzących ze „Stypendium Twórczego Miasta Krakowa”.

Umożliwiły one autorce pracę nad tekstem.

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotował Karol Ossowski